

KURS NA KOLIZJĘ
Porachunki
w PiS i opozycji

ŻYWIÓŁ W SZEŁKI
Śpiewaj śmiało,
fałsz to nie grzech

HISTORIA CHOROBY
Kto decyduje,
czym jest zdrowie

20 LAT MAGII
Jak napisać
Harry'ego Pottera

DOBRE WIBRACJE
Czasem trzeba
wzruszyć powietrze

Kraków 26 lipca 2020 nr 30 (3707)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Władza nad rodziną

Polskie domy są barwniejsze,
niż chcą politycy



PREMIERA już w środę 29 lipca!

Mistrzynie i mistrzowie prezentują **DOBRE ŻYCIE**



O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS,
WIARA, ŻYWIÓŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają mistrzynie i mistrzowie.

Więcej na powszech.net/dobrezycie

KS. ADAM

Boniecki: Kim są dla Kościoła

JUŻ APOSTOŁOWIE NAUKĘ JEZUSA O NIEROZERWALNOŚCI małżeństwa przyjęli z głębokim sceptycyzmem: „Jeśli tak ma się sprawa z mężem i żoną, to nie warto się żenić”. Jednak doktryna o sakralności i nierozzerwalności małżeństwa weszła w życie społeczeństw Europy. Już Karol Wielki będzie się starał – nie całkiem skutecznie – wprowadzać zakaz rozwodów. Na Soborze Laterańskim IV (1215 r.) Kościołowi udało się w życie całej chrześcijańskiej Europy wprowadzić kościelną formę zawarcia małżeństwa, jego naturę konsensualną (*Consensus facit nuptias*, „porozumienie narzeczonych czyni małżeństwo”), charakter sakramentalny oraz nierozzerwalność.

Nie miejsce tu na streszczenie historii prawa małżeńskiego. Dość, że od XIII do XV wieku instytucję małżeństwa regulowało prawo kanoniczne (i sądy kościelne). Zaczęło się to zmieniać od wystąpienia Marcina Lutra, który uznał małżeństwo za zwykłą umowę cywilną podlegającą ustawodawstwu świeckiemu, dopuszczającą możliwość rozwodu. Z czasem wprawdzie uznał, że małżeństwo jest instytucją boską, i widział potrzebę udziału władz religijnych w obrzędzie ślubu, negował jednak sakramentalność małżeństwa, dając doktrynalne podstawy ingerencji władz świeckich w regulację prawne.

Dalsze etapy laicyzacji małżeństwa to oświeceniowa zmiana austriackiego prawa małżeńskiego przez Józefa II w 1783 r., będąca pierwszą państwową ustawą małżeńską, przyjmującą jego laicką koncepcję. W jej stosowaniu jednak należało brać pod uwagę wyznanie zainteresowanego. Pełną laicyzację prawa małżeńskiego (obowiązkowe śluby cywilne, prawo do rozwodu dla każdego bez względu na wyznanie) wprowadziła rewolucja francuska. Laicki system prawa małżeńskiego całkowicie utrzymał kodeks cywilny Napoleona (1804 r.).



W Polsce, po 1918 r., starano się zunifikować prawo małżeńskie, inne w każdym zaborze. W 1929 r. komisja kodyfikacyjna przygotowała projekt prawa małżeńskiego zwany projektem Lutostańskiego. Przeciw projektowi długo i skutecznie protestowała hierarchia i organizacje katolickie, gdyż przewidywał on rozwody. Projekt przepadł. Podobno stanowił podstawę dekretu z 29 maja 1946 r. o małżeńskim

prawie majątkowym.

Ideał katolickiego małżeństwa i rodziny mocno wrył się w społeczną świadomość. Większość osób zawierających małżeństwo o takiej rodzinie marzy i wiele rodzin je realizuje. Na obchodach jubileuszowych dziękujemy małżonkom, że przez 25 czy 50 lat wspólnego życia udowodnili, że mimo trudności jest to możliwe. Jednocześnie liczba rozwodów w Polsce stanowi jedną trzecią liczby zawieranych małżeństw. Kościół szuka wyjścia z sytuacji w stwierdzeniu nieważności małżeństwa. Choć wyroki zawsze opierają się na formule *si res ita est, vel si preces veritate nitantur* („jeżeli prośba opiera się na prawdzie”), to i tak budzą zdziwienie lub są wykpiwane, gdy po kilku lub więcej latach pożycia nagle orzeka się, że małżeństwo nie było „ważnym” małżeństwem. Jan Paweł II postąpił inaczej. W adhortacji „Familiaris consortio” (1981 r.) pocieszał rozwiedzionych i powtórnie poślubionych, że choć nie mogą przystępować do sakramentów, to nadal pozostają w Kościele. Poświęcił też sporo miejsca różnym niekanonicznym formom współżycia. Papież Franciszek poszedł dalej, stawiając pytanie, czy na pewno każdy związek rozwiedzionego należy uznać za grzech ciężki?

Gdzie są – pyta dziś człowiek wierzący – w oczach Boga te wszystkie niekanoniczne formy życia rodzinnego, z którymi musi sobie radzić społeczeństwo cywilne? Kim są dla Kościoła ci, którzy wybrali taki sposób życia? © P

Już 29 lipca następny z cyklu wakacyjnych dodatków

Włóczykij i Powsinoga

a w nim: przegląd najciekawszych wydarzeń kulturalnych wakacji – kameralne festiwale muzyczne, wystawy oraz spotkania literackie, w tym Festiwal Miasto Słowa, towarzyszący Nagrodzie Literackiej Gdynia.

Zapraszamy do lektury i kulturalnej włóczęgi po Polsce!

Organizujesz nietypowe wakacje? Daj nam znać i zareklamuj się w naszym przewodniku – czekamy pod adresem reklama@TygodnikPowszechny.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Powyborcze niepokoje

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Nadciąga czas rozliczeń i porachunków. Wynik Trzaskowskiego stał się dla PiS sygnałem alarmowym. Ale i opozycję czekają trudne decyzje.

**32 Żywiół w szelki**
ROZMOWAZ O. DAWIDEM
KUSZEM,
DOMINIKANINEM,
KOMPOZYTOREM
MUZYKI

SAKRALNEJ:
Śpiewając,
modłę się głębiej,
bo angażuję
też emocje.

**49 Paragraf na Hongkong**

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Pekin przegrał walkę o serca i umysły młodych Hongkończyków, postanowił więc działać drastycznie: upodobnić tę enklawę wolności do innych chińskich miast.

**60 Zdrowie,
czyli co**
BARTOSZ
KABAŁA

Rozwój biologii i medycyny pozwolił nam przenieść choroby z domeny religii do nauki – i wiele z nich skutecznie leczyć. Ale nawet we współczesnej medycynie słychać echa starożytnych sporów.

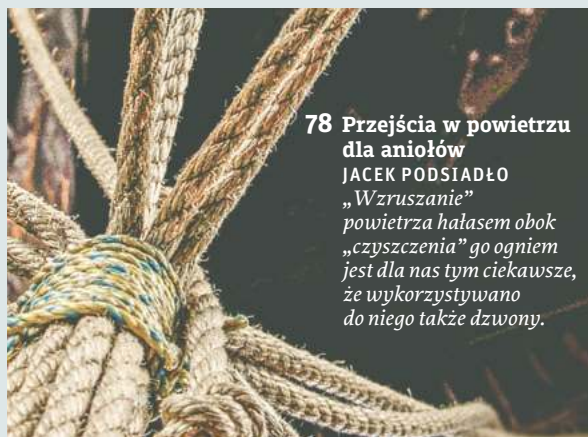
**64 Jak napisać
Harry'ego
Pottera**

MARCIN

NAPIÓRKOWSKI

Geniusz

J.K. Rowling polegała na tym, że bogactwo stworzonego świata pozwoliła nam podejrzeć jedynie przez dziurkę od klucza. Przez Hogwart.

**78 Przejścia w powietrzu
dla aniołów**

JACEK PODSIADŁO

„Wzruszanie” powietrza hałasem obok „czyszczenia” go ogniem jest dla nas tym ciekawsze, że wykorzystywano do niego także dzwony.

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. **WYDAWCA**

6 Kontury nowej Europy
OLAF OSICA**7-11 Obraz tygodnia****20-21 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****22 Powyborcze niepokoje**
ANDRZEJ STANKIEWICZ**26 Polska nie jest podzielona**
KLAUS BACHMANN:
*Marzymy o bezkonfliktowym
świecie bez kompromisów
– to jest naprawdę groźne***29 Wolę się upewnić**
MATEUSZ KOWALIK:
O co dziś pytamy wróżbitów■ ■ **WIARA****32 Żywiół w szelki**
ROZMOWA Z O. DAWIDEM
KUSZEM**36 Krzyż, Półksiężyc i Mądrość
Boża**
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
*Po 86 latach Hagia Sophia
znowu jest meczetem***38 Dobre miejsce**
JAN TOMASZ RYBICKI
*o codzienności parafii
św. Mikołaja w Gdyni*■ ■ **ŚWIAT****42 Jesteśmy towarem**
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC:
*W zakładach mięsnych Tönnies
czarę goryczy przelał dopiero
koronawirus, który uwięził
pracowników w kwarantannie***46 Gniew na ulicach Belgradu**
MARTA SZPALA:
*W Serbii historia zatacza koło:
znowu mamy protesty, jednego
lidera, media pod kontrolą
i zamknięte granice*

TEMAT TYGODNIKA



WESTEND61 / GETTY IMAGES

12 Partia władzy nad rodziną
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI,
MAREK RABIJ

PiS jest, jaki jest, ale dba o dzieci i rodziców – to opinia powtarzana nie tylko przez zwolenników rządzącego ugrupowania. Równie trafna jak prawicowa wizja rzekomych zagrożeń czyhających na „tradycyjną polską rodzinę”.

■ **FELIETONY** ■**31 ANNA DZIEWIT-MELLER 54 WOJCIECH BONOWICZ****76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO****82 STANISŁAW MANCEWICZ****82 BARTOSZ MINKIEWICZ**Okładka: Peter Cade / GETTY IMAGES
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA**49 Paragraf na Hongkong**
PIOTR BERNARDYN**52 Tygrys. Sprzedam, zamienię**
MARCIN ŻYŁA:
*Walka z przemysłem
gatunków chronionych może
ograniczać przyszłe wojny
i epidemie*■ ■ **HISTORIA****56 Ballada znad Olzy**
ZBIGNIEW ROKITA:
*Sto lat temu Cieszyn
podzielono między Polskę
i Czechosłowację. Poprzedziła
to wojna*■ ■ **NAUKA****60 Zdrowie, czyli co**
BARTOSZ KABAŁA■ ■ **KULTURA****64 Jak napisać Harry'ego
Pottera**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI**69 Serial killer**
DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Czy pandemia przyniesie
koniec ich niezwykłej ery?***72 W swoim ciełe**
JOANNA SZCZĘSNA:
*Darek Milewski wziął na
siebie ambitne zadanie –
przekazać nieprzekazywalne***74 Cienka linia**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Ukryte życie”***76 Ciebie rzecz dotyczy**
LEKTOR o „Książce
o śmieciach”
Stanisława Łubieńskiego■ ■ **ZMYŚŁY****78 Przejścia w powietrzu
dla aniołów**
JACEK PODSIADŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Musimy rozmawiać o klimacie**

Boimy się nie upałów czy huraganów, lecz świata, w którym przetrwają tylko najsilniejsi – mówi **MAGDALENA BUDZISZEWSKA**, psycholożka, autorka badań nad depresją klimatyczną powszech.net/depresja-klimat

➔ **Skąd się wzięły koty [Podkast Powszechny]**

Do niedawna niewiele wiedzieliśmy o dziejach udomowienia kotów. Ile możemy odkryć dzięki liczącej około sześciu tysięcy lat kostce znalezionej w Polsce? – archeolożka **MAGDALENA KRAJCZARZ** opowiada o ostatnich badaniach polskich naukowców powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](https://www.tygodnikpowszechny.pl/strona-swiate)

[f /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.facebook.com/tygodnikpowszechny) ■
 [i /TYGODNIK](https://www.instagram.com/tygodnik) ■
 [y /TYGODNIK](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny) ■
 [y /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny)



KONTURY NOWEJ EUROPY

Choć spór dotyczy pieniędzy,
sprowadzanie go tylko do finansów byłoby błędem:
unijne negocjacje budżetowe pokazują, jak zmienia się Wspólnota.

OLAF OSICA

Po trzech dniach negocjacji w sprawie budżetu Unii Europejskiej na lata 2021-27 nadal nie było kompromisu. W poniedziałek, kilka minut przed szóstą rano, zgromadzeni w Brukseli szefowie państw i rządów udali się na kolejną przerwę. Wznowienie trwających od piątku rozmów miało nastąpić już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika”.

Przyczyną tej sytuacji, bezprecedensowej w historii unijnych szczytów, był głównie podział środków w ramach tzw. Funduszu Odbudowy. Jego powstanie zaproponowali w maju najpierw kanclerz Angela Merkel i prezydent Emmanuel Macron, a potem Komisja Europejska, której projekt stał się podstawą negocjacji. Wart 750 mld euro, ma

umożliwić szybsze wychodzenie gospodarek z kryzysu wywołanego pandemią. Komisja chciała, aby fundusz był częścią nowego budżetu Unii. 500 mld euro byłoby rozdysponowane w formie grantów dla krajów najbardziej dotkniętych kryzysem, a 250 mld w formie pożyczek. Źródłem nowych środków byłyby kredyty zaciągnięte na rynkach finansowych. Unia wyemitowałaby wspólnie dług, spłacany potem z nowych europejskich podatków – m.in. od firm cyfrowych, podatku węglowego czy od mikroplastiku.

Zielone światło dla funduszu ze strony Berlina i Paryża zdawało się gwarancją sukcesu. Jak jednak pokazał maraton negocjacyjny, to za mało. Przeciw szczodrości Unii

*Od lewej:
Mark Rutte,
Angela Merkel,
Ursula von der Leyen
i Emmanuel Macron
przed drugim dniem
unijnego szczytu.
Bruksela,
18 lipca 2020 r.*

zaoponowały Niemcy, Austria, Szwecja i Dania, dla których perspektywa transferu dodatkowych sum na południe Europy zawsze była trudna do akceptacji. Dlatego ich liderzy, pod wodzą premiera Niderlandów Marka Ruttego, żądali innego podziału funduszu: zmniejszenia puli grantów i zwiększenia puli pożyczek. Ponadto przyznawanie środków miało być uzależnione od reform i jednomyślnej zgody członków Unii. Dodatkowym elementem miało być powiązanie środków z funduszu, jak i z samego budżetu, z przestrzeganiem praworządności. To dotyczyłoby głównie Polski i Węgier.

Choć spór dotyczył pieniędzy, to sprowadzanie go tylko do kwestii finansowych byłoby błędem. Brukselski maraton ilustruje zmiany polityczne w Unii związane z odejściem Wielkiej Brytanii i decyzją Niemiec o wyjściu na przeciw Francji, a także zmiany we Włoszech i Hiszpanii w kwestiach polityki gospodarczej. Do tej pory Niemcy, państwo założycielskie Wspólnoty, a także Dania i Szwecja funkcjonowały w przekonaniu, że ich interesy mają silne reprezentacje w Londynie (brak zgody na integrację polityczną kontynentu) i w Berlinie (presja na zrównoważone budżety i reformy). Dziś stoją przed koniecznością samotnego bronięcia swojej filozofii. Po dekadzie kryzysu strefy euro i w obliczu pandemii wydaje się ona trudna do zrozumienia. Jednak społeczeństwa Północy zawsze traktowały integrację bardziej jako przestrzeń do wspólnego handlu niż budowy wspólnej siły politycznej Europy. Nie chcą więc płacić za innych, choć ich rozwój zależy od powodzenia wszystkich. Pewnym zaskoczeniem w tym gronie jest natomiast Austria. Jej kanclerz Sebastian Kurz najwyraźniej traktuje spór jako element budowania własnej pozycji nie tylko w kraju, co oczywiste, ale też w Unii. Austria, która do Wspólnoty przystąpiła w 1995 r. (razem ze Szwecją), nie przejawiała dotąd tak dużych ambicji w polityce europejskiej. W nowym kontekście politycznym Wiedeń nie boi się więc nieco egzotycznych – biorąc pod uwagę różnice historyczne oraz w kulturze politycznej – sojuszy z Północą.

Bez względu na ostateczny wynik negocjacje w sprawie budżetu Unii na lata 2021-27 odsłaniają kontury nowej Europy. ©

Co ułatwi PiS rozprawę z mediami

PAWEŁ BRAVO



PRZED DRUGĄ TURĄ WYBORÓW JAROSŁAW Kaczyński pomstował na „brutalną interwencję ze strony prasy” (w domyśle: zależnej od zagranicznych mocodawców), po drugiej zaś sformułował konkret – jeden z nielicznych w sprawie, która jak bumerang wracała kilka razy po 2015 r.: przepisy o tzw. repolonizacji mediów wejdą w życie do końca tej kadencji Sejmu.

Jarosław Gowin, w prawicowej rodzinie pełniący rolę syna marnotrawnego – ale jednak niezbędnego do uchwalenia prawa – zwracał uwagę, że „repolonizacja” to uproszczenie, nie da się bowiem w ramach traktatów unijnych określić narodowości właścicieli mediów. Tak naprawdę więc dyskutuje się o przepisach dekoncentracyjnych, których skutkiem faktycznym powinna być „degermanizacja”, a więc wycofanie się inwestorów niemieckich ze spółek wydających prasę regionalną, wielki tabloid oraz największy portal. A potem – przejęcie ich udziałów przez podmioty polskie, mniej lub bardziej zależne od władzy. Wyrugowanie amerykańskiego właściciela stacji telewizyjnej pozostaje w sferze dalszych marzeń.

Oprócz przepisów narzucających konieczność redukcji udziałów zagranicznych podmiotów władza ma inne narzędzia, by obrzydzając życie i psuć interesy mediom, co może

skłonić obecnych właścicieli, by dali sobie spokój z trudnym biznesem w Polsce. Obejmuje to oczywiście ręczne sterowanie zleceniami reklamowymi instytucji publicznych oraz zależnych od państwa spółek – ale nie tylko. Takie zakulisowo stosowane narzędzia mogą być skuteczniejsze od zapowiadanych nowych przepisów z dwójakiego powodu. Po pierwsze, branża tradycyjnych, dużych mediów jest w coraz trudniejszej kondycji finansowej, co jest częścią szerszego procesu – także przemian pokoleniowych w konsumpcji mediów. Po drugie, w latach ekspansji rynku mediów w późnych latach 90. i na początku następnej dekady wydawało się, że to taki sam biznes jak każdy inny. W neoliberalnej atmosferze nikt nie zadbał o regulacje dotyczące struktury właścicielskiej albo wsparcia publicznego, oczywiście na zachodzie Europy. To zaś sprawia, że obecnie wolność mediów (od nacisków polityków, bo naciski reklamodawców to niestety od dawna codzienność wielu redakcji) zależy w pewnym stopniu od dobrej woli podmiotów traktujących swoją obecność wyłącznie w kategoriach bilansu inwestycji. Zapowiadane przez PiS regulacje rynku mają jasny podtekst polityczny i służą umacnianiu wpływów monopartii, ale – co paradoksalne – same regulacje jako takie nie muszą być złym pomysłem. ©P

Inflacja jak pandemia – nie odpuszcza

DO 4,1 PROC. WZROSŁA w czerwcu tzw. inflacja bazowa (liczona bez uwzględnienia najbardziej chwiejnych cen żywności i energii) – podał Narodowy Bank Polski. W porównaniu z majem oznacza to skok o 0,3 punktu procentowego. Równie szybkiego wzrostu cen nie odnotowano w Polsce od grudnia 2001 r. Zapewnienia NBP o chwilowym skoku cen na początku roku nie znalazły więc pokrycia w rzeczywistości. Inflacja nie odpuszcza Polsce, podobnie jak epidemia COVID-19.

Tempo wzrostu cen zaskoczyło ekonomistów także ze względu na wiosenny *lockdown*, który na wielu branżach wymusił radykalne cięcia marż albo wręcz sprzedaż



KAROLINA MISZTAŁ / REPORTER

produktów i usług po kosztach. Wysoka inflacja bazowa może więc świadczyć o mocnym odbiciu polskiej gospodarki po zdjęciu epidemicznych obostrzeń. Przy rekordowo niskich stopach procentowych oznacza to jednak, że portfele większości polskich gospodarstw domowych stają się coraz chudsze. ©P MR



JAK W POPRZEDNICH LATACH, plaże nad Bałtykiem zaroily się od turystów. Niewidywane od lat tłumy goszczą też nad jeziorami. Większość Polaków spędzi tegoroczne wakacje w kraju, z czego na pewno cieszą się przedstawiciele branży turystycznej, którym doskwiera brak zagranicznych gości. Sądząc po obrazach z kurortów większość Polaków nie obawia się również koronawirusa, bo obowiązek noszenia maseczek w pomieszczeniach jest nagminnie lekceważony. Podobnie jak sugestie epidemiologów, by dla bezpieczeństwa nie zdejmować ich także na ulicy. **Na zdjęciu: Gdansk, 19 lipca 2020 r. © (P) MR**

Gminy nie pomagają wychodzić z ubóstwa

ANNA GOC



WNIOSKAMI Z RAPORTU NAJWYŻSZEJ Izby Kontroli nie będą zaskoczeni ci, którzy zajmują się pomaganiem na co dzień. Z kontroli 21 ośrodków pomocy społecznej wynika, że w gminach brakuje wsparcia długofalowego, zorientowanego na wychodzenie z biedy. Władze lokalne pomagają głównie doraźnie (zasiłki oraz żywność) i tym, którzy o pomoc sami zabiegają.

Choć między 2015 a 2018 r. o prawie jedną czwartą ubyło korzystających z pomocy społecznej, a poziom skrajnej biedy w ostatnich latach się obniżył, to wykluczenie najbardziej zagrożonych grup może się pogłębiać – choćby w związku z pandemią. Świadczą o tym inne dane z raportu NIK: co trzeci ankietowany wskazał choroby i niepełnosprawność – własną lub bliskich – jako główne źródło ubóstwa, a spośród objętych wsparciem 40 proc. to osoby samotne lub samotnie wychowujące dzieci. Co druga nie ma dostępu do sieci, a tylko 3 proc. wzięło udział w grupach wsparcia, samopomocowych czy terapeutycznych.

Po ostatnich tygodniach, podczas których słowa „rodzina” i „pomoc najbardziej potrzebującym” były odnawiane na wszystkie sposoby, wybrzmieć mogą i słowa jednego z ankietowanych, który na pytanie o oczekiwania odpowiedział: „Żeby traktowano wszystkich równo”.

© (P)

Orlen mój widzę wielki

ZGODA KOMISJI EUROPEJSKIEJ na fuzję Orlenu i Lotosu, dwóch największych polskich producentów paliw, to początek wielkich zmian w branży surowcowo-energetycznej. Rząd, który kontroluje obie łączące się firmy, zamierza bowiem dołączyć do nich także spółkę PGNiG zajmującą się poszukiwaniami, wydobywaniem oraz dystrybucją gazu ziemnego i ropy naftowej. Wcześniej nakazał jej przejście 80 proc. akcji grupy Energa, najważniejszego krajowego producenta prądu.

Gigant powstały po takiej fuzji (połączone zeszłoroczne przychody Orlenu i Lotosu to 140,7 mld zł) zaoszczędzi sporo na kosztach działalności. Zyska również Skarb Państwa, który niejako odkupi sam od siebie Lotos za pieniądze prywatnych akcjonariuszy Orlenu (w tej ostatniej spółce państwo jest właścicielem tylko 28 proc. akcji, w Lotosie kontroluje 53 proc.).

Inne potencjalne korzyści nie są już jednak tak pewne. Główne wątpliwości dotyczą strategicznego, długofalowego celu, jakiemu miałyby przyświecać „klejenie” energetycznego giganta z państwowych aktywów. Rząd nie ukrywa, że chce uczynić ten megakoncern głównym rozgrywającym polskiej transformacji energetycznej. Problem w tym, że nadal nie znamy szczegółów tej strategii: na czele z kluczowym pytaniem, czy przebudowa przestarzałej polskiej infrastruktury sprowadzi się wyłącznie do wielkich inwestycji, czy będzie przypominać model rozproszony, w którym system energetyczny kraju wzmacniają tysiące małych przydomowych instalacji solarnych lub wiatrowych.

© (P) MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

TELEFON

DO PRZYJACIELA

Z zainteresowaniem i kibicując gorąckowo poszukującemu angielskich słówek Andrzejowi Dudzie wysłuchaliśmy jego rozmowy z rosyjskim satyrykiem podającym się za sekretarza generalnego ONZ. Łatwość, z jaką ten ostatni uzyskał potężenie z prezydentem, kosztowała posadę dwoje pracowników Stałego Przedstawicielstwa RP przy ONZ.

Z ZEGARKIEM W RĘKĘ

Fałszywy sekretarz bezskutecznie usiłował sprowokować rozmówcę do nieostrożnej uwagi na temat Ukrainy: kraju, gdzie polscy politycy powinni być szczególnie uważni. Antykorupcyjne służby z Warszawy i Kijowa doprowadziły właśnie do zatrzymania b. ministra transportu Sławomira N., który po odejściu z rządu Donalda Tuska był szefem ukraińskiej agencji budowy dróg.

KRONIKA SĄDOWA I TOWARZYSKA

Jednym z tematów tygodnia był oddalony przez warszawski sąd pozew TVP wobec dziennikarzy „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, którzy mówili o roli, jaką ataki telewizji publicznej odegrały w zamachu na Pawła Adamowicza. A tematem weekendu okazał się zawarty w łagiewnickim sanktuarium, nie pierwszy w życiu kościelny ślub byłego i zapewne przyszłego prezesa tej instytucji Jacka Kurskiego.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Pomoc dla Syryjczyków znów ograniczana

PAWEŁ PIENIAŻEK



PO TYGODNIU NEGOCJACJI MIĘDZY PAŃstwami Zachodu a Rosją i Chinami wznowiono przekazywanie pomocy humanitarnej do Syrii. Jednak teraz może być ona dostarczana tylko przez jedno przejście graniczne. Tymczasem od dystrybucji tej pomocy zależą losy milionów Syryjczyków, którzy stoją nie tylko w obliczu trwającej od 2011 r. wojny, ale też narastającego kryzysu ekonomicznego, gwałtownego wzrostu cen żywności (o 200 proc. w ciągu roku) i rozprzestrzeniającego się koronawirusa.

Wcześniej w tym roku zamknięto już trzy przejścia graniczne. To sukces Rosji, która wspiera prezydenta Baszara al-Asada. Posługując się wetem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, Moskwa torpedowała kolejne rezolucje, wymuszając swoje stanowisko. Przyjęta ostatecznie rezolucja zezwala na transport pomocy humanitarnej tylko przez przejście Bab al-Hawa. To za mało, by dotrzeć do potrzebujących.

Bab al-Hawa znajduje się na turecko-syryjskiej granicy i wiedzie do prowincji Idlib w północno-zachodniej części kraju. Idlib był wielokrotnie atakowany przez

wojska rządowe, wspierane przez Rosję i Iran. To jeden z ostatnich bastionów rebelii rozpoczętej w 2011 r. Prowincja kontrolowana jest przez różne grupy zbrojne, w tym Hajat Tahrir asz-Szam (powiązana z Al-Kaidą). Na jej terenie przebywa 3-4 mln cywilów (trudno o konkretne dane), z czego znaczna część to ci, którzy na skutek wojny musieli opuścić domy.

Sytuacja w północno-zachodniej Syrii od dawna jest zła, ok. 70 proc. ludności potrzebuje pomocy humanitarnej. Niemal co trzecie dziecko poniżej 5. roku życia jest dotknięte tzw. zahamowaniem wzrostu, co dawniej nie było rozpowszechnione w tym kraju.

Dla reżimu Asada najlepiej byłoby, gdyby pomoc humanitarna nie dochodziła do Idlibu wcale. Wówczas łatwiej byłoby zdobyć zbuntowaną prowincję, o którą bezskutecznie walczy od lat. Asad ma nadzieję, że cała pomoc będzie przechodziła przez Damaszek, i że tam zapadnie decyzja, dokąd ma ona trafić. Rosja zapewne podejmie działania, by zamknąć również i to ostatnie przejście. ©

Antykremlowskie protesty w Kraju Chabarowskim

OD 11 LIPCA w Chabarowsku na rosyjskim Dalekim Wschodzie trwają masowe demonstracje. Dwa dni wcześniej miejscowy gubernator Siergiej Furgał został aresztowany pod zarzutem zlecenia zabójstw w latach 2004-05. W tamtym czasie zajmował się on biznesem metalowym, a ofiarami mieli być miejscowi przedsiębiorcy; Furgał odrzucił zarzuty. Jest związany z LDPR, partią Władimira Żyrinowskiego. Przez 10 lat był deputowanym Dumy, a w 2018 r. został wybrany – ze świetnym wynikiem 70 proc. – na gubernatora Kraju Chabarowskiego, pokonując reprezentanta partii władzy Jedna Rosja.

Mieszkańcy występują nawet nie tyle w obronie Furgała, ile swojego prawa do głosu odmiennego niż nakaz przywieziony z Moskwy. Krótko sformułował powód protestu prof. Witalij Błazewicz: „Nie głosowałem na Furgała, nigdy nie głosowałem na LDPR, ale wyszedłem na ulicę, bo mnie obrażono”.

Jak na 600-tysięczny Chabarowsk demonstracje były liczne: pierwszego dnia 35 tys. (według MSW do 12 tys.), przez kolejne dni po 20-30 tys., a w ostatnią niedzielę ponad 50 tys. osób. Obok hasła wzywających do uwolnienia Furgała pojawiły się też otwarcie antykremlowskie: „Putin won!”.

Miasto zbuntowało się przeciw Kremlovi. A Kreml jest sytuacją co najmniej zaniepokojony: do niedzielnego wieczoru nie uzgodniono kandydatury osoby, która miałaby zastąpić Furgała, ani nie zdecydowano, jaki wariant zastosować – rozwiązanie siłowe czy negocjacje. Policja nie rozpędza zgromadzeń. W mediach społecznościowych pojawiły się doniesienia, że do miasta ściągane są siły porządkowe z innych regionów. Telewizja centralna przez tydzień nie zauważała wydarzeń w Chabarowsku ani w innych miastach, które stopniowo dołączały do protestu (Komsomolsk nad Amurem, Władywostok itd.). Na razie Kreml czeka, aż protest samoistnie wygaśnie. A jeśli nie wygaśnie? © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki:
labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl



Archipelag Bismarcka, Papua

Temperatura wilgoci

PRAWIE 12,2 METRA – to nowy światowy rekord sumy rocznych opadów, odnotowany w Papui-Nowej Gwinei (ściślej: w punkcie pomiarowym przy drodze prowadzącej do jednej z miejscowych kopalni). Właściwie na tym można by zakończyć tę notkę, gdyby nie fakt, że dotyczący tego rekordu komunikat Międzynarodowej Organizacji Meteorologicznej nieoczekiwanie znalazł ciąg dalszy... pod postacią wymiany not dyplomatycznych. Indie, które do tej pory mogły poszczycić się pierwszym miejscem na liście najwilgotniejszych miejsc globu, odmawiają uznania nowego rekordu. Miasteczko Czerapuńdzi – w indyjskim stanie Meghalaja – królowało na niej niepodzielnie od 1976 r., kiedy zanotowano w nim ponad 11 metrów rocznych opadów. Ponadto Indusi wskazują na wzmianki historyczne, z których ma wynikać, że między sierpniem 1860 r. a lipcem 1861 r. w Czerapuńdzi zanotowano aż 26,4 metra opadów.

Woda jest w indyjskiej polityce tematem strategicznym. W 2018 i 2019 r. kilka stanów dotknęła katastrofalna susza. Ministerstwo Rolnictwa szacuje, że kraj zużywa rocznie tyle wód gruntowych, ile USA i Chiny razem wzięte (oba te kraje mają większe zasoby wód powierzchniowych). Hydrologzy przewidują, że do 2030 r. zapotrzebowanie Indii na wodę będzie już dwukrotnie większe od dostępnych zasobów naturalnych.

Tamtejsze Narodowe Biuro Rejestrów Przepięczności (NCRB) podało niedawno, że w 2018 r. doszło w Indiach do 838 przestępstw związanych z dostępem do wody. W ciągu zaledwie roku ich liczba wzrosła o 93 proc. © MAREK RABII

Pozory reformy parafii

TEN DOKUMENT ROZCZAROWUJE. Na początku tygodnia Watykan ogłosił instrukcję „Nawrócenie duszpasterskie wspólnoty parafialnej w służbie misji ewangelizacyjnej Kościoła”. Wedle deklaracji autorów ma ona dawać wskazówki, w jaki sposób realizować na poziomie parafii motyw przewodni pontyfikatu Franciszka.

Kłopot w tym, że powtarza retorykę papieża o konieczności szukania nowych dróg wychodzenia do ludzi i ostro krytykuje brak takiego dynamizmu. Jednak konkretne rozwiązania utrwalają *status quo*. Instrukcja zauważa np., że terytorialna natura parafii musi skonfrontować się z rosnącą mobilnością ludzi i kulturą cyfrową, odrywającą przynależność od miejsca zamieszkania. Ale nie proponuje żadnych rozwiązań; przypomina jedynie, że „na poziomie kanonicznym zasada terytorialna pozostaje w pełni obowiązująca, gdy wymaga tego prawo”.

Autorzy deklarują, że w „procesie odnowy i przekształceń parafia powinna unikać ryzyka nadmiernej i biurokratycznej organizacji wydarzeń oraz świadczenia usług”. Większość dokumentu poświęcona jest jednak biurokratycznym przepisom utrwalającym klerikalną strukturę Kościoła. Świeccy powinni się angażować, ale należy dbać, by władza i ostateczna odpowiedzialność zostały przy księżach.

Być może problemem jest samo miejsce powstania dokumentu – Kongregacja ds. Duchowieństwa. To bardzo dziwne, że reformą parafii zajmuje się akurat ta watykańska dykasteria.

©© PIOTR SIKORA

Instrukcją w pedofila

CO JEST PRZESTĘPSTWEM? Jak prowadzić dochodzenie? Czym różni się proces karny sądowy od pozasądowego? Jaką opiekę zapewnić osobie poszkodowanej? To tylko kilka z wielu pytań, na które odpowiada watykańskie „Vademecum postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych duchownych wobec nieletnich”. Opublikowana w ub. tygodniu broszura (164 akapity, 19 stron A4) to poradnik dla biskupów i przełożonych zakonnych, ale przyda się też innym zainteresowanym, zwłaszcza osobom skrzywdzonym, szukającym sprawiedliwości przed kościelnym sądem.

Dokument nie ustanawia nowych przepisów, ale wyjaśnia, jak rozumieć i stosować te, które obowiązują. Przypomina, że biskup powinien rozpatrzyć zawiadomienie, nawet jeśli jest anonimowe albo pochodzi z mało wiarygodnego źródła. Zaleca, by powiadamiał o przestępstwie organy ścigania, nawet jeśli prawo państwowe tego nie nakazuje. Wyjaśnia, że przeniesienie podejrzanego do innej parafii lub klasztoru nie jest wystarczającym środkiem zapobiegawczym oraz że osoby informujące o przestępstwie nie można wiązać przysięgą milczenia. Link do polskiej wersji informatora – pod adresem powszech.net/instrukcja.

©© EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POKÓJ

„Idąc za niedawną rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ, ponawiam apel o natychmiastowe zawieszenie broni na całym świecie” – powiedział Franciszek 19 lipca podczas modlitwy Anioł Pański. Podkreślił, że pokój jest niezbędny, aby walczyć z pandemią COVID-19 i aby do wszystkich potrzebujących mogła dotrzeć pomoc humanitarna. Wyraził zaniepokojenie z powodu działań zbrojnych między Azerbejdżanem a Armenią.

OGIEŃ

18 czerwca wybuchł pożar w XV-wiecznej katedrze w Nantes we Francji. Całkowitemu zniszczeniu uległy organy i część witraży; akcja gaśnicza trwała ponad dwie godziny. Trwa śledztwo, według prokuratury pożar wybuchł w trzech punktach katedry.



S. SALOM-GOMIS / AFP / EAST NEWS

WIZYTA

Kard. Konrad Krajewski, jałmużnik papieski, przyjechał na Ukrainę (18-19 lipca). Poświęcił działkę pod budowę domu dla bezdomnych kobiet oraz samotnych matek, który poprowadzą albertynki. Konsekrował też kościół pw. św. Jana Pawła II we Lwowie-Sokolnikach.

PURPURAT

W Rzymie zmarł kard. Zenon Grocholewski, jeden z siedmiu polskich kardynałów, emerytowany prefekt Kongregacji Wychowania Katolickiego. Jego dykasterii podlegały szkoły i uniwersytety katolickie, a także (do 2013 r.) seminaria. W 2005 r. opublikował instrukcję stwierdzającą, że niedopuszczalne jest udzielanie święceń homoseksualistom.

Filmowy kanibalizm jesieni



ANITA PIOTROWSKA

TO MOGŁA BYĆ ŚWIETNA WIADOMOŚĆ: festiwal filmowy w Gdyni jednak się odbędzie. Tyle że nie we wrześniu ani nie na początku przyszłego roku, jak można było się spodziewać, lecz w dniach 9-14 listopada. Czyli dokładnie wtedy, kiedy we Wrocławiu trwać będzie 20. edycja innego festiwalu – Nowych Horyzontów.

Największe święto kina polskiego i najważniejszy międzynarodowy festiwal filmowy w Polsce, oba przeniesione na jesień z powodu pandemii, chcąc nie chcąc stały się imprezami konkurencyjnymi. W obecnych warunkach taka klęska urodzaju wydaje się czymś naturalnym, ale nie dla wydarzeń tej rangi. Skoro cała branża (polscy twórcy, dystrybutorzy, kina, animatorzy kultury filmowej) na skutek lockdownu znalazła się w sytuacji dramatycznej, tego rodzaju kumulacja oznacza ni mniej, ni więcej, tylko kanibalizację. Uderzy ona we wszystkich, z widzami włącznie. Szeroko pojęte środowisko filmowe ulegnie rozproszaniu, dziennikarze będą pracować na pół gwizdka, a ranga obu festiwali i prezentowanych tam tytułów na pewno się osłabi. I to w każdym wymiarze – medialnym, społecznym, rynkowym.

Najmniej oplać się to festiwalowi w Gdyni, czyli polskiemu kinu. Zwłaszcza że reforma tegorocznej edycji (przwroćcie funkcji dyrektora artystycznego i tym samym bardziej przejrzysta selekcja) nadal stoi pod znakiem zapytania. Być może nie ma sensu zawczasu rozdzierać szat, bo kolejna fala pandemii może wymieść wszystko z realu do sieci. Niezależnie jednak, jak bardzo hybrydowa ma być formuła festiwalu, kto pierwszy zarezerwował sobie listopadowe daty i gdzie akurat w tym czasie były wolne miejsca na pokazy filmów, obaj organizatorzy powinni przemyśleć strategię. Może ktoś jednak odważy się ustąpić – coś przesuwać, coś przeorganizować. W przeciwnym razie ucierpi potężny kapitał tych dwóch arcyważnych dla kultury wydarzeń. Nie tylko przez obowiązujący jesienią reżim sanitarny.

©



„Z WIELKIM SMUTKIEM ZAWIADAMIAMY...”. Jak klepsydrę rozpoczęły linie British Airways swój komunikat o wycofaniu – po pół wieku użytkowania – floty boeingów 747, popularnych jumbo jetów. To rzeczywiście wiadomość o końcu, bo wywołany pandemią COVID-19 kryzys branży lotniczej przyspieszył o kilka lat nieuniknione. Czterosilnikowa „Królowa Niebios” nie załapała się (jak inny długodystansowiec, boeing 777) na lifting z lżejszych materiałów kompozytowych; uległa konkurencji nowych, tańszych w eksploatacji: boeinga 787 (dreamlinera) i airbusa A350. Odchodzi w przeszłość jak lotnictwo, które reprezentowała: wystawne, zrodzone w erze taniego paliwa, kojarzące się z jej komfortowym górnym pokładem wypełnionym tytoniowym dymem i aromatem brandy. „Królowa” wygrała jednak w dwójkę: jej najnowszy konkurent – tak samo brzydki jak wielki airbus A380 – nie zdobył serc pasażerów (ani księgowych linii lotniczych) i za rok przestanie być produkowany. Ona sama zaś ma przed sobą jeszcze kilkanaście lat „drugiego życia” jako samolot towarowy. Życia, które zresztą zaplanowano jej na początku, jeszcze podczas projektowania – przenosząc kabinę pilotów tak wysoko, aby uchylany nos samolotu mógł pomieścić największe ładunki. © © ŻYM

Jak walczy się z pandemią

SZCZEPIONKI. Na różnym etapie testów jest ponad 160 szczepionek przeciw SARS-CoV-2 – kilka trafiło nawet do dziesiątek tysięcy ochotników. Nie ma tygodnia, by naukowe czasopisma nie publikowały nowych doniesień o którejs z nich. Ostatnio największe zainteresowanie wywołała praca Lisy A. Jackson i współpracowników, opublikowana w prestiżowym „NEJM”, na temat szczepionki firmy Moderna. W eksperymencie wzięło udział 45 pacjentów, u których wytworzyły się zadowalające ilości przeciwciał, a iniekcja nie powodowała poważnych skutków ubocznych. Wkrótce testy mają objąć 30 tys. osób. Moderna jest w gronie kilku firm, które otrzymały wsparcie rządu USA – obejmującego zarówno ułatwienia administracyjne, jak i fundusze (obecnie już ponad 2 mld dolarów). Jej władze liczą na to, że masowe szczepienia będzie można rozpocząć na początku 2021 r. Inna firma z tej listy, brytyjsko-szwedzka AstraZeneca, zapowiada pierwszy pakiet szczepionek jeszcze w tym roku.

PRZECIWCIAŁA. U osób zakażonych SARS-CoV-2 po zaledwie miesiącu od pojawienia się objawów drastycznie spada ilość wytworzonych przeciwciał. Autorami niezrecenzowanej jeszcze pracy na ten temat są Jeffrey Seow z londyńskiego King's College i współpracownicy. Ciągłe nie wiadomo, czy to oznacza, że odporność nabywana po przechorowaniu COVID-19 jest krótkotrwała – i czy tylko taką zapewnią również szczepionki. Benjamin Terrier z Uniwersytetu Paryskiego i współpracownicy odkryli z kolei we krwi osób zakażonych cząsteczki układu odpornościowego, które pozwalają przewidywać, jaki przebieg będzie mieć COVID-19. Otwiera to drogę do lepszego dostosowywania terapii do stanu pacjentów.

MODELE. Prace kontynuują też matematycy. Badacze z Bostonu twierdzą, że wirus mógł pojawić się w USA już na początku grudnia 2019 r. Naukowcy z New Haven przewidują zaś, że największe uczelnie pozostaną zamknięte na kolejny semestr. Aby w porę wygaszać ogniska zakażeń, na dużych kampusach wszyscy studenci musieliby być testowani co dwa dni. © © ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

DOBRA NOWINA

Olga Tokarczuk otworzyła w Nowej Rudzie kawiarnię.

Miejsce, którego menu przygotowała Marta Dymek z Jadłonomii, nazywa się Dobra Nowina.

Beata Kłossowska-Tyszką, druga z założycielek, przypomina, że tak brzmiało przezwisko bohaterki książki noblistki „Prowadź swój pług przez kości umarłych”.

Otwarcie kawiarni było częścią organizowanego przez Tokarczuk i Kłossowską-Tyszkę Festiwalu Góry Literatury (11–18 lipca).

ROK KAPITAŁU

Radio Kapitał, pierwsze radio społecznościowe w Polsce, obchodzi pierwszą rocznicę powstania.

Rozgłośnień prowadzi muzycy, DJ-ki, artyści, aktywiści – łącznie około 250 osób. Początkowo Kapitał nadawał z Muzeum Sztuki Współczesnej w Warszawie; w ramówce sporo miejsca poświęca właśnie sztuce współczesnej, ale także literaturze, muzyce, sprawom społecznym.

Radio w internecie: radiokapital.pl.

ZŁA WIADOMOŚĆ

19 lipca zmarł prof. Franciszek Ziejka, w latach 1999–2005 rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego zaangażowany w budowę Kampusu 600-lecia Odnowienia UJ, historyk literatury polskiej XIX w. i jej związków z kulturą europejską, przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Miał 79 lat.



Pierwsze Radio Informacyjne

ŁUKASZ GRAJEWSKI

opowie o sytuacji polskich pracowników w Niemczech (tekst na s. 42) Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w środę 22 lipca, o godz. 16.00

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

PARTIA WŁADZY NAD RODZINĄ

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PiS jest, jaki jest, ale dba o dzieci i rodziców – to opinia powtarzana nie tylko przez jego zwolenników. Równie trafna jak prawicowa wizja rzekomych zagrożeń czyhających na „tradycyjną polską rodzinę”.



WZASADZIE NA KAŻDYM PRZYSTANKU kampanijnej podróży Andrzej Duda słyszeliśmy z megafonów ten sam refren – tak jakby prezydent miał wszystkim do powiedzenia mniej więcej to samo, a do profilu słuchaczy dostosowywał tylko retoryczne ozdobniki.

Żołnierze składający przysięgę w 3. Podkarpackiej Brygadzie Obrony Terytorialnej? „Dziękuję Bogu i Waszym rodzicom za to, że jesteście, i za Wasze wychowanie – mówił 5 lipca. – Za tę niezwykłą postawę, która została Wam wpojona w rodzinach, w domach. Zawsze to podkreślam: rodzina jest największą wartością państwowotwórczą”.

Biznes wracający po lockdownie w normalne ramy funkcjonowania? „To ogromne liczby miejsc pracy, ogromna liczba rodzin, które dzięki temu mają pieniądze (...) – tak 9 czerwca w siedzibie spółki Wireland Duda pił do zalet rządowej tarczy antykrzysowej. – Pomoc i wsparcie dla firm, które przekłada się na to, by rodzina mogła normalnie funk-

cjonować (...) Bo przecież rodziny idą do sklepów, dokonują zakupów, wydają pieniądze i, tym samym, napędzają gospodarkę”.

Plac budowy węzła drogowego w miejscowości Tyszk-Nadbory? „Realizacja wszystkich takich wielkich inwestycji drogowych, infrastrukturalnych sprzyja przyszłemu rozwojowi Rzeczypospolitej. To miejsca pracy, to polskie rodziny, które dzisiaj utrzymują się z pieniędzy, które są zarabiane tu, na tej budowie” – mówił prezydent. W jego kampanii nawet szerokopasmowy internet był obietnicą składaną „wszystkim polskim rodzinom”.

Był też oczywiście inny lejtymotyw: „daliśmy wam 500 plus”. A oprócz niego także marzenia o kraju, w którym – jak grzmiał w Augustowie – „nie jesteśmy spętani okowami lewicowej poprawności politycznej, gdzie chroniona jest rodzina,

i chronione są dzieci”. Bo w narracji Andrzeja Dudy – ale też w przekazie PiS – politycy tej formacji polską rodzinę „żywią i bronią”. Żywią, bo zlikwidowali biedę. Bronią, bo w dobie wojny kulturowej odpierają ataki zewnętrznych wrogów, na czele z „agresywną ideologią LGBT+”.

Nigdy dotąd polityczna propaganda z rodziną odmienianą przez wszystkie przypadki nie była tak intensywna. I równie dwuznaczna – bo odwołując się do szlachetnych idei, stała się w istocie jedną z najbardziej dzielących i wykluczających figur polskiej polityki.

Wybrakowani

Nie da się wykluczyć, że kampanijne tournée z rodziną na ustach przyspieszy wykrystalizowanie się nowej grupy społecznej, na razie jeszcze niezorganizowanej, ale już boleśnie świadomej tego, że w pewnym sensie składa się z obywateli uznanych za „gorszy sort”. Mowa o trzydziesto-czterdziestolatkach w szczycie wieku reprodukcyjnego, aktywnych zawodowo, nierzadko z dobrą sytuacją materialną, ale bezdzietnych. Czasami z wyboru podyktowanego pragmatyzmem lub wygodą, czasem z powodów zdrowotnych, bo bezpłodność dotyka →



→ dziś już półtora miliona polskich par – niemogących, w odróżnieniu od miażdżącej większości europejskich państw, liczyć na kompleksowe finansowanie leczenia (wprowadzony przez poprzednią ekipę w 2013 r. program refundacji in vitro został przez PiS przerwany).

Bez względu na tło ich bezdzietności wielu przedstawicieli tej grupy łączy poczucie, że państwo, które tak hołubi rodzinę i jej prokreacyjne funkcje, odstawiło ich na boczny tor.

– Czuję się wybrakowana. Dla państwa nie liczy się, jaką jestem obywatelką, co umiem i co mogę wnieść do wspólnoty. Kluczowe jest to, że nie urodziłam dziecka – to jedna z wielu łudząco podobnych do siebie deklaracji, które podczas pracy nad tym materiałem słyszeliśmy od bezdzietnych Polek i Polaków.

Ich poczucie wykluczenia wynikało z obserwacji, że większość najgłośniejszych, wprowadzonych w ostatnich latach elementów polityki społecznej stanowiły projekty skierowane do rodzin z dziećmi: flagowy 500 plus, jego późniejsze rozszerzenie na każde dziecko, wyprawka szkolna 300 plus, wcześniej zaś niebędąca gotówkowym transferem, tylko systemem ulg i zniżek, Karta Dużej Rodziny. A był przecież jeszcze pomysł wprowadzenia „bykowego” – dodatkowego opodatkowania bezdzietnych, który wywindowałby ten rodzinny pakiet rozwiązań już do poziomu karykatury. Idea nie została wcielona w życie, ale – zgodnie z doniesieniami „Rzeczpospolitej” – była na serio rozważana w gabinetach MSWiA.

Nie ulega wątpliwości, że polityka mająca stymulować dzietność to nie tylko prawo każdego europejskiego kraju, ale

Od 2016 r. co czwarte dziecko przychodzi w Polsce na świat **w związku nieformalnym.**

Tymczasem jeszcze w latach 90. wskaźnik ten nie sięgał nawet 10 procent.

powinność: zastępowalność pokoleń jest warunkiem istnienia każdej zbiorowości, a depopulacja stała się w naszej części świata jednym z kluczowych problemów. Trudno natomiast nie odnotować jednego ze skutków ubocznych skupienia tak dużych sił i środków państwa na tym jednym obszarze: poczucia pewnej części Polaków, że państwo dba o ich dobrostan wprost proporcjonalnie do prokreacyjnego wkładu. I że nawet formułując marzenia o dobrobycie na miarę najbogatszych krajów, beneficjentami tego skoku chce uczynić przede wszystkim ową „lepszą część” społeczeństwa. Nieprzypadkowo Andrzej Duda mówił w Augustowie o planie rozwoju, „by polska rodzina żyła na takim poziomie, jak żyje się w bogatych państwach na zachodzie Europy”.

W tym kontekście symptomatyczne były podczas minionej kampanii losy tzw. bonu turystycznego, który miał być początkowo – zgodnie z zapowiedziami minister Jadwigi Emilewicz – wsparciem dla zatrudnionych na umowach o pracę, aby mogli wykorzystać tysiąc złotych podczas wakacji w Polsce. Nieco później, ni stąd, ni zowąd przekształcono go jed-

nak w bon „na każde dziecko” od ubiegającego się o reelekcję Dudy. „Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku przyjadą tutaj polskie rodziny, przyjadą dzieci, przywożąc bon turystyczny wszystkim tym, którzy świadczą tutaj usługi turystyczne” – mówił prezydent.

Problem w tym, że PiS nie poprzestaje na dzieleniu rodzin na dietne i bezdietne.

„Otóż śmiem”

Konwencja programowa PiS, Słupsk, wrzesień 2019 r. „My chcemy Polski opartej o tradycyjną rodzinę (...) Trwały związek między kobietą a mężczyzną i dziećmi, które przychodzą na świat, jest czymś niezwykle cennym w wymiarze naszej cywilizacji chrześcijańskiej (...) – mówi Jarosław Kaczyński. – Ktoś tam krzychał do mnie: »jak ty śmiesz mówić, jak powinna wyglądać rodzina«. Otóż śmiem. A jak powinna, to wiadomo. Stały związek kobiety i mężczyzny, no i dzieci. Prosta sprawa”.

Passus o przewodniej roli chrześcijaństwa w polskim życiu społecznym nie jest oczywiście nowością w konserwatywnej narracji. Znamienne jednak, że prezes mylił się bardzo – i zapewne z premedytacją – nazywając „prostą sprawą” zjawisko, które w świetle badań socjologicznych i danych statystycznych okazuje się coraz bardziej zróżnicowane. Np. między 2002 a 2011 r. – czyli pomiędzy dwoma ostatnimi spisami powszechnymi – liczba Polaków żyjących w związkach nieformalnych wzrosła z 400 do 650 tys., czyli z 1,3 proc. do 2 proc. populacji. Od 2016 r. już co czwarte dziecko przychodzi w Polsce na świat w związku nieformalnym. Tymczasem jeszcze w latach 90. – gdy prezes Kaczyński był mężczyzną po czterdziestce, i być może wówczas ostatecznie wykrystalizowało się jego wyobrażenie o „typowej polskiej rodzinie” – wskaźnik ten nie sięgał nawet 10 proc.

Pod coraz większym znakiem zapytania pozostaje też nierozzerwalność małżeństwa, bo średni czas jego trwania od połowy minionej dekady uległ skróceniu z ponad 13 do 12,5 roku. Na 192 tys. małżeństw zawartych w 2018 r. przypa-
dło 63 tys. rozwodów – choć i tak ich wzajemne proporcje uległy poprawie w porównaniu z połową zeszłej dekady.

Powyższe zmiany oczywiście nie oznaczają, że tradycyjna rodzina, pojmowana tak, jak widzi ją prezes Kaczyński, należy

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Franciszka Ziejki

Dagmarze, Dominikowi, Joasi i Andrzejowi
wyrazy głębokiego współczucia
składają

PRZYJACIELE

w Polsce do rzadkości. W badaniu „Preferowane i realizowane modele życia rodzinnego”, które przeprowadził CBOS w kwietniu 2019 r., aż 49 proc. ankietowanych opisywało swój status rodzinny nieomal słowami szefa PiS: czyli jako dwuosobową rodzinę z dzieckiem lub dziećmi. Kolejne 21 proc. określiło krąg swych najbliższych jako rodzinę wielopokoleniową, a co dziesiąty badany okazał się osobą samotną. Ankietowani wychowujący dzieci w nieformalnym związku z osobą innej płci stanowili 3 proc. przebadanych, a samotni rodzice – 1 proc.

Co ważne, w porównaniu z danymi z bliźniaczej ankiety przeprowadzonej w 2008 r. w każdej z ostatnich dwóch kategorii zaobserwowano w 2019 r. spadki. Odsetek ankietowanych, którzy opisali swoje rodziny jako tradycyjne lub wielopokoleniowe, nie uległ tymczasem zmianie.

Politycy opozycji i lewicowi aktywiści, którzy zarzucają PiS dążenie do rekonstrukcji anachronicznego, dawno porzuczonego przez Polaków wzorca rodziny, nie odczytują zatem poprawnie ani intencji władzy, ani ich społecznego podłoża. W rzeczywistości plan partii Kaczyńskiego polega na zamrożeniu zmian obyczajowych, które wydają się jej nowotworem na zdrowej tkance polskiej obyczajowości. W cytowanym już badaniu ów tradycyjny model wydaje się także optymalnym dla olbrzymiej większości ankietowanych (55 proc. życzyłoby sobie rodziny w modelu dwa plus dzieci, a 32 proc. tęskni za jej wielopokoleniowym wariantem). Pytanie jednak, czy znakomita większość Polaków opowiedziałaby się także za tym, co PiS uznał za logiczne polityczne rozwinięcie obserwacji socjologicznych. Mianowicie za prerogatywą państwa do modelowania kształtu polskiej rodziny daleko poza sferę demograficzną.

Socjologowie i antropolodzy kulturowi od lat podkreślają, że charakterystyczną cechą polskiej obyczajowości pozostaje rozchwianie pomiędzy radykalnością ocen i zdolnością do tolerowania, może wręcz akceptowania postaw potępianych w sferze deklaracji. To, że większość Polaków za wzorzec rodziny uważa dwupłciowe małżeństwo wychowujące własne dzieci, nie musi zatem oznaczać niechęci do rodzin patchworkowych, samotnych rodziców czy niezgody na nazywanie rodziną związku dwojga bezdzietnych osób. Przeciwnie: kolejne badania od



lat pokazują, że w Polsce przybywa osób gotowych rozciągać definicję rodziny na związki osób bezdzietnych lub wręcz jednopłciowe. Nawet w odniesieniu do związków jednopłciowych wychowujących dzieci odsetek Polaków skłonnych nazwać je rodziną wzrósł między 2008 a 2019 r. z 9 do 23 proc.

W tym miejscu wyraźnie otwarta postawa polskiego społeczeństwa rozjeżdża się więc z radykalizmem PiS, który dzieli rodziny na równe i równiejsze. Przedstawiciele środowiska LGBT+ – przez ostatnie miesiące atakowani jak nigdy przedtem – to przecież czyjeś dzieci, bracia i siostry. „Politycy, urzędnicy bawią się życiem. Mogą doprowadzić do nieszczęść, które w środowisku młodzieży LGBT+ i tak się zdarzają. Dać oręż tym, którzy będą chcieli skrzywdzić nasze dzieci” – mówiła nam przed rokiem, w apogeum jednego z homofobicznych wzmożeń, Irmina Szałapak ze stowarzyszenia My Rodzice, zrzeszającego matki, ojców i sojuszników osób LGBT+, nie przypuszczając zapewne, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Demograficzny kłincz

Główną wadą prorodzinną polityki PiS jest prymat ideologii nad pragmatyzmem. Bilans jej działań – gdy już odrzecz go z propagandowego sztafetu – wypada bowiem zaskakująco błado. Efektów nie przyniosła nawet rządowa ofensywa demograficzna – bo przecież ten cel leży u podstaw programu 500 plus, który dopiero z czasem w narracji partii władzy przepoczwarzył się w narzędzie wyrównywania szans i niwelowania biedy.

To prawda: rządy PiS przypadły już na okres demograficznej zapaści, gdy ko-

nieczny do tzw. zastępowalności pokoleń wskaźnik nieco ponad dwójki dzieci na kobietę w wieku rozrodczym był pieśnią odległej przeszłości (początku lat 90.). Prawdą też jest, że po wprowadzeniu 500 plus – choć nie ma pewności, że w bezpośrednim związku z nim – rekordowo fatalne statystyki nieznacznie drgnęły, i to zarówno biorąc pod uwagę wspomniany wskaźnik, jak i liczby bezwzględne (w 2017 r. liczba urodzeń podniosła się np. o 20 tys. – po raz pierwszy od lat do nieco ponad 400 tys.). Ale potem było już znowu pikowanie, a rok obecny to ostateczne rozstanie ze złudzeniami: w pierwszym kwartale urodziło się o niemal dwa tysiące dzieci mniej niż w analogicznym okresie roku poprzedniego, a tzw. roczna suma krocząca urodzeń (dane za 12 ostatnich miesięcy) spadła w marcu do poziomu sprzed wprowadzenia flagowego PiS-owskiego programu.

To tym boleśniesz porażka, że w Polsce istnieje potencjał do odwrócenia fatalnego trendu. Młodzi Polacy – o czym mówiła ostatnio na naszych łamach demograf prof. Irena E. Kotowska z SGH – deklarują chęć posiadania większej liczby potomstwa (statystycznie około dwójki). Gdyby więc ograniczyć funkcję 500 plus do demografii, można by mówić o klęsce największej państwowej inwestycji w dietność ostatnich dekad.

Ktoś oczywiście mógłby pytać, jak wyglądałyby te same wskaźniki bez 500 plus, i dowodzić, że program zahamował przynajmniej negatywne trendy. Ale i to wątpliwe: polityka PiS jest przykładem nie tyle „dobrej zmiany”, co raczej dobrej kontynuacji. Rządy PO-PSL przyniosły bowiem zauważalną poprawę dostępności usług opiekuńczych (żłobki i przedszkola), a także ułatwienia dla pracujących rodziców (np. wydłużenie urlopu macierzyńskiego do roku), a obecna władza wzmocniła wsparcie o drugi, finansowy filar. Wszystko to nie ma jednak na razie odbicia we wskaźnikach dietności.

Dlatego warto ocenić 500 plus także w kontekście niewielkiego, ale zauważalnego spadku aktywności zawodowej kobiet. W 2016 r. badaczki Instytutu Badań Strukturalnych (przy współpracy OECD) wychwyciły grupę kobiet, które za sprawą 500 plus zrezygnowały z pracy bądź starań o nią. Iga Magda (IBS i SGH), Aneta Kielczewska (IBS), a także Nicola Banda (OECD) przyjrzały się ruchom na rynku pracy między III kwartałem

→ 2016 a II kwartałem 2017 r. Wniosek: między 91 a 103 tys. kobiet zmieniło wówczas rynkowy status tylko za sprawą wprowadzenia programu. Efekt dotyczył przede wszystkim kobiet gorzej wykształconych i mieszkających w mniejszych miejscowościach – co PiS przedstawił zresztą jako zwycięstwo rodziny, która odzyskuje wreszcie matkę zajętą dotąd wyczerpującą i do tego słabo płatną pracą.

Nie da się zaprzeczyć, że największą chorobą polskiego rynku pracy w III RP były i w niektórych miejscach nadal są: fatalna relacja pensji do efektywności, umowy cywilnoprawne i folwarczne relacje pracodawcy z pracownikami. Dobrze, że transfery socjalne PiS ułatwiły wyjście z tego zaklętego kręgu przynajmniej najsłabszym. Gorzej, że odbywało się to i odbywa przy akompaniamencie obietnic władzy o budowie nowoczesnej, konkurencyjnej gospodarki, która niebawem „dogoni Zachód”.

Narracja polityków PiS staje się w tym miejscu prostacko demagogiczna, bo zapewnieniami prezydenta, który w kampanii zapowiadał walkę o wyrównanie dochodów polskich rodzin z zachodnioeuropejskimi, nie da się pogodzić z jednoczesnym idealizowaniem tradycyjnego mo-

delu rodziny utrzymywanej przez mężczyznę.

Powojenny boom gospodarczy w USA i w Europie Zachodniej opierał się także na uaktywnieniu zawodowym milionów zamkniętych wcześniej w domach miejsc pracy opuszczonych przez zmobilizowanych mężczyzn. W USA – jak pisze Susan M. Hartmann w książce „The Home Front and Beyond: American Women in the 1940s” – w latach 1940-45 odsetek czynnych zawodowo kobiet wzrósł o 50 proc. i w efekcie pod koniec II wojny światowej amerykańska gospodarka zyskała aż 6,5 mln nowych rąk do pracy. W tym samym czasie odsetek kobiet pracujących jako służące spadł z 17,7 do 9,5 proc. Średnia pensja kobiet wzrosła zaś z 31,2 do 54,6 dolara tygodniowo i nic dziwnego, że w 1945 r. już 68 proc. żon amerykańskich pracujących w przemyśle, usługach lub administracji publicznej chciało zatrzymać swoje rodziny po wojnie. Po kapitulacji Niemiec i Japonii tej tymczasowej emancypacji rynku pracy nie dało się już zahamować, co z czasem przyniosło wymierne owoce zarówno gospodarkom, które skokowo zwiększyły produktywność, jak i samym

rodzinom, które mogły odtąd utrzymywać się z dwóch pensji.

Deklarację zmian w kodeksie pracy, zrównujących płace obu płci, złożoną przez prezesa Kaczyńskiego w szczycie kampanii prezydenckiej, potraktujmy jako kielbasę wyborczą do czasu, aż projekt trafi pod obrady. Warto za to bliżej przyjrzeć się innej, już zrealizowanej obietnicy, za którą również stała ideologiczna wizja wzmocnienia tradycyjnej wielopokoleniowej rodziny, czyli obniżeniu wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Wyjęci z rynku pracy seniorzy w wizji PiS mieliby domyślnie pomóc dzieciom w wychowywaniu wnuków.

W tej idyllicznej wizji rząd przemilcza jednak ekonomiczne konsekwencje skrócenia wieku emerytalnego, które – z racji niższych zarobków, obowiązków macierzyńskich i wreszcie dłuższego przewidywanego czasu życia – odczują przede wszystkim kobiety: z symulacji fundacji GRAPE wynika, że w przypadku obecnych 40-latków, urodzonych w drugiej połowie lat 70. XX w., mediana wysokości emerytury względem obecnej spadnie o około 25-30 proc. wśród kobiet. Wśród mężczyzn spadek nie przekroczy 11 proc.



Wrocław, październik 2015 r.

Prognoza demograficznej (nie)pogody

KONIEC GRUDNIA 2019 R.

– Polska liczy 38 mln 383 tys. mieszkańców, a więc o niemal 23 tys. mniej niż pod koniec

roku poprzedniego. Rok 2050 – jest nas o cztery miliony mniej, pół wieku później zaś populacja topnieje o 10 mln

w stosunku do dzisiaj. To tylko jedna z demograficznych prognoz dla naszego kraju, który – choć w tej chwili należy jeszcze do relatywnie młodych na tle całej Unii Europejskiej – starzeje się w bardzo szybkim tempie. Z końcem ubiegłego roku statystyczny mieszkaniec Polski miał 41 lat (gdyby był mężczyzną, dobiegałby czterdziestki, kobieta miałaby blisko 43 lata), przy średniej unijnej wyższej o około dwa lata. To aż o osiem lat więcej niż na początku lat 90.

PROGNOZUJE SIĘ, że mediana

wieku w 2035 r. przekroczy w Polsce 48 lat, a w 2050 r. wyniesie już około 52. Zdecydowanie szybciej będą się starzeć mieszkańcy miast. Tak oto nasz kraj z jednego z najmłodszych w Europie za

trzy dekady może się stać jednym z najstarszych.

ALARMUJĄCE SĄ zwłaszcza

prognozy dotyczące przewidywanego odsetka Polaków w wieku poprodukcyjnym (według obowiązującego dziś u nas prawa to kobiety w wieku 60 lat i starsze oraz mężczyźni 65 plus). W tej chwili odsetek mieszkańców w tym wieku wynosi już ponad 20 proc. i będzie się podnosił – dochodząc w 2050 r. do około 30 proc. Stąd konieczność – poza próbami stymulowania dzietności, które na razie okazały się w Polsce mało skuteczne – głębokich zmian w polskiej polityce na wielu obszarach: od rynku pracy przez system emerytalny aż po architekturę czy usługi opiekuńcze. © PW

Bieda zagnana w ką

Jest oczywiście jedno ważne osiągnięcie PiS: obniżenie za sprawą 500 plus wskaźników biedy. Przed wprowadzeniem programu w skrajnym ubóstwie żyło ponad 7 proc. Polaków. W 2019 r. – wedle ogłoszonego dopiero co raportu GUS – współczynnik ten spadł do poziomu 4,2 proc. Co ważne, najbardziej na tych spadkach zyskały rodziny wielodzietne, wśród których zasięg skrajnej nędzy od początków polskiej transformacji pozostawał wielkim i nierozwiązanym problemem (na początku 2015 r. wypomniła to Polce nawet Komisja Europejska). Sukces 500 plus w tej mierze jest więc niepodważalny, choć przesadą były słowa prezydenta Dudy, który chwalił się podczas kampanii – nie wiadomo na jakiej podstawie – że PiS zniwelował biedę tych rodzin „o ponad 90 procent”.

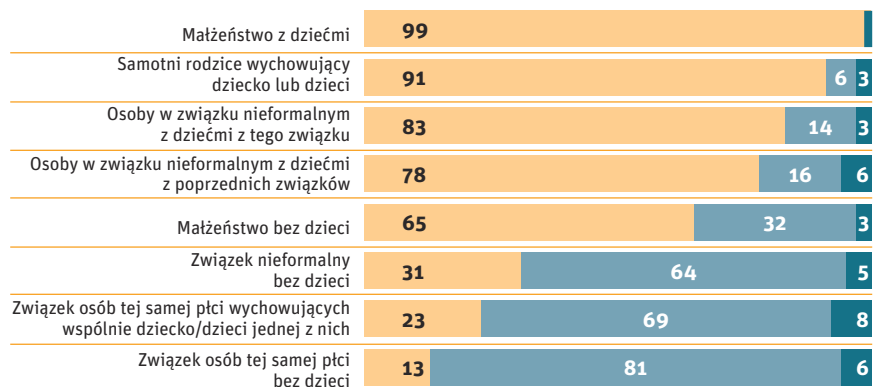
Czy można ogłosić partię Jarosława Kaczyńskiego rzeczniką najbardziej zagrożonych wykluczeniem i biedą polskich rodzin? Bynajmniej: za dużo jest czynników, które komplikują ten obraz. Choćby pierwszy z brzegu, bo odnoszący się do rzeczywistości trwającej jeszcze epidemii: decyzja o zdalnym nauczaniu w szkołach, z równoczesnym zachowaniem pełni wymagań programowych, uderzyła najboleśniej właśnie w dzieci z takich rodzin. A minister edukacji Dariusz Piontowski nie siłił się nawet na oszacowanie skali najbardziej poruszającego zjawiska, czyli zniknięcia tysięcy uczniów z systemu – w efekcie nie tylko cyfrowego wykluczenia, ale też trudnej sytuacji rodzinnej.

Epidemia unaocniła zresztą jeszcze inny problem: niewydolność pomocy społecznej, której pracownicy w obliczu „zaginionych” dzieci rozkładali bezradnie ręce. To problem głębszy niż tylko porażka czterech miesięcy zdalnej szkoły: partii władzy deklarującej przy każdej okazji troskę o dobro rodzin nie udało się wzmocnić tej sfery – np. wprowadzonych jeszcze za poprzedniej władzy asystentów rodziny, mających pomagać w codziennym życiu najbardziej bezradnym rodzinom, nadal w wielu gminach brak. A tam, gdzie są, bywają przepracowani oraz fatalnie wynagradzani.

Dziecko na ołtarzu rodziny

W kilkuletniej praktyce władzy PiS zaznacza się jeszcze jeden głęboki rozdźwięk: między deklarowaną troską o „dobro rodziny”, a decyzjami, których rezultaty bo-

Co jest rodziną według Polaków



ŹRÓDŁO: CBOS, „RODZINA – JEJ ZNACZENIE I ROZUMIENIE”, LUTY 2019

leśnie uderzają w sytuację bytową jej najsłabszych członków – dzieci.

Koronny przykład to głośna ustawa „Za życiem”, dająca jednorazowy zasiłek w wysokości 4 tys. zł rodzicom, którzy – mimo nieodwracalnej wady bądź choroby dziecka w okresie płodowym – zdecydowali się na niedokonywanie aborcji. Cały pakiet udogodnień i przywilejów gwarantowanych na papierze przez nowe prawo (rehabilitacja, szybka opieka lekarska, specjalny „asystent” dla rodziny) okazał się w dużej mierze iluzją. „Ta ustawa w ogóle nie działa. Kiedy o niej słyszę, rzucam mięsem i mam ochotę rozwalić telewizor. Nasze »dobre państwo« gardzi niepełnosprawnymi dziećmi, bo one nie pójda zagłosować” – mówiła Małgorzata Nocuń mama chłopca cierpiącego na rzadką chorobę genetyczną.

Przykład kolejny: deklarowana przez PiS obrona rodzin przed urzędniczą wszechwładzą. Gdy rządziła koalicja PO-PSL, politycy prawicy co i rusz podnosili alarm, że polskie państwo firmuje praktykę odbierania rodzinom dzieci „za biedę”. Zapowiadano rewolucję, choć nie bardzo było wiadomo, na czym ma ona polegać – żadne poważne analizy nie wykazały, by bieda była bezpośrednią przyczyną odbierania potomstwa. W efekcie tego propagandowego wzmożenia po dojściu prawicy do władzy na dołach systemu zapanował strach – dziś nietrudno usłyszeć od pracowników pomocy społecznej czy sędziów rodzinnych, że niewydolnym rodzinom biologicznym daje się w nieskończoność szanse na poprawę sytuacji. Kosztem dzieci, które krążą między środowiskiem rodzinnym a domami dziecka bądź rodzinami zastępczymi.

System pieczy zastępczej to zresztą kolejny dobry test faktycznej dbałości obecnej władzy o „rodzinną Polskę”. Jeszcze poprzednia ekipa zapoczątkowała – do pewnego stopnia skutecznie – proces tzw. deinstytucjonalizacji, czyli odchodzenia od anachronicznych i szkodliwych dla rozwoju dużych domów dziecka na rzecz rodzin zastępczych. Ostatnie lata to już jednak stagnacja: w latach 2017-19 w placówkach przebywało niezmiennie ponad 16 tys. dzieci. Wiele z nich bez szans na stabilne życie – powrót do rodziny biologicznej lub adopcję.

Może więc choć na tym ostatnim polu coś się poprawiło? Andrzej Duda podczas kampanii wyborczej brał w obronę „polską rodzinę” przed możliwością adoptowania dzieci przez pary homoseksualne, a nawet proponując wpisanie takiego zakazu do Konstytucji. Ale nie zająknął się choćby raz o tym, jak system polskich przysposobień usprawnić.

A byłoby co usprawniać: liczba adopcji za rządów PiS z roku na rok spadała – z ponad 3300 w roku 2015 do 2661 trzy lata później. Dzieje się tak nie dlatego, że brakuje kandydatów do przysposobień (wprost przeciwnie: czekają w kolejkach). Sytuację diagnozowała NIK, podając, że od początku 2015 r. do połowy 2017 r. z około 75 tys. dzieci będących w pieczy zastępczej jedynie 6 tys. zakwalifikowano do adopcji. Powód? W wielu przypadkach – używając prawniczego eufemizmu – „nieuregulowana sytuacja prawna”. A mówiąc dosadniej: przeciąganie w nieskończoność iluzji, iż u boku biologicznych rodziców dziecko znajdzie wreszcie szczęście.

Być może najbardziej wstydliwym wycinkiem tego systemu są losy dzieci →

→ porzuconych przez biologicznych rodziców – nieuleczalnie chorych, upośledzonych, z wadami, a więc takich, które mają minimalne szanse na znalezienie stabilnego dachu nad głową. Do 2016 r. istniała dla nich szansa na stały dom – adopcje zagraniczne, których rocznie przeprowadzano między 200 a 300. Tyle że PiS – znowu: przy użyciu wzniosłych haseł, sprowadzających się do zasady, że „polskie dzieci powinny być w polskich rodzinach” – system zagranicznych przysposobień niemal zlikwidował.

Owszem, w tle tej decyzji był dramat jednej z dziewczynek wysłanych do USA (była najprawdopodobniej za oceanem krzywdzona) – ale decyzja o ograniczeniu do minimum adopcji poza granice kraju namnożyła innych dramatów. Śledziłyśmy na łamach „TP” losy konkretnych dzieci, którym odmówiono wyjazdu: tułały się i tułają po polskim systemie pieczy zastępczej, czasami skazane na opiekę w zakładach opiekuńczo-leczniczych.

Historie takich dzieci boleśnie pokazują newralgiczny styk politycznej ideologii i życia. Kilka tygodni temu opublikowaliśmy rozmowę Anny Kiedrzynek z Michałem Błochem, lekarzem opiekującym się ciężko chorymi dziećmi w dolnośląskich hospicjach i ZOL-ach. Nieco wcześniej napisał list do posłów PiS i Konfederacji, którzy poparli restrykcyjny projekt ustawy aborcyjnej autorstwa Kai Godek – chciał, by pomogli, a przynajmniej zainteresowali się losem dzieci. „Nawet nie odpisali na maila. Inni

posłowie z tej samej partii lubią mówić, że aborcja powinna być zakazana, bo dziecko z ciężką i nieodwracalną wadą można oddać” – mówił Błoch, opowiadając dramatyczne historie wielu spośród tych oddanych dzieci.

„Podstawowa komórka społeczna”

Obraz, na który składają się powyższe elementy, nie napawa optymizmem. PiS czyni z rodziny coś w rodzaju nowej jednostki społecznej miary. Można zaryzykować tezę, że partia cofa zegar o trzy dekady: do czasów, gdy społeczeństwo nie składało się jeszcze z upodmiotowionych jednostek. Podmiotem polskiego życia społecznego ponownie staje się właśnie rodzina jako „podstawowa komórka społeczna”, ciesząca się ochroną państwa – nawet za cenę praw obywateli.

Stąd krytyka tzw. konwencji antyprzemocowej i postrzeganie jej jako zagrożenia dla „tradycyjnej polskiej rodziny”. Stąd też partyjna obstrukcja i oburzenie, z jakim spotkał się były rzecznik praw dziecka Marek Michałak, proponujący zmianę w kodeksie rodzinnym zapisu o „władzy rodzicielskiej” na „odpowiedzialność rodzicielską”. „Ta propozycja nie może być przyjęta. Nie możemy zgodzić się na to, by prawnie oderwać dziecko od rodziny. Jest to tendencja pojawiająca się w zachodniej Europie. Tam się źle dzieje. Często dzieci są odbierane z byle powodu rodzinom i są przekazywane do adopcji, również homoseksualnych” – przestrzegał poseł PiS Piotr Uściński.

ski, wówczas przewodniczący Parlamentarnego Zespołu na rzecz Polityki i Kultury Prorodzinnej, dodając, iż proponowana przez RPD zmiana „może doprowadzić do różnego rodzaju dewiacji” (cytaty za radiomaryja.pl).

W podobne tony – akcentujące rodzicielską władzę – uderzał w zakończoną kampanii Andrzej Duda, mówiąc, że „czas najwyższy, by w naszym systemie prawnym, zgodnie z oczekiwaniami rodziców, wreszcie to prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem było realizowane”. Nauczyciele i prawnicy natychmiast przypomnieli głowie państwa, że oto z dumą ogłosił plan otwarcia drzwi do lasu, bo przepisy zapewniają już podobny wpływ na linię programową szkoły radom rodziców.

Ale prezydent bez wątplenia wiedział, co mówi. W jego wizji naturalne prawo każdego rodzica do współdecydowania o kształcie edukacji zostało rozdęte, na razie w sferze politycznej retoryki, niemal do rozmiarów wyłączności. Sprowadzając rzecz do absurdu, można wyobrazić sobie rodziców, którzy z bliżej nieznanych powodów zakazują uczenia ich dzieci matematyki.

Scenariusz, w którym wskutek podobnego życzenia z programu szkoły znikają elementy teorii ewolucji, partie materiału o szczepionkach czy nauka o zmianach klimatycznych, jest niestety znacznie bardziej realny.

©© MAREK RABIJ,
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin
Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwiał-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
S. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek
Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław
Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał
Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziolek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P.
Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław
Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Suwerenność dzięki Wam!

Od 2002 roku **działamy na rzecz demokracji**, wolności mediów i swobód obywatelskich.

Trzy pierwsze cele w statucie naszej organizacji pożytku publicznego to:

- Pogłębianie i promowanie **demokratycznego modelu** życia społecznego.
- Propagowanie modelu dialogu społecznego i rozwoju podstaw instytucji **społeczeństwa obywatelskiego**.
- Propagowanie i pogłębianie idei wolności słowa oraz wolnych i **niezależnych środków masowego przekazu**.

Cele te wypełniamy poprzez organizację debat, akcji społecznych (takich jak ogólnopolskie „Lekcje czytania”), festiwali (naukowy Copernicus, literacki Conrad), a przede wszystkim poprzez **„Tygodnik Powszechny”**, który w tym roku obchodzi swoje 75-lecie, a od siedmiu

lat jest najszybciej rosnącym tygodnikiem opinii w Polsce, jedynym miejscem, w którym swobodnie może publikować **ks. Adam Boniecki**: redaktor senior pisma, a także przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego. W ostatnich latach znacznie zmniejszyło się wsparcie, jakie naszym inicjatywom udzielały instytucje państwowe, m.in. przez obniżenie wsparcia dla organizacji Festiwalu Conrada, największego festiwalu literackiego w Polsce, i całkowity brak wsparcia dla „Lekcji czytania”.

Dzięki hojności Darczyńców nadal dążymy do realizacji celów statutowych, jednak bez dalszego wsparcia z Państwa strony będzie to z każdym miesiącem coraz trudniejsze. Dlatego **prosimy o pomoc**, byśmy wspólnie mogli wspierać polską demokrację, wolne media i swobody obywatelskie.

Wpłaty można dokonywać w specjalnej zbiórce zorganizowanej na Facebooku pod adresem **powszech.net/zbiorka** lub korzystając z płatności online pod adresem **powszech.net/dar**. Darowizny można przekazywać także bezpośrednio na konto:

Fundacja Tygodnika Powszechnego
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Santander Bank Polska S.A.

nr: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001
IBAN:

PL 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001
przelew w USD:

PL 17 1090 0088 0000 0001 4140 2432

przelew w EUR:

PL 80 1090 0088 0000 0001 4140 2365

SWIFT: WBKPLPP

Państwa niezbędne wsparcie jest dla nas zobowiązaniem. Dziękujemy!

Aleksander Kardys
Prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego

PAWEŁ

Śpiewak: *Dar wielości*



PAN BÓG NIE ZNISZCZYŁ WIEŻY BABEL. NIE zburzył miasta, które wtedy powstawało. Nie spuścił siarki i ognia, jak w Sodomie. Zamiast tego pomieszał języki budowniczych. Powstały odmienne wspólnoty, etnosy, które rozproszył po całej ziemi. Od-

ąd żyjemy w mniej lub bardziej izolowanych narodach, tradycjach, językach, systemach politycznych, w rywalizacjach i w niekończących się wojnach. Sen o jedności i wielkości człowieczeństwa zakończył się milionami pomordowanych, zniszczeniem, gruzami. Pan Bóg wydał nas na wieczny strach i nagłą śmierć. Uruchomił nieokiełznane siły zniszczenia. Można mu tylko złorzeczyć i pytać siebie oraz Księgi nad Księgami, dlaczego tak uczynił?

W platońskiej metaforze jaskini odwróceniu od ognia, odizolowani od słońca ludzie siedzą w ciemności, przykuci do siebie, mając przed oczyma cienie rzeczy i ludzi. Biorą je za prawdę. Spierają się o to, co widzą, wymieniają opinie, może nawet kłócą, ale niedostępne jest im pełne światło, jasność widzenia. Iluzje biorą za rzeczywistość. Nie domyślają się, że trzeba spojrzeć na siebie, swoje zmysłowe doznania, z głębszej perspektywy. Zobaczyć, czym są, a nie czym się wydają. Takimi byli mieszkańcy doliny Synear, gdzie budowano wieżę Babel. Zamknięci w swoich planach, zmysłach, nie dostrzegali źródła wszystkiego. Boga. Czuli się mocni i samowystarczalni. Nie rozumieli, co czynią. Ludzkość żyła obojętna, co nie znaczy wroga Boga. Po prostu dla nich nie istniał.

Tym, co ich zamykało na doświadczenie zewnętrzne, była też wspólnota językowa. Jeden język pozwala się komunikować, ale jest również ograniczeniem, bo nie pozwala spojrzeć na siebie z zewnątrz. Oczami innych kultur, innych ludzi. A każde z nich wnosi odmienność, własny punkt widzenia.

Mądrość i roztropność – jeśli potrafimy się wzniesić ponad swoje poczucie samowystarczalnego egotyzmu – domagają się wielości. Nazywamy to pluralizmem. Nasz „naturalny” stan życia to wielość, a nie powtarzalność. Bez wspólnoty żyć mogą tylko bogowie i potwory. Tego uczył Arystoteles. Ludzie żyją między sobą z wymiany dóbr i ocen.

Podział ludzkości na narody był karą. Niósł niebezpieczeństwo wojen. Ale też błogosławieństwo odmienności. Każda kultura wnosi różne zwyczaje, tak jak każdy człowiek przynosi na świat nowy początek i nową na nim obecność. Bóg – jak rozumiem – nie chciał zuniformizowanej ludzkości, zamkniętej w jednej dolinie, samozadowolonej ze swojej niewiedzy. Chciał każdego w swojej osobności. Adam, pierwszy człowiek, potrzebował kogoś drugiego i odmiennego. Była to Ewa. Tak samo jest z nami w naszych osobnościach kultur, charakterów, osobowości.

Dar wielości jest pierwszym darem Boga. Tworzy ramy ludzkiej kondycji. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Sprawdzam*



BÓG POWIEDZIAŁ DO SALOMONA: PONIEWAŻ „nie poprosiłeś dla siebie o długie życie ani o bogactwa, ani też o śmierć twoich wrogów, lecz prosiłeś dla siebie o zdolność rozstrzygania spraw po wysłuchaniu stron, dlatego spełniam twoją prośbę:

daję ci rozum i przenikliwość. Podobnego tobie nie było i nie będzie. Dam ci także to, o co nie prosiłeś: bogactwo i sławę, jakich nie posiada żaden z królów panujących w twoich czasach. A jeśli będziesz chodził drogami, które ci wskazałem, oraz przestrzegał moich praw i przykazań, podobnie jak twój ojciec, Dawid, to obdarzę cię długim życiem”. Czy ta pochwała, skierowana pod adresem Dawida, nie jest przypadkiem na wyrost? Przecież powszechnie wiadomo, jaki ten Dawid był. Wystarczy przypomnieć, co zrobił Uriaszowi Hetycie i jak postąpił z jego żoną Batszebą.

Owszem, Dawid miał wiele na sumieniu, był grzesznikiem, ale – mówiąc za papieżem Franciszkiem – nie był zepsuty, nie był zakłamanym człowiekiem, gdyż miał odwagę uznać swój błąd i winę. Dlatego Bóg stawia go za wzór królowi Salomonowi.

Ostatnimi czasy również w naszych świątyniach zrobiło się tłoczno od polityków i głośno od tzw. kazań patriotycznych. Nie wiem, o co modlili się rządzący i mający rządzić w naszym kraju, jak też o czym myśleli kaznodzieje, niemniej godzi się to pytanie zadać, gdyż chodzi o wspólne dobro nas wszystkich, nie tylko Polaków w znaczeniu etnicznym czy politycznym. A odpowiedź nasuwa się sama.

„Pilnie trzeba znaleźć rozwiązanie dla tej nieludzkiej sytuacji, jaka ma miejsce w Libii, niewiele kilometrów od wybrzeży Włoch, a więc Europy. W obozach dla uchodźców dzieją się przerażające rzeczy, które papież Franciszek nazwał »piekłem«, tysiące ludzi doświadcza niewyobrażalnych cierpień – mówi Mauro Garofalo ze Wspólnoty św. Idziego. – Znaleźcie dla nich drogi wyjścia jest bardzo trudne, ale możliwe, i moim zdaniem trzeba by rozpocząć od utworzenia korytarzy humanitarnych do Włoch i innych krajów europejskich. Ten model z sukcesem został już sprawdzony. Chciałbym podkreślić to, co już powiedział Ojciec Święty, a chodzi o wyzwanie dla cywilizacji europejskiej, gdyż Europa musi odnaleźć siebie samą i ratować życie tych ludzi, którzy pragną tu przybyć, a zaryzykowali wszystko: godność, swoje dobra, zdrowie. (...) Ci ludzie muszą jak najszybciej być ewakuowani, gdyż w przeciwnym razie pozostaną zakładnikami w rękach bojowników, handlarzy narkotykami i ludźmi, a to jest nie do przyjęcia”.

Więc jak, panowie politycy i kaznodzieje? Jak to jest z tą naszą kulturą i religią, której chcecie bronić? Widzę, że dla Boga jest w niej sporo miejsca, ale dla człowieka, zwłaszcza „mającego się złe”, jakby mniej, znacznie mniej. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pełnia objawienia

Wiara to niezachwiana
stałość duszy, której
nie mogą naruszyć
żadne przeciwności losu.
Wiara jest matką
wyciszonego.
Bez niej – jak mógłby żyć
w wewnętrznym pokoju?

JAN KLIMAK



Spełniaj każdy czyn
jako ofiarę,
bez przywiązania do niego.

BHAGAWADGITA



LITURGIA KILKAKrotnie ostatnio przypomniła nam tekst Jezusowy zapisany u św. Mateusza pod koniec rozdziału 11: „Wysławiam Cię, Ojczy, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroptymi, a objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojczy, gdyż takie było Twoje upodobanie” (Mt 11, 25-26). Dawne tłumaczenie – zakorzenione zapewne w naszej pamięci – brzmiało: „objawiłeś je maluczkim”.

Nawiązywało ono wprost do łacińskiego przekładu dokonanego przez św. Hieronima: „*revelasti ea parvulis*” – łacińskie *parvulus* można przetłumaczyć jako „maleńki”. Grecki tekst ma tutaj słowo *nēpios*, które oznacza niemowlę – dziecko, które jeszcze nie potrafi mówić. Wszystkie te „lekcje” – przyznanie – są same w sobie intrygujące i potrafią wciągnąć. Ostatnio jednak przytoczony tekst otworzył się przede mną w zupełnie nowy i olśniewający sposób, a to za pomocą prostego pytania-klucza: o kim właściwie Jezus mówi? Komu Ojciec zechciał objawić rzeczy przed innymi zakryte?

Odpowiedź wydaje się jedna: Jezus mówi o sobie.

On jest „maleńki”. Z wyboru. Uniżył samego siebie (Flp 2, 8); stał się sługą/niewolnikiem wszystkich. On nie przestraszyłby się pewnie także

słowa „prostaczek”, jeśli tylko pomyślimy o rzeczywistych realiach wcielenia: o warunkach, w jakich wychowywał się w Nazarecie (wcześniej jeszcze o stajni, w której się urodził), o zawodzie cieśli (po Józefie), o opinii, jaką miał wśród ziomków („skąd u Niego ta mądrość?”) i przeciwników („Zbadaj, zobacz, że żaden prorok nie powstaje z Galilei”). On wreszcie jest najdoskonalszym Dzieckiem Boga Ojca – pozostaje z Nim w najpiękniejszej relacji dziecięcej/synowskiej, doświadczanej przede wszystkim jako niewyczerpane obdarowanie.

I o tym właśnie mówi: „Wszystko przekazał mi Ojciec mój, i nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić” (Mt 11, 27).

Ojciec wszystko objawia Synowi – wszystko to, co dla innych jest „zakryte”; a objawia Mu właśnie dlatego, że jest „maluczkim” i „prostaczkim”, który chce poznawać Boga nie przez sekwencję syllogizmów (nawet zbudowanych na źródłach Objawienia), lecz w pełnej miłości, zaufania i powierzenia siebie relacji Dziecka do Ojca.

Ile wiem z Boga?

A ile jest przede mną zakryte?

Czego mi brakuje (jakich kwalifikacji czy predyspozycji i postaw), skoro jest przede mną zakryte?

Tyle jest w nas predyspozycji do poznania Boga, ile jest w nas podobieństwa do Jezusa. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 VII – 2 VIII)

17. niedziela zwykła: 1 Krl 3, 5. 7-12; Ps 119;

Rz 8, 28-30; Mt 13, 44-52;

Poniedziałek: Jr 13, 1-11;

Ps: Pwt 32, 18-19. 20. 21; Mt 13, 31-35;

Wtorek: Jr 14, 17-22; Ps 79; Mt 13, 36-43;

Środa: 1 J 4, 7-16; Ps 34; J 11, 19-27;

Czwartek: Jr 18, 1-6; Ps 146;

Mt 13, 47-53;

Piątek: Jr 26, 1-9; Ps 69; Mt 13, 54-58;

Sobota: Jr 26, 11-16. 24; Ps 69; Mt 14, 1-12;

18. niedziela zwykła: Iz 55, 1-3; Ps 145;

Rz 8, 35. 37-39; Mt 14, 13-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

POWYBORCZE NIEPOKOJE

Mimo wygranej Dudy w obozie władzy narasta napięcie: nadciąga czas rozliczeń i porachunków. Wynik Trzaskowskiego stał się dla PiS sygnałem alarmowym. Ale i opozycję czekają trudne decyzje.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

TAKIEGO WYŚCIGU JESZCZE W HISTORII polskich wyborów prezydenckich nie było. Andrzej Duda otrzymał 10,4 mln głosów, a przegrany Rafał Trzaskowski 10 mln. To drugi i trzeci wynik w historii – obaj ustępują tylko Lechowi Wałęsie (10,6 mln) wybranemu w 1990 r., w zupełnie innej epoce.

Andrzej Duda został prezydentem, bo otrzymał twarde poparcie elektoratu PiS, który wrzucając karty do urn głosował za socjałem, a przeciw LGBT, Niemcom, Żydom i Ukraińcom – przynajmniej tak te wybory propagandowo przedstawiał obóz władzy w TVP. Za to Trzaskowski choć przegrał, to zdecydowanie wyszedł poza elektorat Koalicji Obywatelskiej, stworzonej przez PO. Co po raz pierwszy od pięciu lat wlało nadzieję w serca tych, którzy cierpią, żyjąc w Polsce Kaczyńskiego i Dudy. Nawet jeśli dziś plącą depresją za kilkanaście dni wiary, że to już teraz – to jednak zyskali lidera, z którym wiążą nadzieję na zmianę.

Gowin niewymienialny

W PiS czuć ulgę. Udało się wygrać o włos, w sytuacji, gdy porażka oznaczałaby koniec całej rewolucji Kaczyńskiego. Wystarczy trochę wyobraźni. Założmy, że ci wyśmiewani przez obóz władzy „młodzi, wykształceni, z dużych miast” zmobilizowaliby się bardziej. Trzaskowski jako prezydent wetowałby wszystkie ustawy PiS dotyczące kwestii przez ostatnie lata drażliwych politycznie. Na odrzucenie weta PiS nie miałyby szans.

Przy sprzeciwie nowego prezydenta PiS nie mógłby dokończyć przejmowania kontroli nad sądami (zwłaszcza że prezydent określa regulamin Sądu Najwyższego).



KAROLINA MISZTAŁ / REPORTER

Obóz władzy nie mógłby też przykręcić śruby prywatnym mediom, co zapowiadał Kaczyński, niezadowolony ze sposobu relacjonowania przez nie kampanii wyborczej. Jednocześnie skończyłoby się dofinansowanie dla TVP w formie ustawowej dotacji i PiS musiałby szukać innych sposobów, by płacić za propagandę.

Trzaskowski próbowałby uzyskać znaczący wpływ na politykę zagraniczną i obronną przez prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Narzędzia nacisku? Choćby wstrzymywanie nominacji generalskich. Podobnie z ambasadorami – żaden kandydat rządu nie wyjedzie na placówkę bez zgody prezydenta.

Zły sen prezesa się nie ziści. Wygrana Dudy oznacza, że do końca trwającej ka-

dencji parlamentu rewolucja będzie nadal wykuwana w drodze z Żoliborza na Nowogrodzką. Mimo to w obozie władzy można wyczuć napięcie. Nadciąga bowiem czas rozliczeń i porachunków.

Podczas kampanii PiS prezentował się jako jednolity, dobrze zarządzany obóz, który ma do zaoferowania wyborcom jasną wizję świata. Ale jednolity wcale nie był – i wkrótce się o tym przekonamy. Kaczyński chce się pozbyć Jarosława Gowina, który zablokował wybory korespondencyjne w maju, czym utrudnił reelekcję Dudy. W świecie wartości Kaczyńskiego Gowin po prostu zawiódł w kluczowym momencie.

Szkopuł w tym, że PiS, partia Gowina i formacja Zbigniewa Ziobry mają razem

235 mandatów – ledwie pięć ponad sejmowe minimum. Wyrzucenie Gowina, z którym – jak się szacuje – może wyjść od siedmiu do dziesięciu innych posłów, to wielkie ryzyko.

Tym bardziej że do koalicji nie pali się ani PSL, ani Konfederacja – a takie oferty emisariusze z PiS im składają. Po fatalnym wyniku wyborczym w pierwszej turze (niespełna 2,4 proc.) szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz jest załamany. A to stan, który nie służy podejmowaniu poważnych decyzji. Część ludowców może by i chciała do PiS (były minister rolnictwa Marek Sawicki), ale wielu jest temu przeciwnych. Głównie silna frakcja europosłów, którzy wsparli Trzaskowskiego (dwukrotny kandydat PSL na prezydenta Jarosław Kalinowski, jednokrotny Adam Jarubas oraz potencjalny Krzysztof Hetman).

Prędzej z PiS dogadałby się Paweł Kukiz, który we wspólnym z PSL klubie ma kilkoro posłów, a po wyborach grzmi, że z chłopów wychodzą chłopci i on ma już dość. Tyle że Kukiz jest niesterowalny i domagałby się od Kaczyńskiego realizacji swych postulatów, takich jak okręgi jednomandatowe – o czym PiS nie chce słyszeć.

Konfederacja także nie czuje mięty do Kaczyńskiego, choć z powodów przeciwnych niż PSL. Bo Konfederacja po wyborach kwitnie – procentowo obroniła wynik z wyborów do Sejmu, ale ze względu na wyższą frekwencję w liczbie głosów nieznacznie zyskała (Krzysztofa Bosaka poparło 1,3 mln wyborców).

Konfederaci liczą, że w kolejnych wyborach będą mieć kilkanaście procent i wtedy porozmawiają o wspólnym rządzie z PiS na swoich warunkach. Dlatego dziś nigdzie się nie spieszą; kalkulują, że będą zyskiwać, im dłużej będzie rządził i słabł PiS. Ta kalkulacja ma konkretne przejawy. W minionym tygodniu, gdy głosowany był wniosek Koalicji Obywatelskiej w sprawie odwołania ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, Konfederacja poparła dymisję.

Byłe nie Morawiecki

Może się więc skończyć tak, że Kaczyński zagryzie zęby i nadal będzie rządził →



Rafał Trzaskowski i Borys Budka podczas spotkania z mieszkańcami Trójmiasta, Gdynia, 17 lipca 2020 r.

→ z Gowinem na pokładzie. Tyle że – jak sygnalizuje Gowin – jego Porozumienie (czy też jego grupka w partii) co bardziej radykalnych pomysłów PiS i ziobrystów nie poprze. Chodzi np. o demontaż samorządów czy nierynkowe próby ingerencji w strukturę własności prywatnych mediów.

Ale nawet taktyczne porozumienie z Gowinem nie uzdrowi sytuacji w PiS. Formację trawi – i coraz wyraźniej pograża – brutalna, coraz bardziej otwarta wojna premiera Mateusza Morawieckiego i jego ludzi z sojuszem Zbigniewa Ziobry, Joachima Brudzińskiego, Beaty Szydło i Jacka Kurskiego.

Po kampanii zaczął się wyścig obu frakcji o to, kto lepiej się przysłużył zwycięstwu Dudy. Kurski opowiada buńczucznie w PiS, że dołożył prezydentowi 10 wyborczych punktów – może przesadzać, choć faktem jest, że kilka decydujących o zwycięstwie punktów to jego robota. Morawiecki udowadnia, że to jego *tournée* po Polsce powiatowej zwiększyło frekwencję i zmobilizowało wyborców w rejonach życzliwych PiS.

To nie jest wyłącznie ambicjonalna rozgrywka dwóch nienawidzących się liderów łasych na splendor. To wojna także o to, czy, jak i kiedy przebudowany będzie rząd. Wiadomo, że rekonstrukcja wisi w powietrzu. Wiadomo, że rząd zostanie odchudzony i ministerstw będzie mniej. Ale kluczowe jest pytanie, czy Kaczyński wymieni premiera. Intensywnie lobbują za tym radykałowie, z Kurskim na czele, który marzy o premierowskim fotelu i robi wszystko, by go dostać. Właśnie porządkuje swoje skomplikowane życie osobiste, biorąc kościelny ślub ze swą drugą żoną, z którą żył dotąd tylko na cywilnych dokumentach.

Wybór Morawiecki – Kurski (lub ktoś na jego modłę) to jednocześnie wybór pewnego określonego przez ich poglądy i metody kierunku politycznego. PiS stoi przed decyzją: czy jeszcze bardziej się radykalizować, ruszając na ostatnie sądy, prywatne media i duże, opozycyjne samorządy, czy też kontynuować linię Morawieckiego, który radykałem nie jest. Posługuje się wprawdzie ostrą retoryką antyopozycyjną, ale to po to, by siebie uwiarygodnić w PiS. Dla Kurskiego i innych radykałów jest farbowanym lisem, który dybie na partię.

Momentem kluczowym może być jesień. To wtedy odbędzie się kongres PiS,

na którym Kaczyński może powołać Morawieckiego na wiceprezesa partii i zasugetować, że to jest jego potencjalny następca. Wbrew plotkom to nie znaczy, że Kaczyński ustąpi. To znaczy, że Morawiecki stanie się nietykalny.

– W ataku Kurskiego i całej ekipy radykałów chodzi właśnie o to, żeby Morawiecki nie został namaszczonej na wiceprezesa i potencjalnego następcę. Gra na zmianę premiera jest skazana na niepowodzenie. Na razie na pewno Morawiecki pozostanie szefem rządu – twierdzi wpływowy polityk obozu władzy.

Interesy w cieniu igrzysk

Jednak jesienią lub zimą będzie już widać lepiej skutki koronawirusa dla gospodarki, w tym wzrost bezrobocia, spowolniony w tej chwili przez kolejne rządowe tarcze. Jeśli dojdzie do gospodarczego tapnięcia, przetasowania w rządzie mogą być nieuniknione. Muszą być przecież koszty ofiarne, nowe otwarcia, ucieczki do przodu.

Kurski już rozpoczął jawne ostrzeliwanie pozycji przeciwnika. „Wiadomości” pokazały to, co Kurski rozpowiadał politykom PiS podczas kampanii – że Kancelaria Premiera w ramach informowania społeczeństwa po wybuchu pandemii kupowała reklamy w tytułach krytycznych wobec PiS, np. „Rzeczpospolitej”, „Polityce” oraz „Fakcie”. W świecie Kurskiego i jego sojuszników to nie jest finansowanie niezależnych mediów – bo PiS takich nie potrzebuje. To finansowanie wroga. Czy może być coś gorszego?

W scenariuszu, w którym zabraknie na chleb i Morawiecki zostanie odsunięty, PiS dałby suwerenowi swych radykałów i proponowane przez nich igrzyska. Jakże? Choćby podgrzewanie wojny kulturowej, zwłaszcza wobec osób homoseksualnych, nagonka na „niemieckie” media, a także – co się rozważa w kręgach władzy – wprowadzenie nowych województw, co miałyby pobudzić lokalne animozje.

Igrzyska mają pomóc wygrać wybory za trzy lata. Ale jednocześnie obóz władzy chce zabezpieczyć swoje interesy prawnie i organizacyjnie. Chodzi o zmianę ordynacji wyborczej, która tak zmodyfikuje okręgi, w których wybieramy posłów, że PiS będzie faworyzowany nawet wtedy, gdy jego notowania będą słabsze. Bez względu na wewnętrzne wojny i spory co do politycznego kierunku, PiS wciąż jest

formacją niebywale sprawną w zabezpieczaniu własnych interesów – zwłaszcza trwania u władzy.

To Budka jest szefem

Wynik Trzaskowskiego jest jednak dla PiS sygnałem alarmowym: ponad 10 mln głosów sprzeciwu i to w sytuacji, gdy za Dudą stał cały aparat państwa. Premier i ministrowie agitowali na potęgę, opłacając swoje wyjazdy z publicznych pieniędzy. Nieformalnie pomagały spółki Skarbu Państwa. A przede wszystkim TVP, która jak maczuga wymierzała ciosy Trzaskowskiemu i sączyła propagandowe telenowe, łagodzące wpadki Dudy.

Partijni liderzy na czele z Kaczyńskim doskonale rozumieją, że gdyby to były wybory *fair*, ich kandydat mógłby przegrać. Dlatego Trzaskowski staje się automatycznie głównym przeciwnikiem PiS. Bez względu na to, czy ludzie głosowali na niego, bo są nim urzeczeni, czy po prostu dlatego, że nienawidzą PiS – pokazał, że ma potencjał masowego mobilizowania wyborców przeciwko Kaczyńskiemu. Takiego polityka nie było po stronie opozycji od czasów Donalda Tuska.

Rzecz jasna, Trzaskowski Tuskiem nie jest. Kampania pokazała jego braki – jest politykiem zachowawczym, unika konfrontacji, nie potrafi narzucać tematów, jest wciąż za słabym mówcą. Ale mimo wszystko prezydent stolicy stał się w ciągu kilku tygodni najpopularniejszym politykiem opozycji. Mówi mi ważny polityk PO zaangażowany w kampanię: – Rafał ma wszystkie papiery, by zostać faktycznym liderem opozycji. Ale musi działać szybko, dopóki ma mocny mandat od wyborców.

Pamiętać należy o jednym: 10 mln głosów nie unieważnia partyjnej hierarchii wewnątrz Platformy, wedle której liderem jest Borys Budka, Trzaskowski zaś jedynie jego zastępcą. To Budka był współautorem misternej operacji wymiany niepopularnej prezydenckiej kandydatki PO Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Trzaskowskiego. Dał mu wolną rękę i usunął się w cień, organizując partyjne zaplecze kampanii.

Kłopot w tym, że ostateczny wynik wyborów jest dla relacji Trzaskowskiego z Budką najgorszy z możliwych. Gdyby Trzaskowski wygrał, wyprowadziłby się do Pałacu Prezydenckiego, a Budka stałby się kandydatem na premiera w wyborach sejmowych w 2023 r. Gdyby Trzaskow-

ski wyraźnie przegrał – wtedy zupełnie by się nie liczył w opozycyjnej układance. A Trzaskowski przegrał, tyle że dostał dużo głosów. To oznacza, że stał się ważniejszy od Budki – w takim układzie ich relacje będą kluczowe dla dalszej sytuacji na scenie politycznej.

Trzaskowski od pierwszych godzin po wyborach był namawiany przez swe otoczenie do budowy nowej formacji po stronie opozycji. Ruchu obywatelskiego, luźnej koalicji rozmaitych środowisk, która mogłaby być początkiem budowy wielonurtowej formacji opozycyjnej. Pytam o to jednego z liderów PO, zwolennika takiego rozwiązania:

– Przecież jednoczyliście się z PSL i SLD w wyborach do Parlamentu Europejskiego rok temu i dostaliście łupnia: PiS wygrał siedmioma punktami. Może to legendarne jednoczenie się opozycji to ślepa uliczka?

– Po pierwsze, chodzi o prawdziwe zjednoczenie, organiczne, programowe. A nie jak w 2019 r. pakt liderów partii, których nie łączyło zbyt wiele poza niechęcią do PiS. Po drugie, wtedy nie mieliśmy takiego polityka jak Trzaskowski. Za nim w drugiej turze po prostu stanęli wyborcy anty-PiS-u o rozmaitych światopoglądach. Trzeba to wykorzystać.

Z jednej strony zadeklarował, że po zostanie prezydentem stolicy. Ale z drugiej zorganizował powyborczy wiec w Gdyni, żeby budować zainteresowanie swym nowym politycznym projektem, który zostanie zaprezentowany 5 września. – Nie wolno nam składać broni – mówił w piątek do zwolenników. – Dlatego podejmuję się stworzenia ruchu obywatelskiego, bo partie nie wystarczą. Stwórzmy ruch obywatelski, który razem z samorządami, z organizacjami pozarządowymi, razem z ośrodkami analitycznymi i razem z ludźmi dobrej woli będzie tworzyć podstawy do tego, żeby bronić społeczeństwa obywatelskiego i wszystkich niezależnych instytucji. Zrobmy to razem!

Jak przekonać urażonych

W nowej formacji zmieściłaby się Platforma, bo potrzebne są jej struktury i pieniądze. Ale po prawdzie formacja Trzaskowskiego byłaby kolejnym etapem ucieczki PO od jej własnego szyldu. Logo przez lata kojarzące się z politycznym sukcesem od pięciu lat jest symbolem kłeski i szans na zmianę nie widać. Niepopu-

– Na razie
nic nie będzie
ze współpracy
z Szymonem Hołownią.

**Jesteśmy
na kursie kolizyjnym**
– mówi wpływowy
polityk Platformy.

larne decyzje Platformy – podwyższenie wieku emerytalnego, krytyka 500 plus – wciąż są ważnym elementem kształtującym scenę polityczną. A PiS robi wiele, by zohydzić opozycję, i TVP jest pod tym względem niezastąpiona.

W Platformie narasta świadomość koniecznych zmian. Bardzo wyraźnym, absolutnie świadomym założeniem kampanii Trzaskowskiego było ukrycie szyldu PO. Trzaskowski nie dość, że prezentowany był jak człowiek bez politycznej przeszłości, to w dodatku niemal jak kandydat obywatelski, odległy od partii. Widywiskowy dowód na to, że sama Platforma nie wierzyła w wygraną pod własną flagą.

W tej nowej formule Budka i jego Platforma byłby tylko jednym z elementów. Dla polityka tak ambitnego i pragnącego poklasku jak obecny szef partii może to być trudne do zaakceptowania.

– Wszystko układa się dobrze. Nie ma mowy o konflikcie. Będą blisko współpracować przy przebudowie Koalicji Obywatelskiej – twierdzi jeden ze sztabowców Trzaskowskiego. Budka był razem z Trzaskowskim na wiecu w Gdyni i także przemawiał, co miało być jasnym dowodem na to, że grają w tandemie.

Na razie do współpracy nie pali się główny i naturalny kandydat, czyli Szymon Hołownia. Co więcej, między nim a ludźmi Trzaskowskiego czuć ogromne, negatywne emocje. Hołownia jest sfrustrowany porażką i wbrew oczekiwaniom Platformy nie pomógł Trzaskowskiemu w starciu z Dudą. Dlatego w PO mówią dziś o nim używając głównie epitetów. A on im odpłaca pięknym za nadobne. To nie buduje atmosfery do współpracy.

Czas co prawda leczy rany, ale jeśli Trzaskowski chce zachować część wybor-

czych emocji i sympatii wyborców, czasu ma niewiele. – Na razie nic nie będzie ze współpracy z Hołownią. Jesteśmy na kursie kolizyjnym – mówi wpływowy polityk Platformy.

Pytam go: – Podobno Hołownia chciałby utworzyć w Sejmie koło swego ruchu. Czyli będzie rekrutował posłów. – Jeśli nam ich zabierze, będzie otwarta wojna – słyszę w odpowiedzi.

Kosiniak-Kamysz nie pali się do rządzenia z Kaczyńskim, ale i z Trzaskowskim mu nie po drodze. Nadal wierzy w trzecią drogę, choć po wyborach jego wiara znacznie osłabła.

Lewica nie bardzo wie, dokąd zmierza. Formacja jest podzielona, liderzy wchodzącej w skład klubu partii Razem zapadli się pod ziemię jeszcze podczas kampanii, gdy wyszło na jaw, że inkasowali po 20 tys. zł miesięcznie z zasilanej publicznym groszem kasy partii. Większość wpłacał potem na fundusz wyborczy Lewicy, ale zgrzyt pozostał. – Tak, tworząc nową formację, będzie łowić także na akwenach lewicy – mówi mój rozmówca z otoczenia Trzaskowskiego.

Drogą Tuska

Trzaskowski nigdy nie chciał być partyjnym liderem, ale w PO słychać, że może nie mieć wyjścia, jeśli opozycja chce wygrać z PiS w 2023 r. Wybory prezydenckie pokazały – i dotarło to do Platformy – że wyborcy wciąż masowo nie odrzucają rządów PiS. – Po prostu tych, którzy nie chcą PiS, jest jeszcze za mało i trzeba do nich dotrzeć przez trzy lata, które pozostały do wyborów parlamentarnych – przekonuje jeden z twórców kampanii.

PiS niewątpliwie zdaje sobie sprawę, że kolejne zwycięstwo łatwe nie będzie, stąd wspomniane plany zmian w ordynacji, które faworyzowałyby duże formacje. W takich okolicznościach opozycja może być zmuszona do konsolidacji, a Trzaskowski ma szansę stać się jej twarzą. Prezydent stolicy może być kandydatem na premiera w 2023 r., jeśli odrobi pewną lekcję: Tusk przegrał prezydenturę w 2005 r., by dwa lata później wygrać wybory do Sejmu. I zdominował polską politykę na siedem lat, bijąc Kaczyńskiego niezliczoną ilość razy.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Polska nie jest podzielona

KLAUS BACHMANN

Nasze konflikty w polityce są raczej umiarkowane i ujawniają się tylko co parę lat. Zamiast nimi zarządzać, marzymy o bezkonfliktowym świecie bez kompromisów – i to jest naprawdę groźne.



JEŚLI WIERZYĆ TYTUŁOM Z PIERWSZYCH stron gazet, nie tylko Andrzej Duda wygrał ponownie prezydenturę, a Rafał Trzaskowski wyścig o to, kto będzie w najbliższych latach przewodzić opozycji. Wygrała też „wojna polsko-polska” oraz konflikt „my-oni”, a Polska jest „głęboko podzielona”. Po wyborach bowiem, jak pisał „Newsweek”, „połowa Polaków będzie w stanie euforii, a połowa w stanie głębokiej żałoby”.

Tak wcale nie jest. Polska nie jest podzielona bardziej niż wcześniej, a tam, gdzie istnieją podziały, wcale nie przebiegają one tylko wzdłuż linii PiS-anty-PiS. Problem polega na czymś innym: na braku zaufania w życiu publicznym i na ustroju, który sprzyja radykalnym rozwiązaniom i ogranicza pole do rozsądnych kompromisów.

Lista problemów

Polska ma 38 milionów mieszkańców, z których około 30 milionów ma prawa wyborcze. Raz na pięć lat około dwie trzecie z nich uczestniczy w wyborach prezydenckich. W wyborach parlamentarnych, które faktycznie decydują o tym, kto i jak może rządzić Polską, frekwencja jest zazwyczaj niższa. Polscy wyborcy chętniej głosują w wyborach prezydenckich, choć to parlament uchwała ustawy wkraczające głęboko w ich życie codziennie – najwidoczniej

symbolika w polityce jest dla nich ważniejsza niż władza.

Inaczej mówiąc: ok. 40 proc. uprawnionych do głosowania Polaków jest na tyle obojętne, kto będzie nimi rządził, że nawet kasandryczne ostrzeżenia o grożących rozbiorach, rosyjskich i niemieckich agentach, zdradzie i wyprzedaży majątku narodowego nie mobilizują ich do tego, by pójść do lokalu wyborczego i oddać głos. To rzeczywiście problem, ale nie wynika on z podziałów, lecz z bierności i obojętności.

Wśród tych, co głosują, podział ujawnia się raz na cztery-pięć lat – podczas wyborów. Wtedy bowiem elity polityczne starają się ich przeciągać na swoją stronę. Następuje dziwny paradoks: ludzie, którzy narzekają na politykę jako „brudną grę”, politykom nie ufają co do zasady, a swoich rodaków uważają za złodziei i oszustów, nagle zapalają się do najbardziej nierealnych obietnic i megalomańskich wizji, dając tym rzekomo skorumpowanym i niewiarygodnym politykom kredyt zaufania w postaci swojego głosu. To też jest problem, ale z podziałami nie ma wiele wspólnego, bo ten podział trwa tyle, co kampania.

Po każdym wyborach prezydenckich jedna połowa wyborców zawsze była w euforii, może z wyjątkiem pojedynku Wałęsa-Tymiński w 1990 r. i po wyborach roku 2000, kiedy głosy przeciwni-

ków Aleksandra Kwaśniewskiego podzieliły się na kilku kandydatów i urzędujący prezydent wygrał w pierwszej turze. Gdyby Kwaśniewski dostał wtedy minimalnie poniżej 50 proc., druga tura też doprowadziłaby do „głębokich podziałów”, co najlepiej świadczy o tym, że to ordynacja wyborcza jest źródłem, a nie skutkiem polaryzacji.

W wyborach parlamentarnych (a jeszcze bardziej w samorządowych) Polacy nie głosują na obóz rządzący i opozycję, lecz na lewicę, prawicę, liberałów, konserwatystów i czasami też na skrajną prawicę albo rozmaite efemerydy, które po jednej kadencji znikają bez śladu. W Polsce można łatwo zostać posłem lub posłanką i równie łatwo stracić mandat. Co cztery lata polscy wyborcy przewietrzają parlament, ale i tak potem narzekają, że polityka to zawsze te same twarze. Jednocześnie oczekują od posłów i posłanek profesjonalizmu i doświadczenia, a błędów i potknięć nie wybaczą (nowi posłowie lewicy coś o tym wiedzą) – to się jednak ma nijak do „głębokiego podziału”.

Wszyscy, którzy tak chętnie mówią o duopolu PO-PiS-u, którego rzekomo nie sposób rozbić, zapominają o tym, że jest on dość świeżej daty. To określenie powstało w 2005 r., kiedy powszechnie wierzono, że po wyborach dojdzie do koalicji obu partii. Zamiast tego zaczął się



WITOLD SPISZ / REPORTER

Wiec wyborczy Rafała Trzaskowskiego w Lesznie,
6 lipca 2020 r.

długi konflikt – jak wcześniej między obozem postsolidarnościowym i postkomunistycznym.

Jednak w tamtym momencie i PO, i PiS były nowymi partiami; każda z nich ma obecnie ledwie 20 lat. Historia tradycyjnych partii dominujących w Europie Zachodniej sięga często kilku pokoleń wstecz. Nawet niektóre partie prawicowo-populistyczne i zielone są starsze niż PO i PiS. To kolejny problem, bo w ten sposób nie da się budować trwałego i stabilnego systemu partyjnego, który zapewniłby skuteczne reprezentowanie interesów wyborców. Ale znów: to się ma nijak do podziału między Polakami.

Podział cudze i nasze

Każdy system polityczny, który przewodzi bezpośrednie wybory prezydenta absolutną większością w dwóch turach, wymusza polaryzację wyborców i z reguły prowadzi do wyników z niewielką przewagą jednego kandydata. Wtedy świat medialny mówi o „głęboko podzielonej Francji”, „głęboko podzielonych Stanach Zjednoczonych” i „głęboko podzielonej Austrii”. W świecie mediów Niemcy, Belgia, Holandia, Norwegia, Szwecja, Dania, Hiszpania i nawet Włochy nigdy nie są „głęboko podzielone” – choć przebiegające przez nie podziały regionalne, ideologiczne i społeczne są ostrzejsze niż w Polsce. Tam jednak albo nie ma w ogóle wy-

borów prezydenckich – bo głową państwa jest dziedziczny monarcha – albo prezydenta wybiera się w sposób pośredni.

Krajami z trwałym i głębokim podziałem sięgającym dalej niż tylko ostatnie wybory są USA i Wielka Brytania. Istnieje w nich zabetonowany od wielu pokoleń system dwóch partii, które nigdy (nawet w czasie największych zagrożeń i kryzysów) nie zawiązały koalicji i które odzwierciedlają głębokie społeczne antagonizmy sięgające nawet kilkuset lat wstecz. Tam mamy do czynienia z podziałami, które autentycznie są problemem – ale nie w Polsce.

Systemy partyjne w Europie Zachodniej powstały na kanwie podziałów społecznych, które antagonizowały państwo i Kościół katolicki, pracę i kapitał, miasto i wieś, centrum i peryferie. Mielśmy tam partie robotnicze (partie antyklerykalne broniące interesów pracujących przeciwko kapitalistom), partie liberalne (partie antyklerykalne, ale prokapitalistyczne), partie konserwatywne (broniące interesów szlachty i Kościoła) i partie chłopskie (wyrażające interesy pracujących na wsi, ale często prokościelne). Na tę mozaikę sprzecznych, a częściowo zbieżnych interesów nakładały się konflikty między dużymi miastami i wsiami, między chłopami i posiadaczami ziemskimi. Każdy z każdym musiał zawierać

kompromisy, aby wyjść na swoje – albo walczyć.

Wielu uważa, że wybory w Polsce „odtwierają rozbiory”, one jednak tylko odtwarzają antagonizm, który powstał za czasów zaborów wraz z urbanizacją: między dużymi miastami (gdzie mieszka więcej młodych i dobrze wykształconych) a małymi miastami i wsiami. To jedyny podział, który rzeczywiście się zachował.

PSL jako partia, która po 1989 r. pomagała tworzyć większości niezbędne do rządzenia i pośredniczyła między wielkimi blokami, została zmarginalizowana przez PiS. Na skutek tego mamy teraz – ale od niedawna! – faktyczny podział społeczny na dwa obozy. Tyle że wytworzył się on w obrębie elit politycznych i spolityzowanych wyborców, których te elity co cztery-pięć lat mobilizują – czyli dotyczy nieco więcej niż połowy uprawnionych do głosowania, a w wyborach europejskich grupy jeszcze mniejszej.

Dla teoretyków demokracji to problem świadczący o niskiej legitymizacji wyborów w Polsce. Dla zwolenników tezy o „głęboko podzielonej Polsce” – miła niespodzianka. Krajowi, w którym wybory nie wywołują żadnych emocji u prawie połowy dorosłych mieszkańców, w którym ani policja, ani wojsko nie angażują się politycznie (i wobec tego też nie są podzielone), żadna wojna domowa przecież nie grozi.

Co z tego, że w niektórych rodzinach nie można przy stole mówić o polityce? To wszędzie na świecie dość skuteczny sposób unikania konfliktów, których i tak nie można rozwiązać. Niemieckie rodziny przez kilkadziesiąt lat po 1945 r. milczały o tym, co dziadek i ojciec robili podczas wojny. Rwandyjskie rodziny do dziś milczą o tym, co się stało 25 lat temu z ich sąsiadami. Wiele rodzin polskich rozpadłoby się, gdyby młodzi zaczęli pytać starszych przy obiedzie, jak to było z Żydami podczas okupacji. W porównaniu z tym milczenie na temat wyborów nie stanowi problemu.

Jak to się robi w Belgii

Są kraje, w których istniały i nadal istnieją podziały głębsze i trwalsze niż w Polsce. Radzą sobie z nimi nieźle, ponieważ obudowały je instytucjami w taki

→ sposób, aby każda grupa mogła się rządzić sama, a wszystkie sprawy wspólne musiały być rozstrzygane za pomocą kompromisu. Jednym z takich krajów jest Belgia, niesłusznie wyśmiewana. To, co w jej ustroju obserwatorom zewnętrznym wydaje się dysfunkcjonalne i niezrozumiałe, faktycznie jest sposobem wymuszenia kompromisów i unikania sytuacji, w której jeden obóz mógłby przejąć państwo i narzucić pozostałym swoje interesy i koncepcje.

System belgijski składa się z czterech poziomów. Samorządy terytorialne funkcjonują jak wszędzie. Nad nimi mamy regiony (Walonia, Flandria, Bruksela), które rządzą wszystkim, co jest związane z ziemią, i wspólnoty, które rządzą wszystkim, co jest związane z prawami obywateli (wspólnota flamandzka, francuska i niemiecka). A wyżej – państwo federalne zarządzające tym, co łączy wspólnoty i regiony (rząd, wojsko, instytucje centralne).

W ten sposób np. mieszkaniec niemieckojęzycznego Eupen wybiera parlament wspólnoty niemieckojęzycznej (który uchwała np. ustawy o szkolnictwie), parlament regionu Walonia (który uchwała ustawy o zagospodarowaniu przestrzennym) i parlament federalny (który uchwała podatki federalne). Flamandzkojęzyczni i francuskojęzyczni brukselczycy mają takie same prawa i zobowiązania jako mieszkańcy regionu brukselskiego, inne zaś wynikają z ich przynależności do wspólnoty francuskiej albo flamandzkiej, bo np. swoje dzieci wysyłają do innych szkół zarządzanych przez odrębne wspólnoty. Wobec państwa federalnego znów jedni i drudzy są równi (płacą te same podatki federalne), choć jedni mogą składać zeznania podatkowe po flamandzku, a drudzy po francusku.

W Belgii – podobnie jak w Holandii – powstały filary, w ramach których człowiek rodził się, żył, uczył się, pracował i w końcu umierał. Każdy taki filar czy społeczny silos rządził się sam, żaden nie mógł innym narzucić swojego punktu widzenia, swojej religii lub światopoglądu. W ramach bardzo zdecentralizowanego systemu politycznego elity polityczne uzgodniły kompromisy w sprawach wymagających wspólnych decyzji (wojsko, podatki, polityka zagraniczna), a konstytucja sprawia, że każdy filar może zablokować pozostałe.

Ustrój Polski umożliwia przegłosowanie mniejszości przez większość

– i to w ekspresowym tempie – ale nic poza tym. Nie chodzi o znalezienie pola wspólnych interesów: co jeden zyska, drugi musi stracić.

W Polsce mamy dokładne przeciwieństwo tego systemu. Co cztery lata Polacy decydują o tym, który obóz polityczny może narzucić drugiemu (i jego zwolnikom, a także tym wszystkim, którzy politykę omijają szerokim łukiem) swoje koncepcje, interesy i rozwiązania – bez żadnych „zgniłych” kompromisów. Instytucje, które kiedyś wymuszały kompromisy – prezydent, Trybunał Konstytucyjny, sądownictwo, Sąd Najwyższy – obecnie służą tylko rządzącym do skuteczniejszego narzucenia wszystkim swojej woli.

PiS jest pierwszą partią, której się to w pełni udało, ale marzenia o wygraniu wyborów druzgocącą przewagą, by potem bez zahamowań narzucić swoje jedynie słuszne dla kraju rozwiązania, towarzyszyły wszystkim obozom politycznym od 1989 r. W najmniejszym akurat stopniu miał je SLD, bo jego liderzy początkowo sami uznali, że stanowią ugrupowanie z nieprawego łóża.

Stan zimnej wojny między głównymi obozami politycznymi bierze się też z dość absurdu przekonania obu stron, że druga strona zmierza jedynie do eliminacji tej pierwszej i nie zasługuje na zaufanie, bo ma wyłącznie złe intencje. Jednocześnie zwolennicy obu opcji są głęboko przekonani, że lęki i obawy przeciwników są tylko wytworami propagandy, w którą „tamci” sami nie wierzą.

Absurd tej sytuacji polega na tym, że żołnierze obu obozów faktycznie dzieli przepaść, podczas gdy ich wodzowie, którym żołnierze często bezgranicznie ufają, żywią respekt dla adwersarzy i nawet zmieniają front. Liderzy, posłowie i ministrowie SLD przeszli do partii postsołidarnościowych i odwrotnie, kilku naj-

bardziej znanych polityków PO zaczęło swoje kariery w PiS. Najwyraźniej ów „głęboki podział” Polski jest podziałem symbolicznym; dzieli działaczy obu obozów na dole i organizacje partyjne, natomiast liderów już nie.

Gra o sumie zerowej

Problem Polski nie polega na tym, że jest ona „głęboko podzielona”, lecz na tym, że jej elity polityczne nie mają instytucji, które wymuszałyby na nich kompromisy i w ramach których mogłyby różnice interesów negocjować. Ustrój Polski umożliwia przegłosowanie mniejszości przez większość – dzieje się to cały czas i w ekspresowym tempie – ale nic poza tym. Nie chodzi o znalezienie wspólnego mianownika lub pola wspólnych interesów, gra toczy się nieustannie o sumę zerową: co jeden zyska, drugi musi stracić. A kiedy ten drugi dojdzie do władzy, odbije sobie straty z nawiązką.

Gdyby preferencje wyborców faktycznie stanowiły odzwierciedlenie podziałów z czasów rozbiorów, rozwiązanie byłoby proste: wystarczyłoby wprowadzić samorząd regionalny dla każdego z zaborów, taki jak w krajach związkowych w Niemczech. Na wschodzie rządziłby „lud PiS”, na zachodzie „lud PO”, może z jakimiś wyspami dla lewicy. Tyle że w każdym województwie, w którym przewagę ma PiS, są też enklawy opozycji, a w każdym mieście z przewagą opozycji są też wyborcy popierający PiS.

Dopóki nie ma rozwiązania, które wiąże system rządzenia z poszczególnymi obywatelami bez względu na ich miejsce zamieszkania, Polacy z Polakami muszą się jakoś odnaleźć w systemie, który każe im co cztery-pięć lat wybrać dyktatora na następną kadencję, co powoduje u jednej połowy euforię, a u drugiej głęboką żalobę.

Problem nie polega na tym, że Polska jest „głęboko podzielona”, tylko na tym, że nie potrafi żyć z relatywnie umiarkowanym i raczej symbolicznym podziałem, że jej obywatele i instytucje, zamiast zarządzać konfliktami, marzą o bezkonfliktowym świecie bez kompromisów i bez podziałów, co również oznacza: bez przeciwników. A marzenia o tym, że kiedyś zniknie ten drugi obóz, ta Polska A lub B, oraz ci, co nie myślą tak samo jak „my” – są groźniejsze niż jakiekolwiek trwałe i głębokie podziały.



KAROL MAKURAT / REPORTER

Jarmark św. Dominika, Gdańsk, 28 lipca 2018 r.

Wolę się upewnić

MATEUSZ KOWALIK

Wróżbici najczęściej słyszą od klientów te same pytania: czy kocha, czy zdradza, jak inwestować pieniądze. Teraz doszły nowe niepokoje.

ZNICEI ZADZWONIŁ STAŁY KLIENT, BO nie wiedział, co ze sobą zrobić. Kilka lat temu wyjechał z Polski, żeby na Łazurowym Wybrzeżu rozkręcić interes. Wyszukiwał mieszkanie pod krótkoterminowy najem, ale epidemia wymiotła turystów i lokal stoi pusty. Żeby stwierdzić, że w tej sytuacji nie warto brnąć w syjący się biznes, tarocista rozłożył dla niego karty.

– Zobaczyłem w nich inne źródła zarobkowania. Doradziłem, że stabilność znajdzie gdzieś indziej – tłumaczy Tom Shay'an. Warszawiak, przedstawia się jako tarocista i jasnowidz. Z klientami pracuje od 12 lat. Od czterech miesięcy zdalne sesje prowadzi nie tylko z tymi z oddali.

– Zapraszam do siebie do domu, ale wszyscy wolą rozmawiać przez telefon, nawet ci z Warszawy. Przez pierwsze dwa tygodnie epidemii zamarli z przerażenia i nikt się nie odzywał. Ale jak już się rozdzwonili na nowo, to do standardowych

pytań dołączyły te o koronawirusa – wyjaśnia Tom.

Karty przychylne gościom

Bez względu na to, co się dzieje na świecie, jego klientom głowę najczęściej zaprząta to samo: związki, pieniądze, lęki. Najczęściej słyszy pytania: czy kocha, czy zdradza, jak uwolnić się od traum. I to się nie zmieniło. Ale teraz doszły nowe niepokoje.

– Ludzie regularnie pytają o ryzyko zakażenia. Czy zakażą się oni sami, czy dotknie to mamę, tatę, babcię. W przypadku jednej osoby karty wskazały spore ryzyko. Ta osoba później miała koronawirusa – mówi tonem lekarza, który trafnie postawił diagnozę.

Tomowi zdarzyło się pomagać w ustaleniu, czy wizyta u fryzjera mimo zakazu strzyżenia to dobry pomysł. Z obawy przed zakażeniem ktoś inny pytał, czy zatrudnić opiekunkę do dziecka, jeszcze ktoś wahał się nad wpuszczeniem sprzą-

taczki do domu. W obydwu przypadkach karty były przychylne gościom. Tom: – Pytaniu zazwyczaj towarzyszył komentarz: ja się w ogóle tej histerii nie poddaję, ale wolę się upewnić.

Tom opowiada, że pracuje także jako uzdrowiciel. Twierdzi, że aby badać energię klientów, wystarczy mu słyszeć ich głos. I że bardzo mu pomagają, kiedy ma przed sobą zdjęcie osoby, z którą rozmawia.

– Jedna z nich od miesiąca wyczekiwała spotkania z chłopakiem ze Stanów Zjednoczonych. Poznali się jesienią, w kwietniu ona miała lecieć do niego z Warszawy. Dziewczyna dopytywała mnie o podróż za ocean, ale karty uparcie mówiły, że przez okoliczności zewnętrzne nie polecą. I przez epidemię odwołali wszystkie loty. Ostatnio się ucieszyła, bo karty powiedziały, że latem w końcu się zobaczą.

Kwiatki schną ze strachu

Lekarze powtarzali, że w czasie epidemii lepiej siedzieć w domu. Żeby przekonać się o tym samym, Żaneta odwołała się do kart. Artystka sceniczna prosi o zmianę imienia, bo obawia się nieprzychylnych opinii. No i pewnie nie każdy zrozumie, że od kilkunastu lat stawia tarota, śledzi układy planet i posiłkuje się starożytnymi chińskimi wróżbami. Zapewnia, że te ostatnie pomogły jej przygotować strategię na ostatnie tygodnie u poprzedniego pracodawcy.

– Wróżby z Yijing wskazały mi, żeby się nie kłócić i spokojnie przeczekać do końca okresu wypowiedzenia. Dowiedziałam się też, że to dobry moment, żeby opuścić tę pracę, bo inaczej dużo stracę. Krótco po moim odejściu zapanował mobbing, a teraz firma się zamyka z powodu koronawirusowych tarapatów – opowiada.

Scena, na której występuje, także boryka się z kłopotami, w które wpędziły ją rządowe obostrzenia, ale aktorka jest spokojna o swoją przyszłość. Teraz występuje online. Zanim przyjęła jedną ze scenicznych ról, miała wątpliwości, jaka ta postać ma być. Z dylematów wybawił ją tarot.

– Postawiłam trzy karty. A tam były: odwrócona siódemka mieczy, odwrócona trójka pucharów i nieodwrócony świat. Z tego wyszła mi postać, która dużo podróżowała, jest prawdomówna. Publiczność ją polubiła – wspomina z zadowoleniem.

→ Tarota stawia sobie od 14 lat, ale z naciśnięciem zapewnia, że karty nie są uniwersalnym remedium na dylematy. – Jak człowiek jest rozchwiany, to ryzykuje, że zobaczy w nich tylko to, czego pragnie. Kwarantanna należy do takich sytuacji, więc tarota stawiałam tylko dwa razy. Pytałam, czy mam koronawirusa, ale odpowiedź nie była jednoznaczna. Na wszelki wypadek przez miesiąc siedziałam w domu. Siostra poprosiła, żebym poszła do jej mieszkania podlać kwiatki, a ja bałam się chodzić ulicami. Karty powiedziały, żebym nigdzie się nie ruszała. Nie podlałam ich.

Horoskop to nie test

Żaneta zaznacza, że karcianych wróżb i chińskich mądrości nie używa do przewidywania przyszłości. Traktuje je raczej jako nowy sposób na przeanalizowanie problemów. Pomaga jej w tym mama, która od 20 lat stawia horoskopy na podstawie układów ciał niebieskich. I nie bierze za to od córki ani grosza.

Astrologia to źródło utrzymania Danu. Dla swoich klientów warszawska astrolożka przygotowuje roczne i dwuletnie prognozy dotyczące określonych sfer życia.

– Najczęściej proszą o przygotowanie prognoz finansowych. Chcą wiedzieć, kiedy inwestować, a kiedy oszczędzać. A ja na podstawie ich sytuacji horoskopowej wskazuję, kiedy na niebie będą zachodzić sprzyjające procesy – opisuje swoją działalność Danu.

U niej nikt nie pyta, czy zarazi się koronawirusem. – Ci, co się do mnie zwracają, zazwyczaj znają przynajmniej podstawy astrologii i wiedzą, że horoskop nie wskaże, czy się zakażą – chwali swoją klientelę. I dodaje: – Wiele osób zorientowało się, że czas pandemii oznacza dla nich zmiany. Najczęściej to zmiany zawodowe. I nie boją się choroby, tylko tego, co pandemia zrobi z ich miejscami pracy.

Tak jak właścicielka firmy reklamowej, która w zarządzaniu finansami kieruje się astrologicznymi konsultacjami. – Kobieta od jakiegoś czasu zastanawiała się nad zainwestowaniem pieniędzy. Z horoskopu od samego początku wynikało, że ten rok nie będzie sprzyjał takim ruchom. Powstrzymała się, bo współpracujemy od lat i wiedziała, że jej horoskop się sprawdza – zapewnia astrolożka.

Tłumaczy też, że w czasach zarazy ludzie chcą wiedzieć, gdzie szukać źródła

Jak człowiek jest rozchwiany, to ryzykuje, że zobaczy w kartach tylko to, czego pragnie.

Kwarantanna należy do takich sytuacji, więc tarota stawiałam tylko dwa razy.

dochodu, w jakim kierunku iść, żeby ich sytuacja się nie pogorszyła. – Porady bywają trudne do przyjęcia. Ludzie szukają otuchy, ale czasem jej nie dostają, bo horoskop mówi co innego, niż chcieliby usłyszeć – tłumaczy.

Od paniki do akceptacji

Okres zmian zapowiada też Katarzyna Południak, astrolożka i tarocistka. Zwiastuny globalnych problemów dostrzegała już w styczniu, bynajmniej nie na podstawie medialnych doniesień z Chin.

– Saturn i Pluton utworzyły wtedy koniunkcję, a w połowie marca dołączyły Jowisz i Mars. Taki układ wywołuje transformację starego systemu. Pandemia jest po to, żebyśmy zastanowili się nad konsumpcyjnym stylem życia – tak Południak interpretuje to, co widzi na niebie. Przewiduje, że to początek procesu, który będzie trwał przez wiele dekad. Tymczasem obserwuje, że klienci są bardziej zainteresowani wyłącznie krótką perspektywą.

– Chcą wiedzieć, co się stanie za tydzień, za miesiąc, za rok. To jest naturalna reakcja. Przeraża mnie tylko to, jak szybko ludzie przeszli od paniki do akceptacji. Tak jak przed pandemią, ludzie najmniej chcą wiedzieć o zdrowiu, a najwięcej o związkach i pieniądzach.

Edyta nadejście zmian zobaczyła w liczbach. Bo, jak tłumaczy, w numerologii każdej literze odpowiada określona wartość, a w każdej liczbie zapisany jest los. Gdy jedzie samochodem do pracy i obok niej zasuwa drogowy pirat, to szybko przelicza wartości z jego rejestracji i już wie, z kim ma do czynienia. I czy może je chać spokojnie, czy trzymać się od niego na odległość.

Żeby lepiej zrozumieć, jakie mogą być konsekwencje epidemii, metodami numerologii zbadała nazwę COVID-19. – Po zsumowaniu wartości wyszła dziewiątka. A to oznacza zamykanie i otwieranie gra-

nic. Rozumiem to tak, że pandemia jest końcem pewnego etapu i rozpoczęciem kolejnego – podsumowuje swoje dywagacje, ale wylicza też szereg znaczeń dziewiątki. Że z jednej strony zniszczenie, samotność, podejrzliwość i nietowarzystwość. Z drugiej natomiast to potencjał do zmian.

– Zaczęłam się zastanawiać, jak tę sytuację wykorzystać. Dziewiątka może oznaczać koncentrację i umiejętność zagłębienia się w znaczenia, na których dostrzeżenie nie mamy czasu w normalnym pędzie życia.

Chodź na biało

Spowolnienie dotarło też do Wiktorii. Trzydziestolatka z nadmorskiego miasta mieszka sama i jeszcze w lutym obawiała się, że ciężko zniesie izolację.

– Kiedyś ciągle brakowało mi ludzi, ale teraz lubię być sama ze sobą. Jeszcze przed epidemią dostałam od kapłana wróżbę: lepiej samej niż w złym towarzystwie. Teraz okazuje się, komu na mnie zależy i podtrzymuje kontakt przez telefon lub internet, a kto zamilkł – opowiada kobieta.

Od kilku lat interesuje się santerią: systemem wierzeń, który wywodzi się z tradycji Afrykanów wywiezionych do niewolniczej pracy w Ameryce Łacińskiej. Kapłan santerii nie tylko wróży, ale też odprawia rytuały. Gdy Wiktorii w zagonieniu szukała nowego mieszkania, nakazała oddać część określonym bogom.

– Na inną zagwozdkę odczytał czary nad owocami, które kupiłam, i kazał wrzucić je do morza. Jak zaczęła się pandemia, to mówił, że nie można się tak dystansować od ludzi na zapas, na wszelki wypadek. Ale i tak czułam niepokój, więc dwa tygodnie później poszłam na rytuał oczyszczający. Przytulaliśmy się, a na koniec plunął mi rumem w tył głowy.

Kapłan podarował też Wiktorii amulet, który ma ją chronić przed niepokojem. – A jeśli już go poczuje, to mam zakładać białe ubrania i tak chodzić po domu. Tak robię i to mnie uspokaja – tłumaczy.

Na koniec wyjaśnia jeszcze jedno. – Jestem kompletną ateistką, ale w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób wierzę w te czary. To dlatego, że w tych niepewnych czasach chciałabym znaleźć jakąś siłę wyższą, która pozwoli mi uwierzyć, że to wszystko ma sens.

ANNA

Dziewit-Meller: Zamroczenie



DO BRAILY DOTARŁAM Z KISZYNIOWA. Autokar, który stał na granicy przez potwornie długie godziny, w środku nocy wtoczył się do rumuńskiego miasta nad Dunajem. Taksówkarz woził nas od hotelu do hotelu, ale nie mieliśmy – wówczas studenci – pieniędzy na żaden z nich, więc ostatecznie ulitował się nad naszą trójką i w zajeźdni taksówkowej, do której w końcu zjechał, dał każdemu po leżaku, mówiąc „tu możecie przenocować”. Zawinięci w śpiwory spędziliśmy tak tę pierwszą, krótką, letnią rumuńską noc. Niewiele więcej pamiętam z tego miasta, które rankiem opuściliśmy, jadąc do Babadag, by zrobić sobie zdjęcie przy najmodniejszym wówczas w naszych kręgach adresie w Europie Środkowowschodniej.

O Braile czytałam rok temu, odwiedzając po 15 latach tamte miejsca, nie do poznania zmienione przez kolejne remonty z unijnych funduszy. To właśnie z tego miasta, wówczas dla mnie zupełnie bez właściwości, był Mihail Sebastian, wybitny pisarz rumuński pochodzenia żydowskiego. Fragmenty jego „Dziennika 1935–1944” znalazłam w antologii rumuńskiej literatury faktu pt. „Łacińska wyspa”, pod redakcją Bogumiła Lufta, którą zabrałam ze sobą w tę nieco sentymentalną podróż na południe.

Sebastian w dziennikach – jak, sięgając po określenie z dramatu Ionesco, celnie określa to redaktor antologii – dostrzega „rośnięcie faszystowskich »rogów nosorożca« na nosach swych rumuńskich przyjaciół – intelektualistów i artystów bukareszteńskich”. Te codzienne notatki czyta się z narastającym poczuciem grozy i ściśniętym gardłem – pisarz, którego los ze względu na żydowskie pochodzenie zdaje się z każdym rokiem coraz bardziej niepewny, opisuje powolny rozpad więzi pomiędzy nim a grupą najbliższych mu do tej pory ludzi, bolejąc zwłaszcza nad szczególną zdradą, jakiej dopuścił się wobec ich przyjaźni Mircea Eliade. Tak, owszem, łatwo przychodzi zapomnieć, że ten myśliciel, wiele lat później znany jako światowej sławy religioznawca, w latach 30. był także ideologiem faszyzmu i antysemity.

Już w 1936 r. Sebastian notował po kolejnym spotkaniu z przyjacielem: „Jest on człowiekiem prawicy ze wszystkimi tego konsekwencjami. (...) czyni jedynie wysiłki, jakże żało-

sne, aby ukryć to, przynajmniej przede mną. (...) Czy utracę Mirceę z tak błahego powodu? Czy mogę zapomnieć o wszystkim, co jest w nim nadzwyczajne, o jego szlachetności, sile życiowej, zacności, miłości, o wszystkim, co jest w nim młode, dziecinne i szczerze?”. W lutym 1937 r. pisał: „Czy możliwa jest przyjaźń z ludźmi, których łączą obce mi idee i uczucia, do tego stopnia, że wystarczy, abym pojawił się w drzwiach, a natychmiast milkną zażenowani i zakłopotani?”. Ledwie dziesięć miesięcy później Eliade pisze w prasie: „Czy może naród rumuński dokonać żywota powalony przez nędzę i syfilis, podbity przez Żydów i rozszarpany przez obcych?”.

W podobnym tonie przemawiają do Sebastiana kolejni przyjaciele ze środowiska bukareszteńskiej bohemy, jak Camil Petrescu, pisarz i dramaturg, który oskarża Żydów o prowokowanie coraz liczniejszych awantur antysemickich (sic!), mówiąc, że „zachowują się dwuznacznie, jest ich za dużo”, gdy zaś Żydom rumuńskim zabrania się w styczniu 1938 r. wykonywania zawodu dziennikarza, Petrescu powiada do Sebastiana: „Musisz przyznać, że nadużywano swobód”.

Przypominałam sobie lekturę tych fragmentów dziennika, gdy przyjaciel wysłał mi omówienie nowo wydanej w anglojęzycznym świecie książki Anne Applebaum „Twilight of Democracy: The Failure of Politics and the Parting of Friends” („Zmierzch demokracji: klęska polityki i rozstania przyjaciół”).

Przy wszystkich oczywistych różnicach, jakie dzielą opowieść rumuńskiego pisarza z lat 30. XX w. od historii Anne Applebaum, podstawą obu jest obraz rozpadu przyjacielskich więzi podmywanych przez ideologiczne różnice nie do pogodzenia. Kto popchnął Wielką Brytanię w otchłań brexitowego chaosu? Kto prostował ścieżki przed nadejściem Trumpa w Ameryce, a w Polsce i na Węgrzech umacniał słuszność wizji monopartii? Applebaum mówi wprost: moi przyjaciele. A raczej byli przyjaciele. Pytanie Sebastiana o możliwość kontynuowania przyjaźni z ludźmi, którzy nie stają po jego stronie w obliczu narastającego zagrożenia, brzmi aktualnie w rozważaniach autorki, która otwiera swoją książkę sceną przyjęcia sylwestrowego w ostatnim dniu 1999 r. w Chobielinie, gdzie bawią się z nią i jej mężem owi byli już dziś przyjaciele. Nick Cohen, recenzent „Guardiana”, notuje: „zawsze wydawało mi się, że nie powinno się dopuszczać do tego, żeby polityka stawiała na drodze przyjaźni między ludźmi. Ale sensowność tej zasady zależy od tego, czy polityka nie naraża na niebezpieczeństwo tych, których kochamy”. Applebaum nie mogła dłużej przyjaźnić się z ludźmi, którzy nie wsparli jej, gdy państwo PiS uczyniło z niej i jej męża wrogów publicznych. Ponoć najbardziej żałuje tego, że dużo wcześniej nie postawiła im różnych trudnych pytań. Zostawiam więc państwa z cytatem ze Stachury: „Jest już za późno, nie jest za późno”. Bo nie wiem, jak jest. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

ŻYWIOŁ W SZELKI

O. DAWID KUSZ, DOMINIKANIN, KOMPOZYTOR MUZYKI SAKRALNEJ:

Śpiewając, modłę się głębiej, bo angażuję też emocje.



MAREK RABIJ: Z góry zastrzegam: to będzie rozmowa teoretyka z praktykiem.

O. DAWID KUSZ: I ten ostatni to ja?

Komponuje Ojciec muzykę sakralną, uczy śpiewu w seminarium, poza tym prawie każdego dnia styka się z materią muzyki sakralnej podczas nabożeństw. Ja w kościele wstydziałem się otworzyć usta z obawy przed tym, co z nich wyjdzie. Czy przez to modliłem się gorzej?

Nie gorzej. Na pewno mniej. Albo wręcz płycej. Rola śpiewu podczas nabo-

żeństwa wykracza daleko poza to, co moglibyśmy nazwać oprawą artystyczną. W seminarium mówi się klerikom, że śpiew jest najbardziej kompletną odpowiedzią na inicjatywę Boga, i nie mogę się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Proszę zauważyć, że gdy śpiewam, angażuję w to partie mięśni, których nie używam podczas mowy. Muszę też głębiej oddychać. Nawet głos brzmi inaczej. A przede wszystkim włączają się emocje. Śpiewając, odwołujemy się do pokładów wrażliwości, których mowa zwykle nie porusza – włącznie z poczuciem zawstydy, które trzeba po prostu pokonać, bo w naszej kulturze śpiewanie nie uchodzi za naturalną czynność.

Oprócz odczuwania emocji dobrze jest jeszcze rozumieć, o czym się śpiewa.

Oczywiście. Ale wydaje mi się, że z dostępem do treści nie jest już w naszych kościołach źle. Mamy śpiewniki. W wielu parafiach do mszy układa się w ławkach kartki z tekstami pieśni zaplanowanych na nabożeństwo albo wyświetla tekst na ekranie. Problemem wciąż bywa natomiast samo rozumienie tekstu, a tu wkraczamy już w obszar problematyki wychodzącej poza sferę obrzędu religijnego. Na horyzoncie pojawia się problem wrotnego analfabetyzmu.

To, co słyszę czasami podczas mszy od wiernych, nie różni się od tego, z czym stykam się poza świątynią, kiedy np. piszę do kogoś mail i w odpowiedzi dostaje coś, co nie ma związku z moim pytaniem.

Nazwie Ojciec taki bezrefleksyjny śpiew modlitwą?

Nie wiem, czy można sobie wyobrazić sytuację, w której podczas modlitwy całkowicie wyłączamy rozum. Nawet gdy emocje biorą górę – jak w grupach charyzmatycznych, gdzie modły nie mają charakteru kontemplacyjnego i nakierowane są głównie na wspólne przeżywanie – gdzieś tam zawsze znajduje się element racjonalny. Byłem związany z ruchem charyzmatycznym przed wstąpieniem do zakonu i pamiętam, że nawet najbardziej – powiedziałbym – instynk-

towne formy modlitwy przeżywało się niejako równolegle, właśnie w sposób racjonalny.

Mam raczej na myśli sytuację, kiedy w ławach kościelnych odpływamy myślami do garażu, w którym stoi samochód z zepsutym gaźnikiem. Usta śpiewają, głowa jest gdzie indziej.

Rozproszenie, o którym pan mówi, jest nie do uniknięcia. Proszę mi wierzyć, zdarza się to także księżom, i to nawet podczas mszy. Najważniejsze to wracać. Jak w życiu. Moment, w którym zdajemy sobie sprawę, że zblądziliśmy, jest zarazem początkiem powrotu na właściwą ścieżkę. Podobnie może być z liturgią. Wartość, jaką niesie ze sobą ponowne świadome włączenie się do uczestnictwa w nabożeństwie, rekompensuje, myślę, z nadstatkiem stracony wcześniej czas.

Ale co z tą bezrefleksyjną modlitwą? Czy to wciąż modlitwa?

Wydaje mi się, że Bogu nie można stawiać takich ograniczeń. Romano Guardini, słynny niemiecki teolog włoskiego pochodzenia, pisał, że jeśli nawet nazwiemy swoją modlitwę bezrefleksyjną czy powierzchowną, to i tak nie będziemy wiedzieli, co się dzieje po drugiej stronie. Nie możemy zakładać, że to, co my nazywamy słabością, jest nią także dla Boga. Albo że Bóg tę słabość odrzuci.

Tylko że cały akt modlitwy służy przecież modlącemu, nie Bogu. Dla mnie śpiew był właśnie tym czasem, kiedy „naprawiałem gaźnik”. Słowem: czasem straconym.

Pytanie, ile osób w kościele odbierało to podobnie jak pan.

Mogę być wyjątkiem, oczywiście.

Przy okazji poruszył pan ważny wątek formalnego podziału mszy na recytowane i uroczyste, który funkcjonował w Kościele mniej więcej do czasu ostatniego soboru. Nabożeństwa z udziałem organisty i z partiami śpiewanymi przez kapłana były wówczas zarezerwowane na niedziele i święta. Obecnie to rozróżnienie uległo zatarciu. Liturgia w dni robocze może być równie podniosła. A kiedy wszystko jest podniesione, nic tak naprawdę podniosłe nie jest. Myślę, że to pańskie znużenie śpiewem podczas mszy mogło wynikać także z przesytu.

→



TOMASZ WOTASIK / PAP

Ogólnopolski zjazd chórów i orkiestr z okazji 89. urodzin Jana Pawła II, sanktuarium w Licheniu, maj 2009 r.

⇒ **A może śpiewanie w kościele przeszkadza wiernym w utrzymaniu modlitewnej koncentracji?**

Nie sądzę. Choć od razu zaznaczę, że formułuję tę opinię głównie na podstawie doświadczeń z naszego kościoła dominikańskiego przy ul. Stolarskiej w Krakowie, który jest bardzo rozśpiewany. A jako ksiądz, który odprawiał msze w różnych parafiach, miejskich i wiejskich, w monumentalnych katedrach i malutkich wiejskich kościołkach, dodam, że im bardziej śpiewający jest kapłan, tym chętniej śpiewają wierni. Proszę zresztą pamiętać, że nie ma obowiązku śpiewania podczas mszy. Dokumenty soborowe, zwłaszcza konstytucja o liturgii, mówi o „czynnym uczestnictwie” w nabożeństwie, którym nie musi być śpiew. Można po prostu słuchać pieśni. Pozostawać głową w kościele. Paradoksalnie, osoba nieśpiewająca, ale słuchająca uczestniczy w mszy głębiej od kogoś, kto śpiewa na cały kościół, nie zastanowiwszy się nad tym, co wychodzi z jego ust.

I uczestnicząc tak głęboko, możemy czasem usłyszeć takie kwiatki jak „tyś na pustkowiu sklep otworzył, Panie” albo „królowej angielskiej śpiewajmy”.

W mojej rodzinnej okolicy, pochodzę z rzeszowskiego, śpiewa się na Wielkanoc pieśń, w której jest fraza o Księciu Ciemności, który „pierzchnie w piekła bramy”. Połowa ludzi w kościele śpiewa oczywiście, że szatan „pieprznie w piekła bramy”, jak rozumiem, w panicznej ucieczce przed zmartwychwstałym Chrystusem.

Czasem takie swobodne reinterpretacje ocierają się wręcz o świętokradstwo. „Anioł Pański zmajstrował Pannie Maryi”. Grzech?

No nie. Nie można nazwać grzechem czegoś, co wynika po prostu z nieznamośności tekstu i najczęściej bywa efektem językowego uzusu, przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Gdyby pan to wyśpiewał z premedytacją, to co innego.

Ale zgrzeszyć można „myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem”. Czy tak ostentacyjnie lekceważenie sensu pieśni nie jest właśnie tym ostatnim?

Ależ z pana rygorysta! Ale już poważnie – myślę, że sprowadzając śpiew pod-

czas nabożeństwa do wymiaru czysto technicznego czy estetycznego, zakładamy, że tego dialogu z Bogiem, jakim jest pieśń religijna, nie słucha nikt poza samym śpiewającym.

Warstwa tekstowa polskich pieśni kościelnych może stanowić wyzwanie. Ile pokoleń polskich dzieci kombinowało, co znaczy fraza „z majestatu Trójcy Świętej tak sprawował poselstwo k'niej”? Znam też osobę, która jako dziecko była przekonana, że „żywiół wszelki”, który w pieśni majowej śpiewa Bogu, ma na sobie jakiś wzorek „w szelki”. Sam pan widzi, jak śpiewanie angażuje wyobraźnię!

Tylko czy modlitwa to dobry czas na ćwiczenia z wyobraźni?

Oczywiście, czegoś zabrakło. Wystarczyło omówić z wiernymi treść, wyjaśniając, że to piękna stara pieśń zawierająca zwroty, których dziś już nikt nie używa. To nam czasem szwankuje.

Tylko to?

Jeszcze nauka śpiewu w seminarium, która bywa niestety traktowana po macoszemu. Jeśli parafii trafi się potem dobrze śpiewający kapłan, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że wierni będą również śpiewać – dużo i dobrze. Tutaj znów warto wrócić do dokumentów kościelnych, które stwierdzają, że najważniejszymi muzykami, jeśli mogą tak powiedzieć, nie są w kościele organista ani chór, lecz właśnie kapłan i lud. Bo najważniejszymi śpiewami podczas Eucharystii są partie kapłana i odpowiedzi ludu. Proszę zauważyć, one zawsze są ułożone w dialog. „Pan z wami”.

„I z duchem twoim”.

No właśnie. Tymczasem w praktyce wielu polskich kościołów utarło się, że śpiewa głównie organista. Gdyby trzymać się ściśle dokumentów kościelnych, nie powinno to mieć w ogóle miejsca, bo organista może towarzyszyć mszy tylko wtedy, kiedy odbywają się tzw. śpiewy pierwszego stopnia – czyli te dialogi kapłana z wiernymi. Tak zwane części stałe, jak Kyrie, Gloria czy Agnus Dei, to śpiewy drugiego stopnia i dopiero za nimi, na końcu, lokuje się w tej gradacji to, co podczas mszy intonuje organista. Rzecz jasna, ojcowie soborowi nie ustanowili ta-

kiego porządku, bo taką mieli fanaberię. Ich zdaniem gradacja śpiewów kościelnych prowadzi wiernych do pełniejszego i w pełni rozumnego uczestnictwa w Eucharystii.

Jako wykładowca śpiewu w seminarium zgodzi się Ojciec z Jerzym Stuhrem, że „nie ma takiej rury, której nie można odetkać”?

W całej karierze nauczyciela trafiłem tylko na trzy przypadki beznadziejne, z którymi naprawdę nic nie można było zrobić. Te trzy osoby stanowiły może pół procenta wszystkich kleryków, z którymi pracowałem przez 12 ostatnich lat.

Byłbym numerem cztery, gdybym trafił pod skrzydła Ojca.

Zdziwiłby się pan. Uważam, że większość z nas jest w stanie opanować śpiew w stopniu, który pozwala czerpać z tego przyjemność. Kwestia czasu i otwartości na nowe doświadczenie.

A co najtrudniej zaśpiewać podczas mszy?

Zdecydowanie prefację, czyli ten pasus zaczynający się od słów „Zaprawdę, godne to i sprawiedliwe”. Tam rzeczywiście jest trochę gimnastyki i dokumenty kościelne mówią, że gdy ksiądz nie czuje się mocny w śpiewie, może opuścić trudniejsze fragmenty. Ale reszta moim zdaniem nie jest trudna.

Może i nietrudna, ale przygnębiająca. Zgodzi się Ojciec z obserwacją, że polska muzyka sakralna jest smutna.

Chyba rzeczywiście coś w tym jest. Nawet pastoralki i kolędy, czyli utwory na najradośniejszy czas roku liturgicznego, są często w tonacji molowej, która pobudza tę bardziej refleksyjną część ludzkiej wrażliwości.

Poprosimy więcej w „dur”.

To może sięgajmy najpierw głębiej do skarbczyka polskiej pieśni religijnej, w którym nie brak mocnych, radosnych utworów. „Śpiewnik kościelny” księdza Jana Siedleckiego to cegła, która liczy ponad 1400 stron. A ile pieśni wybrzmiewa co roku w przeciętnym polskim kościele? Idę o zakład, że nie więcej niż sto. Może nawet mniej. Bo organista nie umie zagrać trudniejszej linii melodycznej albo zwyczajnie nie chce mu się ćwiczyć no-



Często słyszę: „skomponuj mi coś”.

A kiedy mówię: „dobrze, ale dajcie mi najpierw tekst”, dostaję odpowiedź, że „coś tam się potem dopisze”. Tymczasem **treść jest najważniejsza.**

O. DAWID KUSZ jest dominikaninem. Świecenia kapłańskie przyjął w 2005 r. Jest kompozytorem muzyki sakralnej i nauczycielem śpiewu. Wykłada w Międzyuczelnianym Instytucie Muzyki Kościelnej w Krakowie. Ma stopień doktora sztuk muzycznych.

wych. Głównym winowajcą jest oczywiście proboszcz, który powinien dążyć do wzbogacenia oprawy liturgicznej, stać na straży świętości samej liturgii. Ale wie pan, w seminarium uczą tyłu ważnych rzeczy, że śpiew wielu kleryków uważa za coś, co trzeba po prostu odbębnić. No i potem się to lekceważenie zabiera ze sobą na kolejne parafie. Proboszcz powinien interweniować, kiedy jakość oprawy muzycznej oferowanej przez organistę spada do poziomu, który zaczyna godzić w powagę Eucharystii i odwraca uwagę wiernych od jej treści. Ale żeby to zrobić, trzeba mieć przekonanie, że śpiew podczas mszy jest ważny, a z tym, jak powiedziałem, bywa różnie także wśród księży.

Powtórzę w takim razie: po co upierać się przy śpiewie w polskich kościołach, skoro nam to raczej nie wychodzi?

Czasem nie wychodzi, to prawda. Ale bywałem też w parafiach, gdzie śpiewa się tak, że człowiekowi ciarki chodzą po plecach z wrażenia – zarówno w dużych miastach, jak i na wsiach. Trudno tu o uogólnienie. Jeśli coś można uznać za problem faktycznie powszechny, to zaskakujące dla mnie lekceważenie treści. Często słyszę: „skomponuj mi coś”. A kiedy mówię: „dobrze, ale dajcie mi najpierw tekst”, dostaję odpowiedź, że „coś tam się potem dopisze”. Grunt to mieć muzykę.

Jak w Kabarecie Starszych Panów, gdzie był „kompozytor i ten drugi”.

Jeremi Przybora był poetą i uważam, że w polskiej muzyce sakralnej właśnie

trzeba nam poetów teologii, zdolnych zamknąć w treści pieśni religijnej wielką teologię. Osobiście bardzo lubię „Zbliżam się w pokorze”. Proszę sobie przypomnieć tekst tej pieśni, tam jest teologia przez duże „T”.

Skoro jesteśmy już przy porównaniach z kulturą popularną: amerykański – czyli de facto protestancki – gospel na trwałe wpisał się do muzyki popularnej. Myśli Ojciec, że katolicka muzyka sakralna zrodzi kiedyś jakiś hit na miarę jedyne-go, jaki ma chyba w dorobku? Mam na myśli „Cichą noc”.

(*chwila milczenia*) A ja się zastanawiam, czy „Cicha noc” to w ogóle pieśń liturgiczna.

A co w takim razie?

Pieśń liturgiczna to utwór zawieszony w warstwie tekstu bezpośrednio na Ewangeliach lub prorocत्वach starotestamentowych. Kiedyś na Boże Narodzenie śpiewało się w kościołach tak zwane pieśni bożonarodzeniowe. Na przykład „Bóg się rodzi”, „Anioł pastarzom mówił”. To jest wielka teologia. Obok nich występowały kolędy i pastorałki, czyli utwory nawiązujące do historii narodzin Jezusa w sposób bardziej luźny, eksponujące fabularną i obyczajową sferę tego wydarzenia, przeznaczone do nabożnego śpiewania po domach.

Rozumiem wątpliwości natury teologicznej, ale sukces „Cichej nocy” wydaje się bezapelacyjny. I powtó-

rzę pytanie – czy sądzi Ojciec, że doczekamy się katolickiego hitu?

Nie sądzę. Mówimy o tak różnych estetykach, że nie widzę szans, by mogły się one kiedyś nawzajem przeniknąć. Po wiem nawet więcej – moim zdaniem one powinny się od siebie różnić.

Bo?

Bo mają inne funkcje. Utwór popowy ma być przyjemny dla ucha, łatwo budzić emocje. Pieśń w trakcie mszy może być przyjemna dla ucha, może też wzbudzać emocje, ale powinna zawsze kierować myśli i serce słuchacza do Boga.

Kiedy słyszę niektóre pieśni kościelne, czuję głównie cierpienie. Na przykład „Golgota”. Cała linia melodyczna przypomina tam drogę krzyżową i nie wiem, czy to celowy zabieg, czy kompozytorowi po prostu nie wyszło.

I proszę, wspominałem o nieprzystawalności estetyk. „Golgota”, o ile mi wiadomo, jest pieśnią wywodzącą się z neokatechumenatu, który jest liturgicznie dość daleki od polskiego katolickiego mainstreamu, jeśli mogę tak powiedzieć. Czy dobrze zrozumiałem? Kiedy słyszy pan „Golgotę”, coś się panu nie zgadza?

Tak.

Bo obcuje pan z inną estetyką muzyczną niż ta, do której pan przywykł w Kościele. Czyli nie jest z panem aż tak źle, jak pan twierdzi. Jakiś muzyczny zmysł pan ma. Jak większość wiernych w Kościele. ©® Rozmawiał MAREK RABII

Krzyż, Półksiężyc i Mądrość Boża

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Stało się to, czego obawiali się chrześcijanie na całym świecie. Po 86 latach Hagia Sophia znów jest meczetem.

10 LIPCA 2020 R., KILKANAŚCIE MINUT po 17.00, z minaretów Hagii Sophii popłynął śpiew muezina wzywającego wiernych do modlitwy. Choć nikt z tłumu zebranych na placu Sultanahmet między Hagią Sophią a Błękitnym Meczetem nie klęczał z twarzą zwróconą ku Mekce, w tłumie i tak dało się wy czuć poruszenie pomieszczone z niedowierzaniem. Na telewizyjnych transmisjach z tego wydarzenia widać zaledwie kilka tureckich flag i las rąk z uniesionymi w górę telefonami.

Nie znaczy to jednak, że Turcy nie przejęli się historyczną decyzją swojego prezydenta, który podpisał dekret zamieniający status niemal 1500-letniej świątyni z muzealnego na religijny. Nie minęła godzina, a telewizje, gazety i portale internetowe już używały określenia Ayasofya Cami (meczeta Hagia Sophia), a nie jak dotąd Ayasofya Müzesi. Podczas przemówienia do narodu Recep Tayyip Erdoğan stwierdził, że uczynienie z Hagii Sophii meczetu to wypełnienie woli całego muzułmańskiego świata.

– Wskrzeszenie meczetu Ayasofya to zapowiedź wyzwolenia meczetu Al-Aksa i rozbudzenie płomienia nadziei nie tylko u muzułmanów, ale wszystkich uciśnionych i tych, którzy są zniewoleni – mówił z charakterystycznym dla siebie uniesieniem, wspominając meczet z jerozolimskiego Wzgórza Świątynnego, i najwyraźniej trafił do wielu religijnych Turków. W komentarzach pod opublikowanym w większości mediów przemówieniem próżno szukać krytyki decyzji. Dominują euforyczne stwierdzenia o wypełnieniu woli Allaha i zerwaniu okowów. Prezydenta porównywano do zdobywcy Konstantynopola, sułtana Mehmeda II, który zmienił bizantyjską świątynię w meczet w 1453 r. „Niech Bóg cię błogosławi, prezydencie”, „Allahu, spraw, by dźwięk

ezanu z minaretów Ayasofyi nigdy już nie zamilkł”, „Dźwięk ezanu z Ayasofyi przyniesie kalifat” – pisali rozradowani.

Ojciec muzułmanów

Wydźwięk przemówienia, zwłaszcza jego religijnych fragmentów, nie powinien dziwić. Erdoğan od dawna aspiruje do bycia głową islamskiego świata. To przecież on nieraz, nawet podczas wystąpień państwowych, układał dłoń w geście islamskiego pozdrowienia, znanego jako rabia (uniesiona dłoń, lekko zgięty kciuk), którym pozdrawiają się członkowie Bractwa Muzułmańskiego. On też nawoływał do zjednoczenia wszystkich muzułmanów przeciw Izraelowi. Dziesiątki razy dawał wyraz swojemu przywiązaniu do religii. O zachodnich politykach mawiał „krzyżowcy”, a w ciągu 18 lat swoich rządów zrobił wszystko, by zdewaluować świeckie wartości, na których zbudowano nowoczesną Republikę Turcji. Uczynienie z Hagii Sophii meczetu to kolejny, jak dotąd najbardziej spektakularny, krok na tej drodze, a sposób, w jaki Erdoğan to zrobił, jest niemal jego osobistym zwycięstwem nad Mustafa Kemalem Atatürkiem.

Erdoğan przy każdej okazji powtarzał, że desakralizacja Hagii Sophii, dokonana w 1934 r. była błędem. Stała się co prawda nie mówić, że to błąd Atatürka, ale wiadomo było, że to właśnie ma na myśli. Co innego mógł rozumieć przez sugerowanie, że winę za tę „koszmarną pomyłkę” ponosi jednopartyjny system rządów (w 1923 r. powołano parlament, ale przez lata zasiadali w nim jedynie przedstawiciele kemalistowskiej Republikańskiej Partii Ludowej), a dekret zamieniający meczet w muzeum podpisał nie kto inny, jak „ojciec narodu”. 86 lat później Erdoğan, który zrobił wszystko, by wyma-



zać Atatürka z serc i umysłów Turków, zatriumfował, unieważniając tamten dokument.

Pomieszczenie praw

Do legalnego przeprowadzenia sprawy potrzebna była cała urzędniczo-sądownicza machina. Ta uruchomiona została już jakiś czas temu. Parlamentarna debata nad przywróceniem Hagii Sophii statusu meczetu odbyła się w parlamencie już przed ośmioma laty. Wówczas niewiele z niej wynikło, bo Erdoğan nie miał jeszcze w kraju pełni władzy. Zdobył ją po referendum konstytucyjnym sprzed dwóch lat, w wyniku którego wprowadzono w Turcji system prezydencki, parlament sprowadzając do roli przystawki.

W ubiegłym roku Trybunał Konstytucyjny orzekł, że prezydent ma prawo „zając się” kwestią Hagii Sophii. Erdoğan, co było do przewidzenia, skwapliwie z tego skorzystał. Choć w telewizyjnych wystąpieniach wciąż powtarzał, że przywrócenie świątyni statusu meczetu „jest możliwe”, „niewykluczone”, „godne rozważenia” – młyńskie koła już meły. Kwe-



Hagia Sophia, 10 lipca 2020 r.

stią czasu było orzeczenie Sądu Najwyższego, unieważniające dekret z 1934 r. Sędziowie uznali, że parlament nie mógł zeświecczyć Hagii Sophii, bo nie należała ona do republiki, lecz była prywatną własnością zmarłego 600 lat wcześniej Mehmeda II Zdobywcy, ten zaś pieczę nad nią przekazał religijnemu stowarzyszeniu.

I choć dzięki temu karkołomnemu ruchowi tureccy politycy mogą twierdzić, że wszystko stało się legalnie, wśród publicystów i prawników nie brak opinii, że to jawne pomieszenie porządków prawnych: świeckiego prawa Republiki Turcji i religijnego prawa Imperium Osmańskiego. Cytowany przez dziennik „Hürriyet” specjalista prawa administracyjnego prof. Metin Günday uważa, że taka interpretacja jest błędna z kilku powodów. Po pierwsze, sąd nie ma prawa uchylać decyzji administracyjnej sprzed 80 lat; po drugie, według prawa osmańskiego cały kraj stanowił własność sultana. „Czy w tej sytuacji spadkobierca sultana Abdulhamita może ubiegać się o zwrot pałacu Topkapı?” – pyta profe-

sor. Publicysta dziennika „Cumhuriyet” Bariş Terkoğlu wieszczy zaś, że zastąpienie prawa świeckiego „prawem miecza” największe szkody wyrządzi Turcji nie na miejscu, lecz za granicą.

Koniec dialogu religijnego?

Zachodni politycy nie zostawiają na decyzji suchej nitki, nazywając ją rozczarowującą (Amerykanie) czy prowokacyjną (Grecy), ale zdają sobie jednocześnie sprawę z tego, że prezydent Turcji nie tylko chciał w ten sposób zmobilizować swój elektorat po dramatycznych wprost spadkach w sondażach, ale też zagrać im na nosie i pokazać, że nikt nie ma prawa wtrącać się w sprawy jego kraju. Turcja wciąż podkreśla, że Hagia Sophia znajduje się na jej terenie i wyłączną jej sprawą jest to, co z nią robi.

Stroną w tym sporze są też jednak chrześcijanie wszystkich obrządków, dla których Hagia Sophia ma olbrzymie duchowe znaczenie. Papież Franciszek powiedział, że jest głęboko zasmucony decyzją Ankary, zaprotestował również

zwierzchnik 300 milionów prawosławnych na świecie, ekumeniczny patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I. Dołączył do niego zwierzchnik greckiego Kościoła prawosławnego Hieronim II oraz patriarcha Moskwy i Rusi Cyryl, który już wcześniej niejednokrotnie apelował o to, by świątynia pozostała muzeum. Podczas gdy rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych uznało, że decyzja jest wewnętrzną sprawą Turcji, Cyryl wyraził żal, że ta „nie wsłuchiwała się w obawy milionów chrześcijan”.

Tymczasowy sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów prof. Ioan Saucă nie krył smutku i konsternacji. W liście do prezydenta Erdoğan'a napisał, że Hagia Sophia była symbolem otwartości i inspiracji dla przedstawicieli wszystkich nacji i wyznań, a fakt, że świątynia służyła jako muzeum, był znakiem otwartości i – co ciekawe w liście duchownego – przywiązania Turcji do sekularyzmu. „Jestem zobowiązany przekazać wam smutek Światowej Rady Kościołów i jej 350 Kościołów członkowskich w ponad 110 krajach, reprezentujących ponad pół miliarda chrześcijan na całym świecie. Czyniąc z Hagii Sophii meczet, symbol otwartości Turcji zmieniłeś w znak wykluczenia i podziału. Twoja decyzja nieuchronnie spowoduje niepewność, podejrzenia i nieufność, podważając nasze wysiłki zmierzające do zgromadzenia ludzi różnych wyznań przy stole dialogu i współpracy” – czytamy w liście. Saucă przypomniał, że Światowa Rada Kościołów zawsze występowała w obronie praw innych wspólnot religijnych, także muzułmańskich.

Jak wy nam, tak my wam

Choć Erdoğan nie zareagował jeszcze na list, można sobie wyobrazić, co znalazłoby się w odpowiedzi. Byłaby tam zapewne mowa o prowokacji, jaką było uznanie przez USA Jerozolimy za stolicę Izraela, i prześladowaniach muzułmańskich Rohingów w Birmie, miliony ludzi, za którymi nikt nie chce się ująć. Byłoby – bo już przecież nieraz padły – słowa o tym, że liczba meczetów w Europie, zwłaszcza w Grecji, jest niewspółmierna do liczby kościołów i synagog w Turcji, których jest tu ponad 400. Erdoğan mógłby też wspomnieć o dawnych osmańskich medresach i meczetach →

→ zburzonych albo zamienionych na kościoły w państwach podbitych kiedyś przez Osmanów, które po wywalczeniu niepodległości „mściły” się za lata w niewoli.

Długi fragment poświęciłby też pewnie wydarzeniom z marca ubiegłego roku, kiedy do meczetu w Nowej Zelandii wtargnął uzbrojony terrorysta, zabijając 51 modlących się muzułmanów. Na jego karabinach były znaki krzyża, imię Miłocha Obilića (który podczas bitwy na Kosowym Polu w 1389 r. zabił sultana Murada I) i przesłanie, że Stambuł znów stanie się Konstantynopolem, a minarety Hagii Sophii zostaną zburzone. Na koniec zasugerowałby pewnie przekształcenie Mezquity, katedry w Kordobie, z powrotem w meczet, którym była od 785 do 1236 r.

„Czy to nie znamienne, że dwie ideologie, z których jedna twierdzi, że musi bronić krzyża, a druga, że półkrszyża, za symbol zwycięstwa biorą Hagie Sophię?” – pyta Bariş Terkoğlu, każąc się zastanowić, dokąd zmierzają wierni religii, z których każda mówi o sobie, że jest religią miłości. Na murze okalającym kościół św. Polikarpa w Izmirze już pojawił się niewielki arabski napis, zdaniem tamtejszych wiernych sugerujący, że będzie on następny. „Tylko czekać, aż coś podobnego zrobią chrześcijanie. Zaczęło się właśnie oko za oko, ząb za ząb” – napisał ktoś w komentarzu pod informacją.

Świątynia świata

Trudno powiedzieć, czy cesarz Justynian I, który w 532 r. zlecił budowę nowej świątyni w miejscu tej z roku 330, na pewno miał świadomość, że oto w nowej stolicy Imperium Romanum powstaje architektoniczny cud, który będzie symbolem potęgi chrześcijaństwa. Cesarz sam doglądał budowy, którą udało się ukończyć w zaledwie pięć lat od rozpoczęcia. Nie obyło się bez błędów konstrukcyjnych, nie pomagały też trzęsienia ziemi, świątynię trzeba było remontować niemal natychmiast po oddaniu do użytku. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Pragnienie przejścia świątyni targało nie tylko wrogami chrześcijaństwa, ale i samymi chrześcijanami. Uczestnicy czwartej krucjaty odebrali Hagie Sophię Bizantyńczykom, grabiąc ją i dokonując poważnych zniszczeń. Po pół

wieku pełnienia roli katolickiej katedry świątynia była w opłakanym stanie. I paradoksalnie to właśnie Mehmed II Zdobywca zajął się dwa stulecia później jej gruntowną renowacją. Przez pięć kolejnych wieków Hagia Sophia była jednym z najważniejszych meczetów Imperium. Dopiero Atatürk złożył ją na ołtarzu laickich wartości i układów politycznych z państwami europejskimi, czyniąc z meczetu muzeum.

Jezus za zasłoną

Erdoğan zapewnia, że rewolucja dokonana zostanie z poszanowaniem cywilizacyjnych wartości i dziedzictwa ludzkości. Jako że – co zauważają tureccy publicyści – aspiruje do rangi współczesnego Mehmeda II, jest szansa, że tak się stanie. To przecież osmański sultan po podbiciu Konstantynopola skierował pierwsze kroki do Hagii Sophii i klękając przed wejściem, posypał głowę ziemią, okazując w ten sposób ukorzenie się przed Bogiem. A gdy już uczynił z perły Bizancjum meczet, nie nakazał zdarcia zjawiskowych, wielobarwnych mozaik i malowideł przedstawiających Matkę Bożą z Dzieciątkiem, Archaniola Gabriela, świętych, władców i anioły, umieszczonych w pendentywach, nawach i absydach, a jedynie polecił ich otynkowanie i zawieszenie olbrzymich, zielonych medalionów z arabskimi inskrypcjami, podłogę zaś pokrył dywanami.

Mniej więcej to samo zapowiadają konserwatorzy, którzy od 12 lipca oceniają, jak dostosować Hagie Sophię do nowej funkcji, tak by pierwsza modlitwa zaplanowana na 24 lipca mogła się odbyć zgodnie z zasadami islamu. Nie muszą troszczyć się o wskazujący Mekkę mihrab ani smukłą islamską kazińnicę zwaną minbarem – te są w świątyni od pięciu stuleci. Na razie mowa o zasłanianiu ikon i mozaik przedstawiających postaci składanym parawanem i specjalnymi zasłonami oraz o pokryciu posadzki dywanem wykonanym z włókien, które nie uczynią jej żadnej szkody.

Nie wiadomo tylko, czy będzie tak na stałe, czy tylko na czas modlitw. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś pięć razy dziennie zasłania i odsłania freski i zwija dywany. W tej kwestii pozostaje chyba liczyć tylko na Mądrość Bożą.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Dobre miejsce

JAN TOMASZ RYBICKI

Parafianie jasno mówią, czego się spodziewają od księży i co im gwarantują. Taki nieformalny modus vivendi zdaje egzamin.

CZY NASZA PARAFIA TO PIRAMIDA – HIERARCHICZNA organizacja, na czele której stoi proboszcz, myślący, decydujący i pracujący za wszystkich, czy też – wspólnota wspólnot? – takie pytanie proboszczom stawia dokument II Polskiego Synodu Plenarnego o nowej ewangelizacji. Po ponad 20 latach od zakończenia obrad w wielu parafiach cel, zarysowany przez synod, wciąż wydaje się być utopią. Są jednak miejsca, gdzie jest inaczej.

U św. Mikołaja

Parafia św. Mikołaja w Gdyni należy do większych w mieście, na jej terenie mieszka ok. 11 tys. ludzi. Co czwarty, co piąty chodzi do kościoła. Tutejszy proboszcz ks. Jacek Socha macha ręką na statystyki: – Liczą się twarze – mówi. Ważniejsze jest to, co znajdują w kościele ci, którzy jednak przychodzą. A w okolicy kościoła św. Mikołaja dzieje się wiele.

Grup prowadzonych przez świeckich i dla świeckich jest zbyt wiele, by wymienić je wszystkie z nazwy. Są wspólnoty ewangelizacyjne, modlitewne, formacyjne, grupy wzajemnego wsparcia: dla przeżywających kryzys małżeński, dla osób uzależnionych od alkoholu i narkotyków, dla cierpiących na depresję. Rodzice dzieci niepełnosprawnych spotykają się i dzielą swoimi doświadczeniami, w budynku parafii działa świetlica socjoterapeutyczna, maluje się wspólnie ikony, stworzono studio nagrań...

Potrzeba tylko katalizatora. Czasem to ksiądz coś proponuje, czasem to do proboszcza przychodzi grupka z pomysłem, prosząc o udostępnienie sali, rozpuszczenie wici czy pomoc w organizacji. Żadna

z inicjatyw nie istniałyby bez świeckich, którzy podjęli się jej stworzenia. Każda z nich bez pomocy parafii miałaby małe szanse, by zacząć funkcjonować.

Zupa Chyłońska

Chylonia, gdzie znajduje się parafia, to peryferyjna dzielnica Gdyni, niegdyś ciesząca się nie najlepszą sławą. Mieszkało tu wielu robotników pracujących w stoczni, którzy stracili pracę podczas transformacji. Także dzisiaj, mimo miejskich inwestycji, niektórzy żyją w biedzie. Od kilku lat w parafii działa akcja cotygodniowego gotowania zupy, by częstować nią bezdomnych i tych, którym nie starcza pieniędzy.

– To moja dzielnica, mieszkam tutaj od wielu lat – mówi Renata Młyńska, jedna z inicjatorek „Zupy Chyłońskiej”. Zapytana o pierwszy impuls do działania, zamysla się na chwilę.

– Dobrze pamiętam spotkanie z pewną panią zbierającą niedopałki z ulicy. Poczułam, że nie chcę, żeby musiała to robić.

Podeszłam zapytać, czy może nie potrzebuje jedzenia, pieniędzy. Bałam się, czy jej nie urażę. Zapadła mi w pamięć дума i wdzięczność, z którą przyjęła moją pomoc i chyba właśnie to wydarzenie zainspirowało mnie, żeby działać w parafialnym Caritasie. Wciąż jednak miałam poczucie, że dobrze byłoby zrobić coś więcej. Razem z koleżanką poszłyśmy do księdza z propozycją zorganizowania jakiejś formy regularnego poczęstunku dla bezdomnych i biednych.

– O, wy też o tym myślicie – ucieszył się ksiądz Socha. Rozpuścił wici: z ambony, wśród grup ewangelizacyjnych i modlitewnych. – To było jak pospolite ruszenie, pojawiło się wielu ludzi zaangażowanych wcześniej we wspólnotach, ale też sporo takich, którzy dopiero w tej formie działalności znaleźli swoje miejsce w parafii – wspomina. Obecnie gotuje pięć zespołów zmieniających się co tydzień.

Z datków od sponsorów, od pojedynczych osób, ze zbiórki na tacę udaje się kupić jedzenie, czasem ubrania. Dzięki

hojności parafian jedno z pomieszczeń parafialnych przerobiono na kuchnię. Ugotowanie zupy dla kilkudziesięciu osób to spore przedsięwzięcie. W soboty wydaje się ją o 15.00, więc już o 8.30 ktoś musi przyjść, żeby pokroić np. 14 kg ziemniaków i 10 kg mięsa.

Potrzebujący zbierają się w okolicach kościoła znacznie wcześniej. Czekać na zupę, obsiadają pobliskie murki i ławeczki: niektórzy są o kulach, inni chwieją się pod wpływem alkoholu. Są też osoby schludnie ubrane.

– Już panu lepiej? – dopytuje pani Renata, przez cały czas z kimś rozmawia. – O, no to dobrze. Buty będą w przyszłym tygodniu. Zbyszek pozdrawia, ale dlaczego go nie ma? W szpitalu psychiatrycznym, no ale dobrze, jeśli mu tam pomogą, to dobrze... ale masz z nim kontakt? – upewnia się, prosi, by go pozdrowić.

Zamieniam kilka słów z panem Tadeuszem: wysokim, szczupłym mężczyzną o długiej, siwej brodzie. Cierpi na schizofrenię, która czyni go niezdolnym

Kościół św. Mikołaja w Gdyni, 14 lipca 2020 r.



→ do pracy, renta, którą otrzymuje, nie starcza. Co tydzień przychodzi na zupełną, a raz na pięć tygodni sam pomaga ją ugotować. Opowiada, że jest też członkiem działającej przy parafii wspólnoty formacyjnej. Jej członkowie spotykają się w małych grupkach, by czytać Pismo Święte, i całą swoją wspólnotą w kościele, by chwalić Boga na głos, śpiewem i tańcem.

Pan Tadeusz najbardziej lubi tańczyć.

Módl się i działaj

Przy parafii św. Mikołaja istnieją wspólnoty formacyjno-ewangelizacyjne, m.in. neokatechumenat czy jedna ze wspólnot Szkoły Nowej Ewangelizacji (SNE) nosząca nazwę „Magnificat”. To duże grupy, liczące po sto, dwieście osób. Wywodzi się z nich wielu wolontariuszy będących wsparciem dla pomysłów takich jak „Zupa”. Członkowie spotykają się jednak głównie w mniejszych grupkach, by wspólnie się modlić i studiować Pismo Święte. Potrzebują duszpasterza, ale przede wszystkim zachowują swój charakter.

Na trójmiejskiej stronie SNE znajduje się dokument „ABC posługi duszpasterskiej”, który jasno określa, czego poszczególne wspólnoty potrzebują od swoich duszpasterzy (np. posługi sakramentalnej, otwarcia na współpracę ze świeckimi z zachowaniem ich podmiotowości), czego nie wymagają od księdza (posługiwanie się nadprzyrodzonymi charyzmatami, wymyślanie tematów spotkań, zgody na zwracanie się po imieniu). Ze swojej strony wspólnota gwarantuje kapłanowi szacunek, modlitwę i wsparcie w działaniach apostołskich.

Wydaje się, że w Mikołaju żadna ze stron nie oczekuje od drugiej więcej. Członkowie różnych wspólnot faktycznie włączają się w parafialne inicjatywy: organizację wigilii dla bezdomnych i samotnych, działania parafialnego Caritasu, tworzą oprawę muzyczną, są szafarzami.

Prowadzą na Chyloni działalność apostołską. Przykładowo „Magnificat” organizuje kursy ewangelizacyjne będące wprowadzeniem do chrześcijaństwa, skierowane do osób w kryzysie wiary i niewierzących, czy warsztaty dla małżeństw.

– Nie chcemy się zamknąć, poczuć się w swoim gronie zbyt dobrze i bezpiecz-



IAN RYBICKI

Wydawanie posiłków przy parafii św. Mikołaja w Gdyni, czerwiec 2020 r.

nie. Usiłujemy być Kościołem w drodze – tłumaczy mi małżeństwo Czerwińskich, zaangażowane w SNE.

Celem wspólnoty neokatechumenalnej jest ponowne odkrycie mocy chrztu. Do tego celu prowadzi jasno określona Droga, którą się idzie przez wiele lat pod opieką katechistów i prezbitera. Niektórzy członkowie chylńskiego neokatechumenatu na zaproszenie proboszcza zaczęli prowadzić kilkuletnie przygotowanie do bierzmowania: doświadczone małżeństwa spotykają się raz w tygodniu z grupami młodych, by rozmawiać z nimi, rozważać Pismo Święte i dzielić się doświadczeniem wiary.

Dzięki takim inicjatywom odpowiedzialność za wspólnotę spoczywa nie tylko na proboszczu i kilku wikariuszach. „Bez nich ta parafia by nie istniała” – ma w zwyczaju powtarzać o świeckich ks. Socha.

Stowarzyszenie

Chyba największe osiągnięcie parafii św. Mikołaja ma jednak mało wspólnego z kościołem i modlitwą. Pomysł wyszedł od obecnego proboszcza, który po przeniesieniu na Chyloni szybko zorientował się, że dzielnica mierzy się z problemami społecznymi. Zaproponował, by stworzyć Stowarzyszenie Świętego Mikołaja Biskupa, które będzie pomagać dzieciom i młodzieży w trudnej sytuacji.

Mieszkańcy zgłosili się do pomocy: trzeba było wyremontować pomieszczenia parafialne, nadać stowarzyszeniu oso-

bowość prawną, napisać wnioski o granty i finansowanie, pomagać dzieciom w lekcjach. Założenie stowarzyszenia zbiegło się z inwestycjami miasta, udało się rozwinąć działalność i zatrudnić etatowych wychowawców dla grup: obecnie stowarzyszenie działa w sieci gdyńskich placówek wsparcia dziennego.

– Nie jesteśmy instytucją religijną, staramy się po prostu pomagać najlepiej, jak potrafimy – opowiada wiceprzewodniczący Szymon Banaszczyk. – Jednocześnie spotykamy się w budynku należącym do parafii, współpracujemy z nią i nie ukrywamy, że wartości ewangeliczne są dla nas ważne – to jest napisane w statucie.

W stowarzyszeniu spotykają się z wychowawcą dwunastoosobowe grupki podzielone według wieku. Odrabiają lekcje, czasem przygotowują jakiś występ, z którym wychodzą „na miasto”. Przede wszystkim – rozmawiają.

– Na początku trudno jest się otworzyć przed ludźmi, których zna się z podwórka, ze szkoły. Dopiero po jakimś czasie nauczyłam się mówić o tym, co się ze mną dzieje, nazywać to, co mnie ostatnio zraniło, a co ucieszyło – opowiada, wążąc każde słowo, dziewczyna z najstarszej, licealnej grupy. Dzięki wsparciu, które otrzymała, przezwyciężyła problem z narkotykami. Gdy skończy szkołę, chce się zająć pedagogiką resocjalizacyjną.

Rodzice dopiero z czasem uczą się kompetencji, które nabywają w stowarzyszeniu ich dzieci: spokojnej rozmowy, na-

zywania swoich emocji i radzenia sobie z nimi. Przyszedł raz zaniepokojony ojciec, bo jego córka zaczęła wyrażać głośno swoje zdanie, mówić „nie”. Nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, bał się tego.

To często rodziny od pokoleń borykające się z biedą, uzależnieniami, żyjące w małych mieszkaniach socjalnych. Aby mogło dojść do prawdziwej zmiany, należy także i je objąć wsparciem. Przez lata między prowadzącymi stowarzyszenie i rodzicami dzieci nawiązywały się znajomości, z których ostatecznie powstał działający od kilku lat klub rodzica. Spotykają się w nim niemal wyłącznie kobiety, często matki w pojedynkę wychowujące dzieci – opowiada zajmująca się klubem Monika Pawłowska.

– Robimy wiele warsztatów: kulinarnych, związanych z rękodziełem czy psychoedukacyjnych. Czasem po prostu siadamy z pizzą i razem oglądamy film. Wielu przychodzących tu rodziców ma szansę na zaspokojenie podstawowych potrzeb: żeby odpocząć, zrobić coś dla siebie, uzyskać wsparcie. W zeszłym roku udało się nam pójść całymi rodzinami na rewię na lodzie „Disney on Ice”. Wszyscy byliśmy oczarowani – uśmiecha się Monika Pawłowska. – Często takie atrakcje są poza ich zasięgiem. Zdarza się, że któraś z pań ma okazję zrobić z nami coś pozornie oczywistego po raz pierwszy w życiu: pójść do kina albo upiec ciasto.

Z wieloletniej współpracy i spotkań powstał pomysł założenia spółdzielni socjalnej, która pozwoliłaby członkiniom klubu rodzica znaleźć pracę legalnie, na stałe, z płatnym chorobowym. Osiedle z socjalnymi mieszkaniem znajduje się po jednej stronie ulicy, naprzeciwko kościoła. Pomiędzy nimi stoi foodtruck spółdzielni socjalnej, noszący nazwę „Dobre Miejsce”.

Czekając na opiekankę, podpytuje sprzedawczynię o klub rodzica.

– Na przykład na święta Bożego Narodzenia sprzedajemy ozdoby, żeby zebrać pieniądze na naszą działalność. Książd nas zawsze zareklamuje.

– Sami je państwo robicie?

– Tak. Nigdy bym nie sądziła, że potrafię.

Dopóki się nie baliśmy

Foodtruck zaczął pracę w grudniu: nie miał wiele czasu, nim wybuchła pandemia. Problemem nie były przepisy umożliwiające sprzedawanie jedzenia na wy-

Czy parafia
to hierarchiczna organizacja,
na czele której stoi decydujący
za wszystkich proboszcz,
czy wspólnota wspólnot?

**Odpowiedź zależy
od proboszcza
i aktywnych świeckich.**

nos, tylko niepewność: „Dobre Miejsce” przez dwa tygodnie stało zamknięte, ponieważ pracownicy nie chcieli się narażać. Wszystkie spotkania odbywające się w stowarzyszeniu – świetlicy, klubu rodzica i seniora – zawiesiły na trzy miesiące swoją działalność.

Izolacja z całą mocą ujawniła problem państwowego systemu edukacji: anonimowość. Wiele dzieci po prostu zniknęło, nie pojawiły się na zajęciach online, nikt nie wiedział, co się z nimi stało. W mniejszych grupkach dużo łatwiej było o utrzymanie łączności.

– Staraliśmy się dowiedzieć, co z kim się dzieje – relacjonuje Szymon Banaszczyk. – Czasem było to trudne. Jedna z pań np. miała zostawić pijącego partnera i przeprowadzić się z dzieckiem. Kiedy przerwailiśmy spotkanie twarzą w twarz, straciliśmy z nimi kontakt. Dzwoniliśmy do kuratora i Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej: ostatecznie okazało się, że dziecko mieszka teraz z babcią. Wiele osób nie miało możliwości uczestniczyć w zajęciach online, ale naszym planem minimum było, żeby przynajmniej raz w tygodniu skontaktować się z dzieckiem i opiekunem. Dużo rozmawialiśmy przez telefon, szczególnie z młodszymi, którzy potrzebowali pomocy z lekcjami – rodzice nie zawsze mieli wiedzę, żeby im pomóc. Wychowawcy czasem spędzali w ten sposób po sześć, osiem godzin dziennie.

Również wspólnoty formacyjno-ewangelizacyjne – „Magnificat” czy neokatechumenat – przeniosły spotkania do sieci: młodzi członkowie nie mieli z tym problemu, starsi dołączali np. przez telefon w trybie głośnomówiącym położony przy komputerze. Spotykając się w niewielkim gronie swoich grupek łatwiej

było im zorientować się, kto potrzebuje pomocy, kto został bez środków do życia, kto boi się wyjść z domu po zakupy.

Jak zawsze okazali się wsparciem dla inicjatyw proboszcza: pomagali roznosić do klatek schodowych i pod drzwi biuletyn parafialny, w którym można było przeczytać krótkie rozważanie proboszcza i informacje o mszach online. „Jeśli ktoś potrzebuje pomocy albo zna rodzinę, która może jej potrzebować, proszony jest o kontakt z biurem parafialnym” – w tym stylu kończyły się cotygodniowe biuletyny. Dla 30 rodzin, które same się zgłosiły bądź zostały zgłoszone przez sąsiadów, zorganizowano zbiórkę żywności. Dzięki hojności sponsorów zaangażowano pracowników spółdzielni do przygotowywania „Zupy”, którą zaczęto wydawać trzy razy w tygodniu.

– To było bardzo potrzebne – mówi Renata Młyńska – biliśmy rekordy, nigdy wcześniej nie przychodziło do nas po sto osób. Tylko że smutne to było. Kiedy był zakaz gromadzenia, wydawaliśmy zupę i musieli się oddalić. Z niektórymi, którzy przychodzą od lat, jestem po prostu zaprzyjaźniona. W czasach, kiedy się nie baliśmy, dobrze było się czasem przytulić.

Zamęt

Teraz, kiedy pandemiczne obostrzenia zostały zniesione, do Mikołaja wraca życie.

– Pierwsze spotkanie mojej grupy było dzikie – mówi ze śmiechem Joanna Lewandowska, wychowawczyni najstarszej grupy. – Wpadli szturmem, nie dało się wytłumaczyć, że pandemia, odstepy... Mieli całą masę pomysłów, postanowili, że włączą się w zbiórkę na rzecz dziewczynki chorej na rdzeniowy zanik mięśni. Chcieli robić w parafii festyn! W końcu wynegocjowałam z nimi występ artystyczny ze zbiórką pieniędzy.

Po wakacjach, o ile nie nadejdzie druga fala pandemii, parafialne pomieszczenia będą znów wypełnione, grafik będzie pełkać w szwach.

– Moja rola polega w zasadzie na koordynowaniu działań, komunikowaniu ze sobą ludzi. Muszę wziąć odpowiedzialność za parafię jako całość, ale jednocześnie czuję się w obowiązku, żeby być zawsze otwartym na inicjatywy świeckich – wyznaje ks. Jacek Socha. – Myślę, że w nas, duchownych, często jest strach: przed tym pierwszym wstrząsem, nowością, zamętem. Później jednak nastaje harmonia.

© JAN TOMASZ RYBICKI

JESTEŚMY TOWAREM

W drastycznych warunkach i za niskie stawki pracownicy z Europy Środkowej od lat harowali w zakładach mięsnych Tönnies.

Czarę goryczy przełał dopiero koronawirus, który uwięził ich w kwarantannie.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

ZAKŁADY FIRMY TÖNNIES TO WIELKI kompleks zbudowany na obrzeżach miasteczka Rheda-Wiedenbrück na zachodzie Niemiec, w landzie Nadrenia Północna-Westfalia. Sterylnie białe ściany powodują, że można przejechać koło gmachu, nie zawracając sobie głowy tym, co znajduje się w środku.

Takie pytanie warto sobie jednak zadać, bo budowla kryje przemysłowe imperium, które produkuje i zaopatruje w mięso nie tylko supermarkety w Niemczech czy w Polsce, ale wysyła produkty na cały świat.

Tönnies przez ostatnie dwie dekady potrafiła – jak chyba żadna inna firma w sektorze mięsnym – zbijać koszty i na niskich cenach budować swoją przewagę eksportową. W 2019 r. obroty firmy przekroczyły 7 mld euro. Udało się to w szczególności dzięki niskim płacom. Zdecydowana większość spośród ok. 7 tys. pracowników to obcokrajowcy – głównie z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zatrudniani na podejrzanych warunkach przez pośredników, czyli firmy współpracujące z Tönnies jako podwykonawcy.

W połowie czerwca zakłady tymczasowo zamknięto – wśród pracowników rozprzestrzenił się bowiem koronawirus.

Wszystkich poddano testom, które wykazały ponad 2 tys. infekcji. Władze powiatu nałożyły na pracowników Tönnies przymusową kwarantannę. Wśród nich znalazło się ok. 900 Polaków.

Chora sytuacja

Ludzi z zakładu łatwo rozpoznać. W głównych miasteczkach powiatu Gütersloh co rusz widać w oknach znużone twarze mężczyzn w wieku między 30 a 50 lat. W oczy rzucają się też grupki, które wychodzą na balkon albo przed klatkę schodową, aby zapalić papierosa.

Przed jednym z budynków w Rheda-Wiedenbrück stoją dwaj mężczyźni. Nazwijmy ich Marek i Tomasz. O swojej pracy w zakładach Tönnies zgadzają się mówić tylko przy zachowaniu anonimowości.

– Leci mi już trzeci tydzień na kwarantannę – zaczyna Marek. – U mnie w mieszkaniu pozytywni mieszkają z negatywnymi – tłumaczy.

Opowiada, jak dzwonił do tutejszego Gesundheitsamt (Urzędu ds. Zdrowia, odpowiednika sanepidu) z prośbą o przeniesienie zakażonych do innego lokum: – Pani powiedziała, że Niemcy już raz izolowali ludzi i teraz już tego nie mogą

robić. Zostawiłem to bez komentarza. To były inne czasy. A oni się tym teraz zaślaniają.

Mężczyźni odpalają kolejne papierosy i co chwila odruchowo sprawdzają wiadomości w telefonach. Mieszkający w okolicy Polacy mają swoje grupy na Facebooku i w komunikatorze WhatsApp. Z upływem czasu w dyskusjach internetowych narastają zniecierpliwienie i gniew.

Fala negatywnych komentarzy pojawia się po informacji władz powiatowych, że większość osób, u których wykryto wcześniej koronawirusa, po 14 dniach może zacząć opuszczać mieszkania, a osoby zdrowe muszą przez kolejne dwa tygodnie pozostać w kwarantannie. U „negatywnych” istnieje bowiem ryzyko, że nawet w ostatnim dniu kwarantanny mogli zarazić się od już zakażonych współlokatorów.





DAVID INDERLIED / DPA / PAP

Jeden z obłożonych kwarantanną budynków w miasteczku Verl, gdzie mieszkają pracownicy zakładów Tönnies pochodzący z Europy Środkowej. 20 czerwca 2020 r.

Marek i Tomasz pokazują na swoich telefonach komentarze innych ludzi siedzących w kwarantannie: „To już 16 dzień, prędzej zabije mnie depresja, a nie jakiś tam wirus” – pisze Ela. „To pokazuje, że nie mamy żadnych praw. Przecież oni mogą tak przedłużać te kwarantanny, ile chcą” – dodaje Sebastian. Powtarza się pogląd, że sytuacja jest „chora”, dosłownie i w przenośni.

Radź sobie sam

Przeglądanie postów na Facebooku przerywa przyjazd kilku minibusów, z których wysiadają żołnierze Bundeswehry. – O, znów będą nas testować – stwierdza Marek, a w jego tonie nie słychać zdziwienia. W ostatnich tygodniach był testowany kilkakrotnie. Zawsze wychodził mu wynik negatywny. A przynajmniej tak się domyśla, bo oficjalnie o wynikach są informowani tylko ci, u których wy-

kryto koronawirusa. Jak u Tomasza, jego współlokatora.

– Miałem gorączkę i kaszel. Półtora tygodnia z pokoju nie wychodziłem. On mi dupę uratował – Tomasz pokazuje na Marka. – Kupił mi syrop i środki przeciwbólowe.

Żeby nie narażać innych, Tomasz wstał nocami, aby przygotować sobie jedzenie, i kładł się do łóżka rano, żeby mieć jak najmniejszy kontakt z pozostałymi.

Marek i Tomasz mają jeszcze dwóch współlokatorów. Mieszkanie w czwórce to całkiem wygodny układ. Nie jest bowiem wyjątkiem, że w dwupokojowych mieszkaniach tłoczy się po sześć-siedem dorosłych osób. – Tutaj mamy dobre warunki, bo bloki są nowe – mówi Tomasz. – Rumuni, oni to mają o wiele gorzej – dodaje. – Idź tam – pokazuje na dom po drugiej stronie ulicy. – Tam pokój jest przegrodzony lodówkami.

Mieszkania należą do pośredników, którzy rekrutują pracowników w Polsce. Są porozrzucane po całym powiecie. – Pierwszy raz jak tu przyjechałem, w roku 2016, to mnie rzucili na mieszkanie w Rietbergu – mówi Tomasz. – Zapytałem, jak mamy się dostać do pracy, czym mam jechać do zakładu – mężczyzna tłumaczy, że z Rietberga do Tunisa (tak spolszczają nazwę firmy) jest kilkanaście kilometrów. – Usłyszałem, że w Rietbergu mieszkają też chłopaki z innych działów i mamy się jakoś dogadać.

Marek dzieli się podobnymi przeżyciami: – Jak byłem pierwszy raz, rzucili mnie do Verl, 15 km od zakładu. Też zapytałem, jak dojadę. Powiedzieli: „Radź sobie”.

Opowieść przerywa żołnierz. Specjalny kombinezon ochronny szczelnie okrywa jego sylwetkę. Każdemu z pracowników wsadza głęboko do gardła pałeczkę →

→ zakończoną wacikiem i pobiera wymaz. Jego koledzy wypełniają plik dokumentów. – Wyniki będą za kilka dni – mówi. Ani słowa o końcu kwarantanny.

Dziesięć ton w godzinę

Już po testach. Mężczyźni wracają do opowiadania swojej historii.

To, że w ogóle tutaj trafili, okazuje się dziełem przypadku. – Ogłoszenie znalazłem przez internet. Wpisałem w wyszukiwarkę „praca w Niemczech” i tak znalazłem polskiego pośrednika – tłumaczy Marek. – Ja tak samo – dodaje Tomasz. – Nie wiedziałem nawet, że jadę do Tunisa. Wiedziałem tylko, że do Niemiec, do pracy.

Przed klatką schodową wciąż pojawiają się nowe osoby, aby wyjść na dymka i pogadać z kolegami z innych mieszkań. Do rozmowy włącza się Piotr. W zakładzie pracuje dopiero od kilku miesięcy.

– Przyjechałem bussem do Rhedy w niedzielę, była godzina szesnasta. Stałem przed biurem dwie godziny, zanim pracownik agencji przyjechał i otworzył mi drzwi na korytarz. Spaliśmy tam na podłodze, żeby przeczekać do poniedziałku na rozpoczęcie formalności. Takie powitanie. Gdybym przyjechał własnym autem, od razu pojechałbym z powrotem. Zostałem, bo nie miałem czym wrócić – mówi Piotr.

Nikt z tej trójki nie pracował wcześniej w przemyśle mięsnym. – Jak mnie brygadzysta w pierwszy dzień zobaczył, zaczął się śmiać – mówi Marek, który jest niski, szczupły i nosi okulary. – Nie ma co ukrywać, tam jest zapierdół – stwierdza i opowiada o swoich obowiązkach: – Na przykład na drugiej zmianie przerabia się głównie bebechy. Trafiają do ciebie kisty – wszyscy pracownicy używają lekko spolszczonego słowa *Kiste* na określenie skrzynki. – I musisz tak przez dzień z 40 ton przegibać. Zdarzało się, że się przerzuciło 10 ton w godzinę. Byłem spocony jak dzik. A plastikowe fartuchy ochronne są całe we krwi i osoczu – opowiada.

– Znam ludzi z Polski lub z Rumunii, dużo większych niż ja, po których widać było, że na siłowni ćwiczyli. Ale nie wyrabiali się. Trzy godziny, dziękuję i do domu – śmieje się.

Tylko w głównym zakładzie Tönnies w Rheda-Wiedenbrück codziennie pod nóż trafia ok. 20 tys. świń.



ŁUKASZ GRAJEWSKI

To osiedle, zamieszkałe przez pracowników firmy Tönnies, zostało na czas kwarantanny odgrodzone płotem od reszty miasteczka. Verl, lipiec 2020 r.

Lepsze niż nic

– Jak skończyłem pierwszy dzień pracy i wyszedłem, to myślałem, że będę beczal – opowiada z kolei Daniel Białasik, który w Tönnies pracował kilka lat temu. – Robiłem codziennie po 12 godzin, np. od siedemnastej do piątej rano. – Od tego zimnego mięsa musiałem w nocy trzymać ręce spuszczone z łóżka, tak mi drętwiały – opowiada. Białasik mieszka z rodziną w Verl (tam, gdzie wcześniej mieszkał też Marek). To kilka bloków na uboczu miasta. Polacy, którzy się już stamtąd wynieśli, ostrzegają: – Verl to getto. Przed kwarantanną na dzień dobry dostałbyś tam w mordę.

Po tym, jak u mieszkających w Verl pracowników wykryto koronawirusa, burmistrz odgrodził płotem budowlanym cały obszar budynków zamieszkałych przez Polaków, Rumunów i Bułgarów. Żeby nikt nie uciekł, na miejscu postawiono policjantów i pracowników firmy ochroniarskiej. Dla zamkniętych rodzin z dziećmi utworzono za blokami tymczasowy plac zabaw.

Choć Białasik od dawna pracuje gdzie indziej, także trafił na kwarantannę, gdyż jego sąsiedzi to pracownicy Tönnies.

Mężczyzna wraca pamięcią do swojego dawnego zakładu. Wspomina, że ciężką pracę często dodatkowo komplikowały relacje między pracownikami. Brygadziści odpowiadający za poszczególne linie produkcyjne to też Polacy, zatrudnieni przez tych samych pośredników co zwykli pracownicy. – Oni byli z góry duszeni, że musi być wyrobiony tonaż, więc nas też dusili – stwierdza. – Brygadzysta, który w zakładzie był megaświnia, teraz jest moim bliskim kolegą. Po prostu nie

chciał wtedy dostać opierdolu, więc cisnął – tłumaczy.

Marek i pozostali lokatorzy z Rhedy potwierdzają, że dobry brygadzysta to podstawa, a zły może codziennie psuć krew.

Białasik zdradza, co czasem dzieje się w zakładzie z mięsem, które trafia później do sklepów: – Kiedyś dostaliśmy 180 ton polędwicy, którą robiliśmy dla jednej z niby ekskluzywnych marek. Można ją kupić w Lidlu. Mięso było zamrożone, termin ważności upływał za tydzień. Dostaliśmy nowe etykiety z przedłużoną datą ważności, ale one nie chciały się naklejać, więc trzeba było wszystko rozmrozić, nakleić i ponownie zamrozić. I to później poszło do sklepów.

– Najgorsze świnstwo idzie jako mięso na grilla – opowiada. – To pływa w marynacie, bo inaczej by śmierdziało – na jego twarzy rozbawienie miesza się z obrzydzeniem.

Daniel Białasik w końcu zmienił pracę, sprowadził też żonę i trójkę dzieci. Jednak większość mężczyzn najczęściej zostawia rodziny w Polsce; odwiedzają je co parę tygodni. Nie znają niemieckiego, więc o integracji z lokalną ludnością nie może być mowy. Zamiast tego często pojawia się alkohol, który gra rolę jedyne go wypełniacza czasu wolnego.

Sprawą warunków, w jakich żyją i pracują zatrudnieni w zakładach Tönnies, od dłuższego czasu zajmuje się polski konsul generalny w Kolonii Jakub Wawrzyniak. Mówi, że pracownicy, nawet jeśli są wykorzystywani, to nie szukają oferowanej pomocy: – Ludzie, którzy tutaj przyjeżdżają, boją się, ulegają presji pośredników i najprawdopodobniej tłumaczą sobie, że lepsza taka praca niż żadna.

Tonaż musi się zgadzać

Przy kolejnym spotkaniu Marek i Tomasz pokazują wyciągi, na których wyliczona jest końcowa kwota wypłacona za miesiąc pracy. – Wypłata jest z reguły na czas. Ale co najgorsze, nawet jak pracowałem 270 godzin w miesiącu, to na konto wpłynęło mi tylko 1600 euro – tłumaczy Marek.

– A teoretycznie możesz pracować maksymalnie 9,5 godziny dziennie – za uważa Tomasz. – Nadgodziny? Jakie nadgodziny? Pracowałem po 230–240 godzin i dostawałem 1200–1300 euro netto – oburza się. Zatrudnieni przez pośredników nie mają premii, które przysługują pracownikom zatrudnionym bezpośrednio przez firmę Tönnies. Nie mają także dodatkowych dni urlopowych za przepracowane soboty.

Pośrednik potrąca za ubranie robocze i mieszkanie. Jeśli ktoś był chory, odlicza mu się 10 euro za dzień, niby za „większe zużycie mieszkania zakładowego”. Za niestawienie się w pracy wlepią się karę 100 euro.

– Często jest tak, że nawet przepracowane godziny się nie zgadzają. W jednym miesiącu wyrobiłem 199 godzin, a pracowałem zawsze z drugim kolegą, mieliśmy tyle samo godzin. Ale na koniec u mnie brakowało 9 godzin – opowiada Marek. – Najczęściej różnice między tym, co wylicza firma, a tym, co sami sobie zapisujemy, to jakieś jedna-dwie godziny – dodaje. Pracownikom nie opłaca się więc wykłócać. Za to pośrednik, który zatrudnia ponad tysiąc osób, zarabia na takich sztuczkach.

Mężczyźni twierdzą, że na wszelkie prośby o poprawę warunków firma pozostaje głucha. – Jeden brygadzysta poszedł prosić o podwyżkę – opowiada Tomasz. – Usłyszał, że jak mu się nie podoba, to droga wolna.

Marek określa swoją sytuację jako legalny handel żywym towarem: – Jesteśmy murzynami sprzedawanymi za bezcen. I sami się na to godzimy. Na zakładzie liczy się tylko tonaż. Niemcy mają premię od ilości i tylko to ich obchodzi. A my musimy zapieprzać jak dzikie osły. Przykładowo u nas na jednym dziale powinno być 30 osób, a czasem 10 zapije, nie przyjdzie i tych 20 ludzi musi wyrobić tyle samo. Musisz. Robota musi być zrobiona. Linia musi iść. Tonaż musi się zgadzać.

– Nie dajesz rady? To na rower i na Hanower. Tak się u nas gada – śmieje się Tomasz. Hanower to pierwsze duże miasto,

– Nie dajesz rady? To na rower i na Hanower.

Tak się u nas gada
– śmieje się jeden
z pracowników.

Hanower to pierwsze duże
miasto, z którego można
wracać do Polski.

z którego można planować podróż powrotną do Polski.

Kindergeld i „kuroniówka”

Piotr Mazurek z biura doradczego Uczciwa Mobilność tłumaczy, że niemiecki system nie jest przygotowany do ochrony zagranicznych pracowników zatrudnianych przez pośredników. – Tradycyjnie pracownicy dużych zakładów niemal automatycznie należą do związków, które walczą o ich interesy. Zatrudnieni w Tönnies są pozbawieni tego lobby – mówi.

Mazurek wyjaśnia także, że niemieckie prawo daje ograniczone możliwości kontroli przedsiębiorców. A w końcu nawet ci najbardziej poszkodowani pracownicy rezygnują przed podjęciem najważniejszego kroku: pójściem do sądu. To wiąże się ze zbyt dużymi kosztami.

Daniel Białasik ma wciąż dużo polskich znajomych, którzy pracują w zakładach Tönnies. – Gdyby nie *Kindergeld* [świadczenie na dziecko – red.], to Polacy by tu nie robili – twierdzi. – Bo zarabiają 1300–1400 euro netto, z czego kilkaset euro wydajesz na wyjazd do rodziny w Polsce. Ale jak masz trójkę dzieci, to dostaniesz dodatkowe 600 euro zasiłku na dziecko.

Polacy pracujący w Niemczech dostają świadczenie na dzieci bez względu na to, czy one mieszkają w Niemczech, czy w Polsce. A pracownicy Tönnies, jak już powiedzieliśmy, zwykle zostawiają rodziny w Polsce. „Można otrzymać *Kindergeld* – podkreśla w ogłoszeniu o pracę jedna z firm pośredniczących.

Jest jeszcze jedna zaleta wynikająca z niemieckiego systemu pomocy społecznej, z której chętnie korzystają pracownicy Tönnies. – Pracuję rok, a później zjeżdżam na „kuroniówkę” – tłumaczy

Tomasz. Po takim okresie przepracowanym w Niemczech także obywatelom innych krajów Unii Europejskiej przysługuje niemiecki zasiłek dla bezrobotnych. Na trzy do sześciu miesięcy wyjeżdża więc do kraju duża grupa polskich pracowników. Razem z rodziną leczą zszarpane nerwy. Później wracają.

Wirus z importu

W połowie lipca lokalne władze decydują, że Tönnies będzie mógł stopniowo wznowić produkcję. Równoległe zapada decyzja, że wraz ze wznowieniem produkcji kończy się obowiązek kwarantanny dla wszystkich, którzy nie dostali innych indywidualnych decyzji. Po miesięcznym zamknięciu pracownicy znów ustawiają się przy liniach produkcyjnych.

Do tych z „indywidualną decyzją” należą Marek i Tomasz. W kwarantannie mają zostać dłużej, bo do 28 lipca. Informacje wydobywają sami, dzwoniąc do różnych instytucji. Oficjalnego potwierdzenia wciąż brak, choć testowani są co parę dni. – To wszystko jest chore. Zawsze się powtarzało, że w Niemczech jest *Ordnung*. W życiu już w to nie uwierzę – Marek jest o wiele bardziej zdenerwowany niż podczas pierwszej rozmowy. – Mówią, że to my, Polacy i Bułgarzy, przynieśliśmy wirusa, bośmy wyjechali na weekendy do domu – dodaje Tomasz.

To, że koronawirus został do niemieckiego zakładu przywleczony z zagranicy, sugerował już w połowie czerwca Armin Laschet, premier landu Nadrenia Północna-Westfalia (i zarazem jeden z kandydatów na przewodniczącego chadeckiej CDU).

W wewnętrznej korespondencji z dyplomata jednego z państw, z których pochodzą pracownicy Tönnies, szef powiatowego sztabu kryzysowego uspokaja, że wszystko odbywa się zgodnie z planem, a poza tym udało się „zapobiec rozprzestrzenianiu się infekcji wśród całej populacji”.

Chorzy zagraniczni pracownicy i uratowana przed infekcją „cała populacja”: taki podział denerwuje Marka. – Dla nich jesteśmy głównie wartymi Polaczkami. Teraz niby jesteśmy za wszystko winni – mówi z rozżaleniem. – A przecież to my jesteśmy ofiarami. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Artykuł powstał dzięki stypendium dziennikarskiemu, które autor otrzymał od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



MARKO DJURICA / REUTERS / FORUM

Demonstracja antyrządowa przed budynkiem serbskiego parlamentu w Belgradzie. 10 lipca 2020 r.

Gniew na ulicach Belgradu

MARTA SZPALA

W Serbii historia zatacza koło: znów mamy gwałtowne protesty, jednego lidera, media pod kontrolą i zamknięte granice. Ostatnim razem doszło do rewolucji. Jak będzie teraz?

NA POZĄTKU BYŁO TROCHĘ ŚMIECHU: gdy pandemia dotarła do Europy, władze serbskie bagatelizowały problem, określając koronawirusa najśmieszniejszym na świecie. Zachęcano nawet obywateli, aby skorzystali z okazji i pojechali do Mediolanu na korzystne zakupy – trwała zimowa wyprzedaż. Padły też komentarze o wyjątkowych predyspozycjach genetycznych Serbów, które miały ochronić społeczeństwo.

Jednak już w połowie marca śmiech zamarł. Rząd w Belgradzie całkowicie zmienił narrację: wprowadzono stan wyjątkowy i radykalne ograniczenia. W efek-

cie z pierwszą fazą epidemii władze poradziły sobie nieźle. Postanowiono więc zdyskontować sukces i w przedostatnią niedzielę czerwca przeprowadzić odłożone wybory parlamentarne (pierwotnie miały być w kwietniu).

Ale choć głosowanie przyniosło niekwestionowane zwycięstwo i konstytucyjną większość w parlamencie ugrupowaniu prezydenta Vučića, ta decyzja może okazać się największym błędem w jego karierze.

Spektakl jednego aktora

50-letni dziś Aleksandar Vučić rządzi Serbią od ośmiu lat. Najpierw jako pierw-

szy wicepremier (wtedy jeszcze musiał oddać koalicjantom stanowisko szefa rządu), a później jako premier i wreszcie od 2017 r. prezydent. Wprawdzie w Serbii kompetencje głowy państwa są ograniczone, ale funkcja ta potwierdza kluczową rolę Vučića, który jest wciąż liderem Serbskiej Partii Postępowej (SNS).

Te osiem lat to czas konsolidacji personalnej władzy Vučića, który konsekwentnie eliminował wszystkie osoby mogące zagrozić jego pozycji. O pierwszym liderze SNS, Tomislavie Nikolicu, chyba nikt już nie pamięta. Na najważniejsze stanowiska w państwie prezydent wyznacza osoby całkowicie od niego zależne: młode, niedoświadczone i bez samodzielnej pozycji politycznej. Tak było z desygnowaniem w 2017 r. na szefową rządu 44-letniej dziś Any Brnabić – wtedy nieznannej szerzej menadżerki.

Prezydentcy nominaci to często ludzie z szemraną przeszłością. Minister finansów nie potrafił wytłumaczyć się z posiadania 23 luksusowych mieszkań na bułgarskim wybrzeżu. Szef resortu obrony twierdził, że pieniądze na nieruchomości w Belgradzie dostał od cici z Kanady.

W 2019 r. ujawniono, że ojciec ministra spraw wewnętrznych jest zamieszany w lukratywny handel bronią produkowaną w państwowych firmach, a jeden z biznesmenów wspierających SNS ma pod Belgradem największą w Europie plantację konopi indyjskich. Vučićowi te zarzuty nigdy nie przeszkadzały – zapewne wychodzi z założenia, że obawa przed wymiarem sprawiedliwości tylko wzmacnia lojalność wobec lidera.

Kontrola nad przekazem

Vučić zaczynał karierę w latach 90. XX w., jeszcze za autorytarnego reżimu prezydenta Slobodana Miloševicia – początkowo jako minister ds. informacji. Dzięki ówczesnym doświadczeniom rozumie, jak ważna jest kontrola mediów. Choć więc nie ma dziś żadnych specjalnych ograniczeń w tej sferze, to wszystkie media należą albo do państwa, albo do zależnych od prezydenta oligarchów. Gwarantuje to pełną kontrolę nad przekazem.

Według raportu przygotowanego przez serbską organizację CRTA na początku marca aż 91 proc. informacji o partiach politycznych, które podawano w pięciu ogólnokrajowych stacjach telewizyjnych, dotyczyło aktywności ugrupowań rządzących – i żadna nie miała wydźwięku negatywnego. Media informują głównie o działaniach prezydenta – to on podejmuje najważniejsze decyzje, strofuje panią premier i ministrów, a także społeczeństwo, gdy obywatela nie zachowują się zgodnie z oczekiwaniami. W internecie armia trolli i botów wzmacnia wizerunek troskliwego ojca narodu.

Opozycja, nieobecna w mediach, nie jest zbyt atrakcyjną alternatywą – reprezentuje środowisko, które sprawowało władzę w czasach światowego kryzysu finansowego z 2008 r. – dla Serbii wyjątkowo dotkliwego. Sytuacja nie sprzyja wyłanianiu się nowych opcji politycznych, zresztą rządzący starają się temu przeciwdziałać. Istnieją wprawdzie grupy lokalnych aktywistów, jak np. „Ne davimo Beograd” (Nie oddamy Belgradu), ale ich rozpoznawalność ogranicza się do małych społeczności.

Partia to ja

Filarem władzy Vučića jest też partia. W prawie siedmiomilionowej Serbii rządząca SNS ma niemal 700 tys. członków. Dawno przestała być tradycyjnym ugrupowaniem politycznym, a stała się siecią

klientystyczną, która przejęła aparat państwowy. Było to o tyle proste, że instytucje demokratyczne nie były w Serbii mocno ugruntowane – proces ich budowy zaczął się dopiero po obaleniu Miloševicia w wyniku tzw. kolorowej rewolucji w 2000 r. i był wyjątkowo burzliwy. Pierwszy demokratyczny premier Zoran Đinđić zginął w 2003 r. w zamachu, gdy próbował ograniczyć wpływy struktur siłowych poprzedniego reżimu.

Obecnie tylko członkostwo w partii gwarantuje zatrudnienie w sektorze publicznym i dostęp do lukratywnych kontraktów rządowych. Jak podkreślają moi serbscy rozmówcy, aby utrzymać pracę, każdy musi zapewnić odpowiednią liczbę głosów partii rządzącej. O lojalność i dyscyplinę dba brat prezydenta Andrej, który oficjalnie nie pełni żadnej funkcji publicznej.

Nemanja Todorović Štiplija z portalu European Western Balkans tłumaczy mi, że system znajduje dobre odbicie w rozkładzie preferencji wyborczych w poszczególnych regionach: tam, gdzie nie ma szans na pracę w sektorze prywatnym, poparcie dla partii rządzącej i frekwencja są zdecydowanie wyższe. Przekłada się to na brak zaufania do instytucji państwa, zasad demokratycznych czy partii politycznych – wszystkie uznawane są za równie skorumpowane.

W Belgradzie można usłyszeć opinię, że główną motywacją dla angażowania się w politykę jest chęć poprawy własnej sytuacji ekonomicznej. Ci, którzy nie chcą wstąpić do SNS, emigrują. Znamy analityk polityczny przekonuje, że nieprawdziwa jest teza, jakoby Serbowie nie chcieli znaleźć się w Unii – oni po prostu stracili nadzieję, że ich kraj to członkostwo kiedykolwiek uzyska, i dlatego sami postanowili masowo emigrować do krajów unijnych.

Faktycznie, w ostatnich latach emigracja znacznie się nasiliła. To zresztą ułatwia Vučićowi rządy: najbardziej aktywni i niezadowoleni po prostu wyjeżdżają.

Okazało się zresztą, że niepotrzebna jest ani partia, ani państwo. Jak zauważa Tara Tepavac z belgradzkiej organizacji CRTA – ostatnią kampanię wyborczą Vučić prowadził właściwie sam, a jego lista nazywała się po prostu „Aleksandar Vučić – dla naszych dzieci”. W podobnym stylu prezydent rządzi, większość decyzji podejmując jednoosobowo.

Jelica Minić – przewodnicząca Ruchu Europejskiego w Serbii – zwraca uwagę, że także przygotowania do wznowienia dialogu z Kosowem dobrze oddają sposób sprawowania władzy. O ile przed spotkaniem w Paryżu, zaplanowanym na 10 lipca, w Prisztinie utworzono zespół negocjacyjny, a premier Kosowa przedstawił publicznie główne postulaty kosowskiej strony, o tyle Vučić udał się do Paryża sam i nikt nie wiedział, jakie są jego zamierzenia.

Między Berlinem a Pekinem

Oficjalnie prezydent jest zwolennikiem członkostwa Serbii w Unii. Wygrywając wybory w 2016 r. obiecał nawet, że w ciągu następnej kadencji zakończy negocjacje akcesyjne. Jednak na razie się na to nie zanos.

Vučić rozbudował natomiast sieć osobistych kontaktów z przywódcami unijnymi o podobnym profilu ideowym, którzy bronią go na europejskich salonach i lobbują za kontynuowaniem negocjacji. Do największych zwolenników Vučića należy premier Węgier Viktor Orbán.

Jak mówi mi Igor Bandović – dyrektor Belgradzkiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa – pogrążona w kryzysach Unia przywiązywała w ostatnich latach niewielką wagę do Bałkanów i unikała krytyki autorytarnych zapędów Vučića, co utwierdzało go w poczuciu bezkarności. Pobłażliwość wynikała też z priorytetów państw unijnych – zwłaszcza Niemiec, które uważały (słusznie) rozwiązanie kwestii Kosowa za najważniejsze dla stabilności regionu. Berlin liczył, że w zamian za wsparcie ze strony Unii Vučić doprowadzi do uznania przez Belgrad niepodległości tej byłej serbskiej prowincji i do normalizacji w relacjach między oboma państwami.

Tara Tepavac twierdzi nawet, że część serbskiego społeczeństwa sądzi, iż Unia sprzedała demokrację w Serbii za Kosowo. Teraz nie ma ani jednego, ani drugiego, a zaufanie do instytucji unijnych osiąga historyczne minimum.

Vučić wolał bowiem wykorzystać dany mu czas do pogłębienia współpracy z Turcją, Chinami oraz USA pod rządami Donalda Trumpa. Znajdował tam większe zrozumienie dla swojego stylu sprawowania władzy niż w Brukseli czy Berlinie. W efekcie Chiny stały się w ostatnich latach największym inwestorem zagranicznym w Serbii, przejmując kluczowe →

→ firmy w sektorze ciężkim i dostarczając kredytów na projekty infrastrukturalne. Manifestacją dobrych relacji było osobiste podziękowanie Vučića dla przywódców chińskich w czasie epidemii, gdy większość państw obwiniała Pekin o doprowadzenie do kryzysu zdrowotnego na globalną skalę.

Aktywność międzynarodowa prezydenta podobała się zresztą w kraju: Serbia nie musiała już podporządkowywać się „dyktatowi” ze strony Unii, żądającej rozliczenia wojennych eskapad reżimu Miloševića w Bośni i Hercegowinie czy w Kosowie oraz oddania pod sąd ludzi, których część społeczeństwa uznaje za bohaterów. Z Serbią wreszcie się liczono.

Aż przyszła pandemia

Choć wprowadzone w marcu restrykcje były bardzo uciążliwe, to Serbowie – świadomi, w jak trudnej sytuacji jest permanentnie niedofinansowana służba zdrowia – ich przestrzegali. Ogłoszenie przez rząd zwycięstwa w walce z epidemią przyjęto z radością, wszyscy byli już zmęczeni. Świątowano w iście bałkańskim stylu, a rząd pozwolił nawet na zorganizowanie meczu między stołecznymi klubami przy pełnych trybunach.

Poluzowanie restrykcji miało zachęcić obywateli do uczestnictwa w wyborach, a stawka była wysoka. Większość partii opozycyjnych zapowiedziała bowiem ich bojkot. W obecnych warunkach szanse na wygraną miały minimalne, więc niska frekwencja miała być manifestacją niezadowolenia obywateli i odebraniem władzy społecznej legitymizacji. Liczono, że takiego sygnału nie będzie mogła zignorować Bruksela, dotąd ograniczająca się do rutynowych wezwań do przestrzegania zasad praworządności.

Dzień po wyborach liczba osób zakażonych znacząco wzrosła. Jednocześnie portal Balkaninsight ujawnił, że liczba zmarłych w wyniku zakażenia COVID-19 jest w Serbii prawie trzy razy wyższa, niż podaje rząd. Dramatyczne informacje zaczęły dochodzić też z Nowego Pazaru, centrum mniejszości bośniackiej: raportowano o licznych zgonach i brakach sprzętu. Choć rząd kwestionował te informacje – twierdząc, że wszystko jest pod kontrolą – to szykował się do ponownego wprowadzenia godziny policyjnej.

To przelało czarę goryczy. Niepewni jutra, zaniepokojeni sytuacją ekonomiczną

Wydarzeniom w Serbii z zapartym tchem przyglądają się państwa ościennie.

Ten największy kraj Bałkanów nadaje ton procesom w całym regionie i ma kluczowe znaczenie dla jego stabilności.

i obawiający się o własne zdrowie Serbowie – jak ujmuje to Nemanja Todorović – zrozumieli, iż rządzący położyli na szali ich życie, byle utrzymać się u władzy. Dodatkowo Vučić w swoim stylu obwinił społeczeństwo, że nie przestrzegało zaleceń i doprowadziło do ponownego wybuchu epidemii. Prezydent jakby zapominał, że przez ostatnie tygodnie telewizja pokazywała tłumy na jego wiecach wyborczych.

Tepravac uważa, że to właśnie w tym momencie ludzie poczuili, jak potrzebne jest sprawne państwo, które dba o obywateli – to państwo, które zostało im zabrane przez partię rządzącą.

Poczułi – i w pierwszej połowie lipca zaczęli masowo wychodzić na ulice.

Nie wiadomo, dlaczego do protestujących dołączyli działacze skrajnie prawicowych ruchów i kibice – dotąd współpracowali oni z ludźmi prezydenta. To właśnie oni prowokowali teraz starcia z policją, dając jej pretekst do brutalnego pacyfikowania protestów. W efekcie gwałtowny przebieg demonstracji odstraszył większość obywateli od uczestnictwa w kolejnych protestach. Chwilowo sytuacja wydaje się opanowana. Ale gniew pozostał.

Czas regulowania rachunków

W Belgradzie mówią, że władza absolutna oznacza absolutną odpowiedzialność. Śmieją się złośliwie, że Vučić chyba nie spodziewał się takiej skuteczności w eliminowaniu przeciwników politycznych, którzy zawsze służyli mu jako wymówka, by nie podejmować zdecydowanych działań w kwestii integracji z Unią czy Kosowa. Mógł twierdzić, że chce działać, ale to opozycja mu przeszkadza.

Rzecz znamienna: tuż przed ostatnimi wyborami obniżono próg wyborczy do

3 proc., co miało ułatwić opozycji wejście do parlamentu i przy okazji ją dodatkowo podzielić. Nie udało się: obok SNS do parlamentu weszli jedynie dotychczasowi koalicjanci i sojusznicy Vučića, jak Socjalistyczna Partia Serbii. W Belgradzie trwają teraz gorączkowe poszukiwania kandydatów do odgrywania roli opozycji, ale chętnych brak.

Tymczasem Serbia stoi przed szeregiem wyzwań. Unia ma dość mamienia obietnicami rozwiązania kwestii Kosowa i żąda postępów w negocjacjach, a także jednoznacznego opowiedzenia się za integracją i reformami. Vučić, który przez lata wykorzystywał nacjonalistyczną retorykę od odwracania uwagi od problemów dnia codziennego, może mieć trudności z przekonaniem społeczeństwa do ustępstw wobec Serbii. Także konflikt między USA a Chinami stawia Belgrad w kłopotliwej sytuacji.

Spółeczeństwo oczekuje od prezydenta działań, które zapewnią bezpieczeństwo zdrowotne i socjalne. Władze nie są jednak w stanie spełnić tych oczekiwań. Co więcej, nie mają sobie nic do zarzucenia, a to pogłębia frustrację obywateli.

Igor Bandović z Centrum Polityki Bezpieczeństwa zaznacza, że największym problemem jest to, iż ten ogromny gniew społeczny nie może zostać wyartykułowany w bezpieczny sposób. To może skłaniać do podejmowania działań radykalnych i zwiększa niestabilność w kraju.

Jesień będzie gorąca?

Serbowie przywykli do kryzysów. Dominuje apatia – mało kto wierzy jeszcze w możliwość zmiany. Społeczeństwo jest zmęczone trwającą od trzech dekad transformacją, która nie przynosi widocznej poprawy życia zwykłych ludzi. Jednak obecny kryzys sanitarny jest inny – niosąc zagrożenie dla życia, dotyka każdego.

Tymczasem rozwojowi wydarzeń w Belgradzie z zapartym tchem przyglądają się państwa ościennie. Serbia – największe państwo na Bałkanach – nadaje ton procesom w całym regionie i ma kluczowe znaczenie dla jego stabilności.

Co będzie dalej? Zależy to w dużym stopniu od polityki Unii. Jednak Unia, mierząca się ze skutkami pandemii, może nie mieć czasu, by angażować się na Bałkanach. Jesień może być więc tutaj wyjątkowo gorąca, a to wroży niczego dobrego.

© MARTA SZPALA



Mieszkańcy Hongkongu znajdują nowe sposoby na wyrażenie sprzeciwu: tu „ściana Lennona” w restauracji, której właściciel sympatyzuje z ruchem demokratycznym. Zapelniają ją kolorowe karteczki bez żadnych napisów. 3 lipca 2020 r.

Paragraf na Hongkong

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Pekin przegrał walkę o serca i umysły młodych Hongkończyków, postanowił więc działać drastycznie: upodobnić tę enklawę wolności do innych chińskich miast.

OD PIERWSZEGO LIPCA PROTESTOWANIE na ulicy w Hongkongu nawet z czystą kartką papieru grozi aresztowaniem. Narusza to bowiem nowe prawo o bezpieczeństwie narodowym narzucone przez Chiny.

Zarówno władze miasta, jak i obóz demokratyczny uznały, wyjątkowo zgodnie, że wejście w życie nowej ustawy to punkt zwrotny w historii tej dawnej brytyjskiej posiadłości, w 1997 r. przekazanej ChRL. Szefowa miejscowej administracji Carrie Lam mówi, że na ulicach wreszcie zapanuje spokój, a „wrogowie ludu” zostaną ukarani. Dla opozycji zaś Hongkong traci właśnie swój autonomiczny status w obrębie chińskiego państwa.

Wybór terminu ogłoszenia nowej ustawy nie był przypadkowy. Od 23 lat każdego pierwszego lipca w Hongkongu odbywa się swoisty rytuał. Władze miasta przy lampce szampana celebrują kolejną rocznicę „powrotu do macierzy” – podczas gdy wielu zwykłych obywateli demonstruje, mniej lub bardziej pokojowo, w obronie swobód obywatelskich. W tym roku policja zatrzymała 370 osób, w tym dziesięć od razu z mocy nowego prawa: głównie za posiadanie flag i dystrybucję ulotek wzywających do wolności lub niepodległości Hongkongu.

Prawo o bezpieczeństwie narodowym w swoich 66 artykułach penalizuje: secesję, próbę obalenia władzy, terroryzm

i konspirowanie z obcymi siłami. Najwyższą przewidzianą karą jest dożywocie. Jeśli eksperci mówią dziś o „atomowej opcji wobec Hongkongu” czy „bezkrwawym Tiananmen”, to dlatego, że ogólnikowa treść wielu paragrafów pozwala na dowolne ich stosowanie wobec politycznych przeciwników – oraz dlatego, że podporządkowują one *de facto* system prawny miasta systemowi prawnemu Chin.

Naruszenia nowej ustawy mają być rozpatrywane w Hongkongu, ale „skomplikowane” przypadki będą kierowane do sądów na terenie Chin Ludowych i mają podlegać tamtejszym obyczajom prawnym. Trudno o bardziej jaskrawy przykład złamania zasady „jeden kraj, dwa systemy”, która – według umowy między Pekinem i Londynem, regulującej przekazanie dawnej kolonii – miała obowiązywać do roku 2047.

Koniec pozorów

Wdrażanie nowych przepisów rozpoczęto błyskawicznie. Utworzony właśnie Komitet Ochrony Bezpieczeństwa Narodowego ma czuwać nad prawidłowym funkcjonowaniem ustawy. Obok szefa administracji, ↗

→ komendanta policji czy sekretarza sprawiedliwości ze strony Hongkongu, przewidziano w nim również miejsce „doradczę” dla przedstawiciela chińskich władz. Możemy tylko spekulować, czy głos będzie w Komitecie decydujący. Już wspólnie zdjęcie nowego gremium – gdzie tuż obok Carrie Lam siedzi delegat Pekinu – stanowi precedens. Dotąd przynajmniej starano się utrzymywać pozory autonomii władz lokalnych Hongkongu.

Komitet będzie się zajmować zapewne też doбором puli sędziów przydzielanych do spraw o bezpieczeństwie narodowym – choć oficjalnie jej skład wskazuje szefowa administracji. Kadencja sędziowska ma być przedłużana co 12 miesięcy. Sugeruje to otwarcie furtki dla szybkiego usunięcia sędziego, którego praca nie spełni oczekiwań.

Powołano też Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, instytucję całkowicie pod kontrolą Pekinu. Oznacza to formalne wprowadzenie chińskiej agentury na terytorium Hongkongu, z zadaniem m.in. monitorowania działalności obcych rządów, firm i mediów. Biuro ma współpracować z lokalną policją, która odtąd zyskuje prawo do przeszukiwania mieszkań i nagrywania rozmów telefonicznych bez nakazu sądowego.

Według Pekinu nowa ustawa to miecz Damoklesa na największych radykałów. W istocie jej celem jest wzbudzenie powszechnego strachu – i to nie tylko w Hongkongu. Artykuł 38 przewiduje karę za jej złamanie także dla obywateli obcych państw, którzy nigdy nawet nie byli w Hongkongu. Sekretarz Stanu USA Mike Pompeo mówi z sarkazmem, że ustawa bierze sobie na cel „całą planetę”. A specjalista od prawa chińskiego Donald Clark radzi: „Jeśli kiedykolwiek powiedziałeś coś, co mogło być obraźliwe dla Chin albo Hongkongu, trzymaj się od Hongkongu z daleka”. Australia i Kanada już zawiesiły umowę ekstradycyjną z Hongkongiem, USA mają wkrótce zrobić to samo.

Wirusy do usunięcia

Nie znamy kulis powstawania nowej ustawy. Nawet lokalne władze dowiedziały się o jej ostatecznej treści dopiero 1 lipca. Jednak zmianę nastawienia Pekinu wobec Hongkongu dało się zauważyć już na początku tego roku. Wymieniono wtedy dwóch najważniejszych urzędników centrali, odpowiedzialnych

Dokręcając śrubę
Hongkongowi, Pekin
musi się liczyć
z niebezpieczeństwem
jego zniszczenia. W tym
na pewno zniszczenia statusu
miasta jako
**globalnego centrum
finansów.**

za sprawy miasta. Szefem pekińskiego Biura ds. Hongkongu i Macao został Xia Baolong, a placówkę łącznikową w Hongkongu objął Luo Huining.

Obaj są zaufanymi ludźmi prezydenta Xi Jinpinga i obaj mają twardą rękę. Ten pierwszy nadzorował kiedyś akcję strącania krzyży z kościołów w mieście Wenzhou. Ten drugi, z doświadczeniem nabytym w Tybecie, zachowuje się wobec Hongkongu jak namiestnik. Jego biuro pozwala sobie na krytykę opozycyjnych polityków, puszczając mimo uszu zarzuty, że Chiny łamią tym samym artykuł 22 Prawa Podstawowego (tzw. mała konstytucja), gdzie mowa jest o nieingerencji władz centralnych ChRL w politykę miasta.

W kwietniu aresztowano 15 prominentnych opozycjonistów, bynajmniej nie radykałów. W tym 81-letniego Martina Lee, w Hongkongu zwanego „ojcem demokracji”. Usłyszeli zarzuty organizowania nielegalnych demonstracji i udziału w nich. Od maja, gdy pierwszy raz pojawiła się informacja o nowej ustawie, Pekin zaostrzył też retorykę, np. określając protestujących w Hongkongu mianem „wirusów”, które należy usunąć ze zdrowej tkanki miasta.

Jest oczywiste, że ustawa to odpowiedź Pekinu na demonstracje, często gwałtowne, które targają Hongkongiem w 2019 r. Ale na jej kształt mogła wpłynąć też postawa Hongkończyków w ostatnich miesiącach, gdy wskutek epidemii ulice stały się spokojniejsze. Sondaże wykazywały bowiem rosnącą liczbę zwolenników demokracji. Mieszkańcy zaczęli też tworzyć masowo organizacje zwią-

kowe, niemal we wszystkich możliwych grupach zawodowych. Liczba aplikacji o rejestrację nowego związku skoczyła w ciągu pół roku ponad stukrotnie!

W mieście coraz sprawniej funkcjonował też tzw. żółty krąg gospodarczy: to sieć firm, w tym sklepów i restauracji, deklarujących otwarcie sympatie demokratyczne. Ich łączną wartość szacowano w maju na 13 mld dolarów. Opozycja – po świetnym wyniku w wyborach do rad dzielnicowych zeszłej jesieni – szykowała się też energicznie do dużo ważniejszych, choć tylko częściowo wolnych wyborów parlamentarnych zaplanowanych na wrzesień.

Jednak dla Chin najbardziej alarmująca mogła być ewolucja haseł demonstrantów. Już wcześniej Pekin zdał sobie sprawę, że przegrał walkę o serca i umysły młodych Hongkończyków, z których nie udało się stworzyć chińskich patriotów. Ale czym innym są wezwania o wprowadzenie wyborów powszechnych, a czym innym coraz częściej pojawiające się hasła niepodległości dla Hongkongu. Jeśli dodać do tego narastający konflikt z USA i szerzej z Zachodem – uważanym przez Chiny za podżegacza w Hongkongu – to centrala uznała, że działać trzeba szybko i drastycznie.

Z pochylonymi głowami

Carrie Lam twierdzi, że większość mieszkańców miasta tak naprawdę pragnie spokoju i z aprobatą przyjmie nową ustawę. Nie ma na to dowodów. A najazd policji 10 lipca na znany ośrodek badania opinii PORI (kojarzony z obozem demokratycznym) i skonfiskowanie tam komputerów można uznać za próbę zastraszenia – sygnał, że lepiej nie publikować niekorzystnych dla władz danych o nastrojach społecznych.

Inaczej rzecz się ma z szeroko pojętą elitą Hongkongu: miliarderami, rektorami większości uniwersytetów, artystami i celebrytami. Wszyscy oni pospieszyli z deklaracjami poparcia dla nowej ustawy. Pytanie tylko, czy zrobili to z przekonania, czy z obawy o utratę pracy lub pozycji, w tym utratę dostępu do wielkiego chińskiego rynku. Dotyczy to choćby biznesmenów, aktorów i piosenkarzy. Fakt, że większość z nich (podobnie jak rodziny prominentnych polityków) ma w zanadrzu obywatelstwo któregoś z zachodnich krajów, sugeruje, że niekoniecznie kierują się oni miłością do Chin Ludowych.

Chińskie firmy w Hongkongu wprost zaleciły swoim pracownikom podpisywanie list poparcia dla ustawy o bezpieczeństwie. W przypadku obcego kapitału perswazja przybierała inny charakter. Największy brytyjski bank HSBC połówę zysków generuje w Hongkongu. Jego kierownictwo z początku milczało w sprawie nowego prawa. Chun Ying Leung, były szef lokalnej administracji, zamieścił więc na Facebooku komentarz: „Ani Chiny, ani Hongkong nic nie zawdzięczają HSBC. Jego biznes w Chinach można zastąpić w ciągu jednej nocy”. W Pekinie zaś ukazał się elaborat znanego profesora prawa Jiang Shigonga: nawiązując jeszcze do XIX-wiecznych wojen opiumowych i kolonizacji brytyjskiej, wezwał on bank do okazania Chinom lojalności.

I tak się stało. Szef HSBC w Hongkongu pochylił głowę i poparł nową ustawę. Spotkało się to na Wyspach Brytyjskich z krytyką, ale wyniki finansowe banku z działalności w Chinach pozostaną zapewne niezagrażone.

Konflikt nieusuwalny

Politycy chińscy mówią dziś, że Hongkong nie wywiązał się nigdy z obowiązku wprowadzenia własnego prawa o bezpieczeństwie narodowym. Wskazują też, że regulacje wielu krajów zachodnich są podobne do nowej ustawy albo nawet, jak w przypadku zagrożenia terroryzmem, idące dalej.

To prawda, tylko nie na tym polega istota problemu. Chodzi o nieprzystawalność prawodawstwa Hongkongu i Chin. Dziś system oparty na anglosaskim prawie zwyczajowym, z niezawisłym sądownictwem i domniemaniem niewinności, zostaje podporządkowany systemowi Chin Ludowych, którego filozofię najjaśniej zdefiniował sam Xi Jinping: „Socjalistyczne rządy prawa muszą podlegać przywództwu partii. Chinom nie wolno naśladować zachodniej niezależności sądowniczej”. Bo w Chinach Ludowych faktycznie nie ma trójpodziału władzy. Celem nadrzędnym tamtejszych sądów, gdzie 99 proc. spraw kończy się wyrokiem skazującym, jest umacnianie interesu państwa i patriotyzmu, które definiuje partia komunistyczna.

Tworzy to nieusuwalny konflikt między oboma systemami prawnymi. Tracąc swoje niezależne sądownictwo, Hongkong przestanie różnić się od innych wielkich chińskich miast. Jednak tutejsi

sędziowie, utrzymujący kontakty ze swoimi chińskimi kolegami, mówią, że druga strona nie potrafi tego zrozumieć: gdy dochodzi do antyrządowej demonstracji, patriotycznym obowiązkiem chińskiego sędziego jest skazanie jej uczestników.

Chiński tabloid „Global Times” wytuszcza to klarownie: „Rządy prawa mogą być ostoją Hongkongu, ale zasadą nadrzędną jest kara dla uczestników zamieszek. Sędziowie i prawnicy, którzy ich uniewinniają, zasługują na pogardę równą przestępcom”.

Fioletowy baner

Za wcześniej przesądzać, jak nowe prawo odmieni Hongkong w dłuższym okresie. Trudno ukryć jednak, że jego drastyczność zaskoczyła Hongkończyków i w pierwszym odruchu zasiała w nich niepokój. Zaczęli masowo kasować internetowe komentarze z krytyką władz Pekinu i Hongkongu. Znani działacze demokratyczni, jak Joshua Wong czy Nathan Law, opuścili swoją partię Demosisto, która wkrótce się rozwiązała, zapewne w obawie przed oskarżeniami o działalność wywrotową.

Ludzie wychodzący dotąd bez obaw na demonstracje zaczęli stąpać ostrożnie, testując, jaki okrzyk czy gest może okazać się wykroczeniem. 1 lipca młoda kobieta stanęła prowokacyjnie na ulicy z białą kartką papieru. Kilka dni później osiem osób, które zrobiły to samo w domu towarowym, zostało aresztowanych. Całe miasto zdołało dziś plakaty informujące o wejściu w życie nowego prawa. Nawet przy niewielkich zgromadzeniach demonstrantów policja rozwija fioletowy baner z ostrzeżeniem, że narażają się na złamanie ustawy.

Cheung Chun-kit – właściciel znanej sieci kawiarni, będący dotąd filarem „żółtej sieci” – poinformował na Facebooku o wycofaniu się z działalności politycznej. Księgarnie i biblioteki przystąpiły do rewanżu księgozbiorów, wycofując pozycje znanych dysydentów. Zapowiedziano też zmiany w edukacji, których celem jest wychowanie młodego pokolenia patriotów, m.in. przez eliminację liberalnych „toksyn” z programu nauczania. Tak jak kiedyś w Tybecie, celem Pekinu jest zapewne – po wzbudzeniu strachu – rozbić dysydentów: na większość, która pogodzi się z nową rzeczywistością, i na niepokorną mniejszość „terrorystów”, zasługującą na zdławienie.

Jednak Pekin może się przeliczyć w swoich kalkulacjach. Wielka Brytania zapowiedziała już gotowość przyznania obywatelstwa blisko trzem milionom Hongkończyków urodzonych przed 1997 r. Również Tajwan i Kanada mają otworzyć granice dla emigrantów z Hongkongu. Donald Trump wprowadził zaś 14 lipca sankcje dla chińskich oficerów odpowiedzialnych za dławienie swobod obywatelskich w mieście.

Dokręcając śrubę Hongkongowi, Pekin musi się więc liczyć z niebezpieczeństwem – choćby przez *exodus* ludności – jego zniszczenia. W tym na pewno zniszczenia statusu miasta jako globalnego centrum finansów. Większość zachodnich korporacji, mimo podpisania deklaracji lojalności, przyjęła postawę wyciekającą. A takie firmy jak Facebook czy Google wstrzymały przekazywanie danych osobowych swoich użytkowników miejscowej policji.

Ściany Lennona

Niespodziewanie dodatkowego znaczenia nabierają zatem wrześniowe wybory do lokalnego parlamentu, które stają się formą plebiscytu o nowej ustawie. W pełni demokratycznie można tu wybrać jedynie połowę z 70 deputowanych, ale dobry wynik opozycji będzie dowodem, że nie dała się zastraszyć. Co więcej, uzyska narzędzia do aktywnej polityki. Np. dwukrotnie odrzucenie projektu budżetu wymusza rezygnację szefa administracji. Carrie Lam zapowiedziała już, że taka obstrukcja naruszy nową ustawę.

Do tego czasu okazywanie sprzeciwu będzie wymagać kreatywności. „Ściany Lennona” – forma protestu zaczerpnięta z komunistycznej Czechosłowacji, polegająca na oblepianiu przejść podziemnych i dworców karteczkami z satyrą polityczną – utrzymały się także po pierwszym lipcu. Tylko że teraz, bez żadnych napisów, tworzą jedynie kolorową mozaikę. Na murach pojawiły się też świeże hasła: „Powstańcie, którzy nie chcecie być niewolnikami” albo „Rewolucja nie jest przestępstwem, rebelia ma sens”.

Oba brzmią buntowniczo. Tyle że jedno to pierwszy werset chińskiego hymnu, a drugie jest cytatem z mądrości Mao, twórcy Chin Ludowych. Czy i na to znajdzie się dziś w Hongkongu paragraf?

© PIOTR BERNARDYN

Tygrys. Sprzedam, zamienię

MARCIN ŻYŁA

Stawką jest nie tylko ochrona przyrody. Skuteczna walka z przemytem gatunków chronionych może ograniczyć przeszłe wojny i epidemie.

NIDERLANDY. W SZEŚCIU MIEJSCACH kraju policja konfiskuje duże ilości egzotycznego drewna. Pochodzi z Mjanmy (dawniej Birma), a trafiło tu przez Czechy. Prywatne stocznie wykorzystują ją do wykańczania wnętrz luksusowych jachtów.

Singapur. Służby przechwytyją transport prawie dziewięciu ton kości słoniowej o wartości rynkowej 11,7 mln euro, największy w historii tego państwa. Eksperti szacują, że kość pochodzi z ok. 300 słoni afrykańskich.

Granica polsko-białoruska. W oficjalnym transporcie z Włoch, przeznaczonym do prywatnego cyrku w Rosji, celnicy odkrywają 10 tygrysów przewożonych w fatalnych warunkach. Jedno ze zwierząt umiera, pozostałe trafiają do azylu.

To tylko trzy z setek przykładów nielegalnego handlu, przemytu i przewozu gatunków chronionych, które nagłośniono w ostatnich miesiącach. Handlu, który szybko zmienia swój charakter: przestaje się kojarzyć głównie z polowaniami na słonie, przechodzi do internetu, szuka nowych rynków zbytu, głównie w Chinach. Powoduje też kolejne zagrożenia: monokulturowa uprawa niektórych roślin przyspiesza zmiany klimatyczne, a wyjęty spod kontroli kontakt człowieka z dzikimi gatunkami – zwiększa ryzyko kolejnych epidemii.

Więcej niż kość słoniowa

Nowe dane o tym zjawisku podsumowuje opublikowany właśnie „World Wildlife Crime Report” – raport Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC), poświęcony przemytowi i handlowi gatunkami chronionymi. Według podpisanych pod nim ekspertów proceder ten jest najbar-

dziej ukrytym i lekceważonym na poziomie międzynarodowym źródłem dochodów organizacji przestępczych i grup rebelianckich. Dotyczy całego świata (żadne państwo nie odpowiada za wię-

cej niż 9 proc. konfiskaty przemycanego towaru) i obejmuje ok. 6 tys. gatunków roślin i zwierząt (tyle ich przemycano na świecie w latach 1999–2018).

Biznesem przemytu zwierząt steruje niewidzialna ręka rynku, w tym przypadku – czarnego rynku. Przykład: coraz skuteczniejsza ochrona tygrysa w Azji nie zablokowała popytu, więc handlarze i kłusownicy przeczucili się na lwy, jaguary i lamparty. Kłusownictwo zarówno słoni, jak i nosorożców znacznie się zmniejszyło, spadły także ceny ich kłów i rogów (róg nosorożca jest obecnie wart ok. 16 tys. dolarów). Autorzy raportu przypuszczają, że po tym, gdy na skutek załamania się rynków zbytu z tego nielegalnego biznesu wycofało się wielu inwestorów, pierwszy raz zdarzyło się, że w ofercie znalazło się więcej kości słoniowej, niż wynosi na nią zapotrzebowanie.



JEFFA / BARCROFT IMAGES / GETTY IMAGES

Zmieniły się też kierunki jej przemytu: kość słoniową przewożono kiedyś nielegalnie głównie z Kenii do Chin. Teraz trafia ona tam przede wszystkim z Nigerii, i to przez Wietnam, który stał się punktem przerzutowym dla pośredników działających w Azji.

Kość słoniową częściowo zastępuje obecnie... kość tygrysa. Choć niemal wszystkie części ciała tygrysa są sprzedawane i wykorzystywane w tzw. medycynie tradycyjnej, najbardziej pożądane przez nabywców są właśnie jego kości. I to one – mimo coraz skuteczniejszej ochrony gatunku – w ostatnich latach wciąż napędzają popyt. Nabywcy produktów pochodzenia tygrysięgo traktują je tak, jak wcześniej traktowano kość słoniową: jako symbol bogactwa.

Zwiększa się skala przemytu łuskowców – ssaków żyjących w Afryce Subs-

haryjskiej i Azji Południowo-Wschodniej, jedynych, których ciało jest pokryte łuskami. W ciągu zaledwie pięciu lat liczba przechwyconych przez służby celne łuskowców wzrosła dziesięciokrotnie. Przyczyny tego wzrostu są niejasne – wymienia się m.in. nieudane próby podjęcia legalnej hodowli tych zwierząt, masowo wykorzystywanych w medycynie tradycyjnej.

Senegal, studium przypadku

To, jak poważne konsekwencje może mieć ten handel, pokazuje przykład Senegalu, gdzie oddziały separatystów z organizacji MFDC z tego źródła finansują walkę o niepodległość prowincji Casamance. Pozyskiwane przez siebie drewno chronionych gatunków sprzedają gambijskim przemysłnikom. Po tym, gdy towar dotrze do Gambii, już

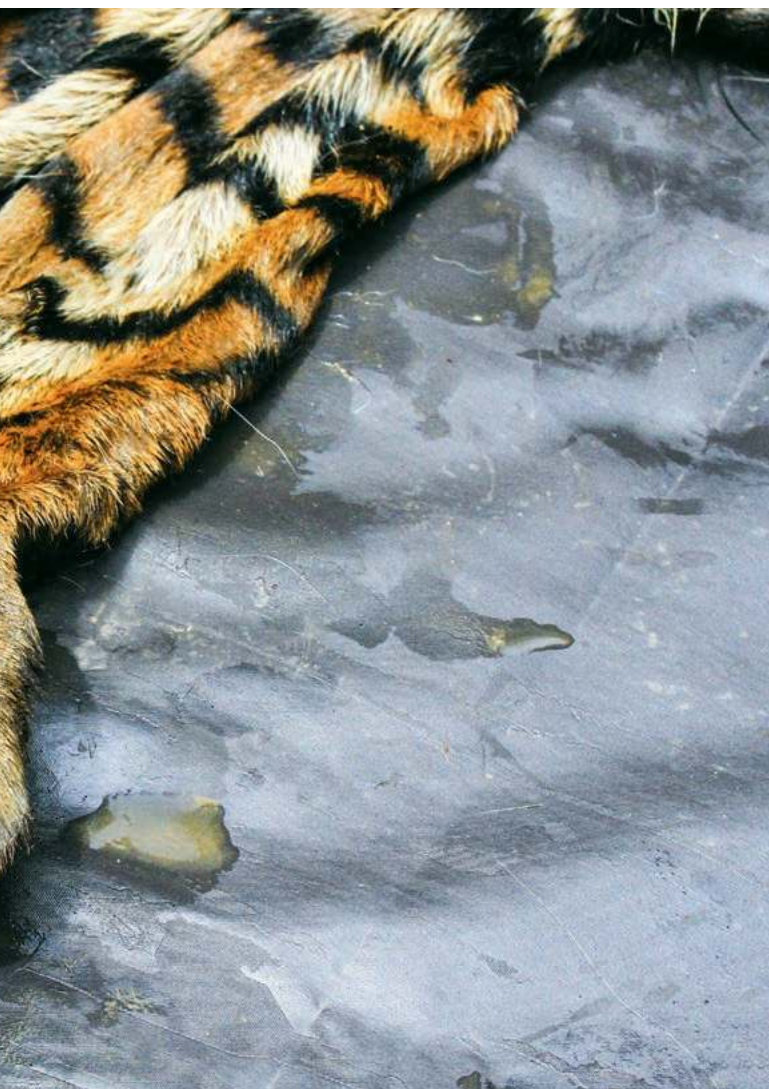
oficjalną drogą jest eksportowany do Chin.

Według szacunków Environmental Investigation Agency, brytyjskiej organizacji pozarządowej, w ciągu ostatnich ośmiu lat przemyciono w ten sposób ok. 1,6 mln drzew, a 500 mln dolarów zysku, które przyniósł proceder, nie jest uwzględnione w oficjalnym bilansie handlowym kraju. Tutaj oraz w innych regionach Afryki, Azji i Ameryki Południowej przemyt gatunków chronionych staje się – obok handlu narkotykami – sposobem na nielegalne finansowanie rebelii, mafii, a także okazją do korumpowania polityków i urzędników. Autorzy raportu ONZ apelują, aby sukcesu w walce z takimi przestępcami nie ograniczać do spektakularnych medialnie konfiskat na granicach – podobnie jak w kwestii przeciwdziałania handlowi ludźmi, konieczna jest tu lepsza współpraca rządów.

To niełatwe, ponieważ każde państwo ma własne przepisy dotyczące ochrony i gospodarowania dziką fauną i florą. Wprawdzie oficjalnie zagrożone gatunki są chronione w skali globalnej przepisami Konwencji o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem (CITES), jednak według ekspertów ONZ to za mało.

Dotąd walka z kłusownictwem i rabunkiem dzikiej przyrody nie wydawała się politykom tak ważna, jak przeciwdziałanie przemytowi narkotyków. Ale w tym roku doszedł jeszcze jeden powód, dla którego nowego raportu ONZ nie da się po prostu odłożyć na półkę. Pandemia COVID-19 rozpoczęła się w chińskiej prowincji Wuhan po tym, gdy nowy koronawirus przeszedł z nietopierza na człowieka. Stopniowo zakazywane, choć wciąż popularne na azjatyckich czy afrykańskich targach miejsca, gdzie można zjeść mięso dzikich zwierząt (tzw. *bush meat*), epidemiolodzy od lat wskazują jako potencjalne źródło podobnych zdarzeń. Nielegalny handel dzikimi zwierzętami z definicji nie podlega kontrolom sanitarnym i może potencjalnie prowadzić do rozprzestrzeniania się chorób odzwierzęcych. Podczas pandemii COVID-19 w wielu krajach wprowadzono więc nowe zakazy.

Raport ONZ nie pozostawia złudzeń: aby zaczęły one działać, powinni wprowadzić je wszyscy. ©©



Indonezyjska policja prezentuje skórę tygrysa sumatrzańskiego, zabitego przez kłusowników. Północna Sumatra, Indonezja, październik 2016 r.

WOJCIECH

Bonowicz: Czego bronić?



SIEDZĘ WŚRÓD GÓR, OD KILKUNASTU GODZIN pada obfity deszcz, chciałbym choć przez chwilę nie myśleć o polityce. Ale się nie da. Ludzie podchodzą i pytają: co teraz będzie? Zwycięzą twardogłowi czy tacy, którzy będą chcieli się dogadać? Nawrót epidemii sprawi, że władza spokojnie? Przyjdzie kryzys i ludzie oprzytomnieją? A może przeciwnie – wpadną w panikę i dopiero się zaczną?

Siedzę jak ten prorok na tarasie widokowym w Radkowie, naprzeciwko mnie wspaniały Szczeliniec, a ja nie wiem, co powiedzieć. Przede wszystkim – ciągle nie mogę pogodzić się z tym, co działo się w trakcie kampanii. Za każdym razem mam nadzieję, że najgorsze mamy już za sobą, że może tym razem gra będzie mniej brudna, a język mniej podły. No i, niestety, znów było na odwrót. Wychodzę z tej kampanii ubrudzony i zniesmaczony nie tylko tym, co mówili sami politycy, ale też tym, co działo się wokół nich – w publicystyce, wywiadach, internetowych komentarzach.

Symboliczna jest niezwykła kariera słowa, które w „Tygodniku” by mi wykropkowali – rym do „nie bać”. Zdumiony jestem wiarą, że jak się użyje wspomnianego słowa – lub innych mocnych słów – to się osiągnie coś więcej poza chwilową ulgą. Ta ulga jest realna, tego nie kwestionuję. W końcu mocne słowa po to w języku istnieją, żeby dawać człowiekowi poczucie mocy. To, co przeklnę, zostaje symbolicznie pomniejszone. W dodatku mogę powołać się na piękne wzory, choćby marszałka Piłsudskiego. Nie każdy jest Piłsud-

skim, ale może kłąć jak Piłsudski – i wtedy do pewnego stopnia jakoś jest. Owszem, we własnej wyobraźni, ale przecież to ona jest najważniejsza, ona jest naszym domem i kryjówką. To, co na zewnątrz wyobraźni, mało nas na ogół interesuje.

Wanda Czubernat, która – jak mi pisze – z racji wieku przebywa teraz w strefie LBBDG („leżę bykiem brzuchem do góry”), opowiadała mi, jak któregoś razu jej mąż, zwany czule „Panczu”, pracował na podwórku, coś tam wkręcając i odkręcając. W pewnym momencie, natrafiwszy na wyjątkowo oporną śrubę, „Panczu” puścił solidną wiązkę słów. A kiedy mu już ulżyło, zorientował się, że ktoś za nim stoi. Był to nie kto inny, tylko ksiądz Tischner, który przyszedł w odwiedziny do Wandy. „To to wej”, odezwał się po chwili krępującego milczenia jegomość. „Jak ta przyklniesz, to i lekcyj wkręcisz. Scęść Boże, a kanys to wasa?”.

I tak to właśnie jest: ludzie przeklinają, piętnują, ośmieszają, bo im się wydaje, że „lekcyj pójdzie”. Czasem idzie, czasem nie, ale jedno jest pewne – zawsze są straty. Nikogo to jednak rozumu nie uczy.

Mówiłem na tarasie w Radkowie o panu Jerzym Turowiczu. Pan Jerzy to jest wieczna lampka przy tabernakulum w moim wewnętrznym kościele. W latach 90. wielu wylewało na niego kubły pomyj. Przeczytałem uważnie wszystko, co wówczas napisał, także jego polemiki. I nie znalazłem w nich ani odrobiny wściekłości, chęci dopieczenia komuś. Obraz tego, kogo się krytykuje, nigdy nie jest zniekształcony, nie ma tam nawet gestu zniecierpliwienia – jest niewiarygodna klasa. Wielkość człowieka wyraża się w jego stylu. Dla Turowicza ludzka godność była jedną z najwyższych wartości, dlatego nawet krytykując, pilnował każdego słowa, które mogłoby tę godność naruszyć. Może zresztą źle mówię: zapewne wcale nie pilnował. Nie musiał, on miał to w sobie.

I co z tego – powiecie – skoro przegrał. Skoro górą byli ci, co się godnością Turowicza nie przejmowali. Czy rzeczywiście? Wyobraźcie sobie świat, Polskę, Kościół w Polsce bez ludzi takich jak Turowicz, Tischner i inni. Skąd byśmy czerpali siłę i odwagę? I czy byłoby jeszcze czego bronić? ©

TYGODNIK
POWSZECHNYPodkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykliów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznaną

Magdaleny Łanuszki, która odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korrespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!



Więcej na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation

polin

**Muzeum
Historii
Żydów
Polskich**

**CYKL WYDARZEŃ
KULTURALNO-REKREACYJNYCH**
ŁĄKA LEŚMIANA
Spotkajmy się w plenerze i online
lipiec, sierpień 2020

polin.pl

Projekt „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe” jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

polin
Żydowskie
Dziedzictwo
Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

BALLADA ZNAD OLZY

Sto lat temu Cieszyn podzielono między
młode państwa: Polskę i Czechosłowację.
Poprzedziła to wojna: krótka, ale brutalna.

ZBIGNIEW ROKITA



WEUROPIE MAMY KILKANAŚCIE BLIŻNIACZYCH MIAST PODZIELONYCH GRANICĄ. Rodziły się głównie w XX wieku, wraz z upadkiem państw i powstaniem nowych. Komárom i Komárno to dzieci rozpadu Austro-Węgier, Frankfurt nad Odrą i Słubice – III Rzeszy, Narwa i Iwanogorod – Związku Sowieckiego, Slavonski Brod i Bosanski Brod – Jugosławii. Najwięcej takich miast mają Niemcy (siudem). Polska, z pięcioma na koncie, jest druga. Cztery z nich leżą na granicy polsko-niemieckiej, jedno na polsko-czeskiej.

To Cieszyn: miasto, na które wyrok zapadł 28 lipca 1920 r.

Na gruzach Cesarstwa

Jesienią 1918 r. Śląsk Cieszyński jest jednym z pierwszych miejsc, które proklamuje przynależność do państwa polskiego: w październiku, gdy Polska jeszcze nie istnieje.

Jednak do tej ziemi jest kilku pretendentów. Prócz Polaków i Czechów są to tzw. ślązakowcy Józefa Koźdonia: w większości polskojęzyczni, pod hasłem „Śląsk dla Ślązaków!” chcą połączenia z projektowaną Republiką Niemieckiej Austrii (kraju, który miałby składać się z tych ziem upadającego Cesarstwa Austrii, gdzie dominuje etnos niemiecki). Są też Niemcy z Cieszyna i Bielska, opowiadający się początkowo za podobnym rozwiązaniem.

Niemcy stanowią większość w głównych miastach regionu: Cieszynie, Bielsku i Boguminie. Ale w skali całego regionu zdecydowaną przewagę ma ludność polskojęzyczna. Według austriackiego spisu z 1910 r. na Śląsku Cieszyńskim językiem polskim posługuje się 55 proc. ludności, a czeskim i niemieckim odpowiednio 27 proc. i 18 proc.

Procenty nie oddają złożonej rzeczywistości. Miejscowa polska działaczka Zofia Kirkor-Kiedroniowa tak pisze o rodzinie swego stangreta: „Rodzina Piechów była charakterystyczna dla stosunków narodowościowych w większości gmin zagłębia. Ojciec był »deutschfreundlichem« [skłaniającym się ku Niemcom – red.], potem uświadomionym Polakiem, syn naj-

starszy w czeskiej szkole poczuł się Czechem, młodsze dzieci wyrastały na dobrych Polaków; matka kochała wszystkich jednak”.

Rychły upadek takich projektów, jak austriackie państwo niemieckie czy państwo śląskie, sprawi jednak, że tutejsi muszą stanąć po którejś z dwóch stron: polskiej lub czeskiej. W Cieszynie większość Niemców wybierze tę drugą.

Polsko-czeski wyścig

Czechosłowacja proklamuje niepodległość dwa tygodnie przed Polską. Na Śląsku Cieszyńskim – rozwinętym przemysłowo i bogatym w węgiel – zaczyna się wyścig na fakty dokonane: o to, kto pierwszy wywiesi flagę na kopalni w Karwinie, kto przejmie dworzec w Boguminie, kto opanuje ratusz w Polskiej Ostrawie (dzisiejsza dzielnica czeskiej Ostrawy będzie nosić tę nazwę do 1919 r., gdy Czesi zmienią ją na Śląska Ostrawa).

Na razie udaje się nie doprowadzić do wojny. Polacy i Czesi jakoś dzielą się regionem i unikają anarchii. To ważne, bo w odróżnieniu od spornego Górnego Śląska, gdzie jeszcze kilka lat rządzić będą Niemcy, tu dotychczasowy gospodarz – Wiedeń – znika.

Początkowo spór o sukcesję przyjmuje charakter wręcz anegdotyczny. Czeski działacz Ferdinand Pelc wspomina: „30 października przed południem przybyła na ratusz w Polskiej Ostrawie trzyosobowa delegacja, kierowana przez nauczyciela z polskiej szkoły w Polskiej Ostrawie, pana [Bolesława] Włodka. (...) Delegacja oznajmiła mi, że przyszła w imieniu Rady Narodowej, która utworzyła się w Cieszynie, aby przejąć gminę polsko-ostrowską dla państwa polskiego. Kiedy oświadczyłem, że gmina Polska Ostrawa odrzuca jakiegokolwiek polecenia Rady Narodowej, i że już opowiedziała się za państwem czechosłowackim, delegacja zaczęła się usprawiedliwiać, że nie miała nic złego na myśli i że można by było podjąć współpracę w kwestii bezpieczeństwa i aprowizacji. Kiedy powiedziałem, że o wszystko zadamy już sami, delegacja przepaszając odeszła”.

Od Bielska po Ostrawę

Dla rządu w Pradze spór o Śląsk Cieszyński jest priorytetowy – inaczej niż dla rządu w Warszawie, który skromne zasoby musi angażować na kilku frontach. W roku 1919 po Polsce krąży dow-

cip: „Które państwo jest największe na świecie? Polska. Nie ma granic”. Walczyć o granice trzeba ze wszystkimi sąsiadami – poza Rumunią.

Tutaj spór toczy się o obszar od Bielska po Ostrawę. O jego losie ma decydować ententa, tj. głównie Francuzi, Anglicy i Włosi – po I wojnie światowej mają oni głos także w sprawach Europy Środkowej.

Ale na razie jest 27 października 1918 r. i podczas wiecu na cieszyńskim rynku słychać hasło: „Wag, Ostrawica – Polski granica!”. Wag to rzeka na Słowacji (Warszawa i Praga toczą spór także o Spisz i Orawę), a Ostrawica to rzeka dzieląca Śląsk od Moraw, płynąca przez Ostrawę (czeski działacz Gustav Jašek wspomina, jak Czesi śmiali się z Polaków: „Eszcze meter za Ostrawice, abyście mieli kaj kozy paść”). Zebrany na cieszyńskim rynku wydaje się pewnie bardziej prawdopodobne, że to Ostrawa będzie polsko-czeskim miastem podzielnym.

Polacy swoje prawo do ziemi cieszyńskiej argumentują przewagą ludności polskiej. Czesi odwołują się do faktu, że była ona częścią historycznych Czech. Argumentują też, że ich nowy kraj potrzebuje kopalń Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego, huty w Trzyńcu i kolei koszykobogumińskiej. Łączy ona Czechy i Słowację: te pierwsze należały dotąd do Austrii, a Słowacja do Węgier; obie części Praga musi dopiero zintegrować (integrować trzeba będzie też Ruś Zakarpacką, utrzymaną po tysiącletnim panowaniu węgierskim; dziś część Ukrainy).

Praga wzywa ententę, by obsadziła region swymi żołnierzami jako siłami rozjemczymi. Gdy tak się nie dzieje, postanawia zacząć wojnę z Polską, wywalczyć jak najlepszą pozycję wyjściową w Wersalu (gdzie za chwilę zaczną obrady europejska konferencja pokojowa) i umiędzynarodowić spór. Pod koniec 1918 r. prezydent Tomáš Garrigue Masaryk pisze do swego szefa dyplomacji Edvarda Beneša: „Polakom prztyknięcie by nie zaszkodziło (...). Ci Polacy to nie autochtoniczni Ślązacy, lecz robotnicy z Galicji, ludzie zupełnie niegramotni, a więc – bolszewizm w wersji polskiej. Bardzo niebezpieczne”.

W czeskiej kalkulacji istotną rolę odgrywa też fakt, że pod koniec stycznia 1919 r. w Polsce odbędą się wybory do Sejmu Ustawodawczego.

Ochotnicy do polskiej milicji składają przysięgę przed członkami Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego (którzy stoją na balkonie). W tle Wieża Piastowska, na pierwszym planie tramwaj na ul. Głębokiej, prowadzącej do mostu na Olzie. Cieszyn, 24 listopada 1918 r.

Wojna krótka i brutalna

→ 23 stycznia 1919 r. – kilka dni po rozpoczęciu konferencji w Wersalu i na kilka dni przed polskimi wyborami – uderza armia czechosłowacka. Siły są nierówne. Praga rzuca 14 batalionów, świetnie uzbrojonych (przez Francuzów – część z tych sił sformowano we Francji i Włoszech jako Legiony Czechosłowackie). Po polskiej stronie staje kilkanaście kompanii wojska i oddziały ochotnicze: słabo uzbrojeni górnicy i robotnicy. Zajęty dramatyczną sytuacją oblężonego Lwowa, polski Sztab Główny nie może posłać posiłków.

Wojna jest krótka, ale obfituje w dramatyczne epizody. Polscy ochotnicy walczą ofiarnie, Dom Robotniczy w Trzyńcu zamienia się w twierdzę. Ale nie mają szans: na całym froncie Czesi prędko wypierają siły polskie na linię Wisły, zdobywają zagłębie, kolej i spory pas ziemi buforowej. Do lokalnej legendy przejdzie bitwa pod Skoczowem: nierozstrzygnięta, jest jednak polskim sukcesem, bo czeski pochód zostaje tam zatrzymany.

Czescy żołnierze dalecy są od wizerunku Szewejka: w Karwinie rozstrzelili jeńców-górników, pod Stonawą mordując kilkudziesięciu żołnierzy z rozbitego pułku wadowickiego, dobijają rannych. Brutalnie traktują polską ludność cywilną; są ofiary śmiertelne.

Więści o tym wszystkim rozejdą się najpierw po regionie – tłumy cywilów rzucają się do ucieczki zaśnieżonymi drogami, byle uciec przed nadchodzącym czeskim wojskiem – a w Polsce wywołują szok. Zatrują klimat między oboma państwami na kolejne lata. Czeskie zbrodnie „w styczniu 1919 roku, choć w niewielkim stopniu obecne w świadomości historycznej Polaków, stanowią zdecydowanie jedną z najciemniejszych kart w dziejach stosunków polsko-czeskich w XX wieku” – napisze potem historyk Michał Przeperski.

Przecięta ziemia

Walki kończą się po dziewięciu dniach: pod presją aliantów strony zawierają rozejm. Bilans to kilkuset zabitych po obu stronach.

Ferdinand Pelc wspomina: „Niestety, nasza radość nie trwała długo! W Paryżu (...) nasza interwencja wojskowa przyjęta została ze wzburzeniem. Było niedobrze, bogowie się gniewali!”.

Polak Jan Unicki zapamięta: „W sobotę w dalszym ciągu zwożono zabitych. Niektóre trupy przedstawiały okropny wi-



MUZEUM ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO W CIESZYNIE

Defilada z okazji przejścia władzy wojskowej w Cieszynie przez siły polskie. W środku płk Franciszek Latinik, dowódca polskich oddziałów na Śląsku Cieszyńskim. 16 listopada 1918 r.

dok i nikt nie potrafił ich rozpoznać, tak strasznie były zniekształcone. Głowy porzucane kolbami, ciała ogniem przypalone, brunatne. Pewien ranny żołnierz wpadł w dół na wapno; tam czeski żołnierz przebił mu szyję bagnetem”.

Alianci wyznaczają korzystną dla Czechów linię demarkacyjną. Trwa wojna dyplomatyczna i informacyjna. W regionie wrze: kolejne półtora roku to czas wieców, zamachów, pobić, zabójstw, wyrzuceń z domów, strajków. W tym czasie ginie kilkadziesiąt osób, jeszcze więcej jest rannych.

Wspólna komisja rozstrzyga też mniejsze spory. Władysław Günther wspomina: „Komisja zbierała się dwa razy tygodniowo na oficjalnych posiedzeniach, w których brałem udział razem z moim czeskim odpowiednikiem, aby na przykład zdecydować, czy polska krowa, która przekroczyła linię demarkacyjną i wyżarła trawę w ogródku kierownika szkoły czeskiej, działała spontanicznie i z własnej woli czy też z nakazu swego właściciela, polskiego patrioty, wobec czego była narzędziem złośliwej manifestacji politycznej...”.

Dziś brzmi to zabawnie. Ale wtedy mało komu jest do śmiechu. Linia demarkacyjna przecina żywy organizm, dla ludności to dramat. „Huty oddzielono od kopalń, szkoły i kościoły od wsi, a nieraz i wieś rozdzielono, co wprowadziło niesłychany chaos w administracji” – wspominał Polak Franciszek Szymiczek.

Arbitraż, czyli podział

Jesienią 1919 r. ententa decyduje: o przyszłości Śląska Cieszyńskiego, a także Spiżu i Orawy powinien rozstrzygnąć plebiscyt.

– Poźniejsze Zaolzie było raczej za Polską, a wiejski obszar między Bielskiem i Cieszynem za Czechosłowacją. Ludzie chcieli żyć w innych państwach, niż żyli potem po podziale. Gdyby odbył się plebiscyt, Polska miałaby lepszą granicę – mówi mi prof. Krzysztof Nowak z Uniwersytetu Śląskiego. – Ale w samym Cieszynie większość mieszkańców poparłaby zapewne w plebiscycie Czechosłowację.

Historyk przypomina, że Czesi byli przerażeni wizją plebiscytu aż do chwili, gdy zgłosił się do nich lider śląskich separatystów Józef Koźdoń – ostatecznie Praga zgodziła się na głosowanie, bo Koźdoń obiecał jej głosy między Cieszynem a Bielskiem.

Polskę czekają więc trzy plebiscyty. Ostatecznie dwa z Niemcami przegrywa (na Śląsku oraz Warmii i Mazurach), a ten z Czechami nigdy nie dochodzi do skutku. Przyczyna: latem 1920 r. byt Polski jest niepewny, Armia Czerwona napiera i premier Władysław Grabski porozumiewa się z ententą. Ma ona pomóc Polsce w wojnie z bolszewikami, a w zamian Warszawa ustępuje w paru sprawach – w tym zgadza się, by spór o Śląsk Cieszyński rozstrzygnął aliancki arbitraż.

– Tak naprawdę granicę ustalono jeszcze przed aliancką konferencją w Spa,

według porozumienia Czechów z Londynem i Paryżem – mówi prof. Nowak. – W 1918 r. niby wszystko było jasne: prawo narodów do samostanowienia, Wilson... A czym się skończyło? To nie był kompromis. Wioski, które znalazły się w Czechosłowacji, były w 90 proc. polskie. To była klęska polskiej dyplomacji i triumf czechosłowackiej. Beneš osiągnął to, co dwa lata wcześniej wydawało się niemożliwe.

Arbitraż wypada zdecydowanie na korzyść Czechosłowacji. Zyskuje ona przemysłowe zagłębie. Na przyznanym jej terenie dominuje ludność polskojęzyczna (ok. 139 tys. Polaków). Polska nie osiąga nawet minimum żądań. Przypadają jej głównie tereny rolnicze i góryste. Protesty nic nie dają. Były premier Ignacy Paderewski oznajmia, że między narodami powstała przepaść, „której nic nie zdoła zasypać”.

W ten sposób w okresie międzywojennym obszar historycznego Górnego Śląska będzie podzielony na trzy części: czechosłowacką (z centrum w Morawskiej Ostrawie), polską (z Katowicami) i niemiecką (z Opolem).

Miasto emerytów

Granica polsko-czechosłowacka biegnie mniej więcej wzdłuż Olzy, która po raz pierwszy w dziejach staje się granicą państwową. W Cieszyźnie rzeka płynie przez miasto i dzieli je od dwóch części: Cieszyń i Český Tešín.

W balladzie „Tešínská” („Cieszyńska”) Jaromír Nohavica opisuje, jak mogłoby wyglądać jego wyśnione życie w Cieszyźnie, gdyby nie Wielka Wojna i jej skutki: „Mieszkilibyśmy na Sachsenbergu, w kamienicy Żyda Kohna / najpiękniejszą z wszystkich cieszyńską perłą byłaby ona / Mówiąc – mieszałaby czeski i polski, szprechałaby czasem, a śmiech by miała boski. (...) Miałbym śliczną żonę i już trzecie dziecko, w zdrowiu żył przez trzydzieści kilka lat na tym świecie / I całe długie życie przed sobą, całe piękne dwudzieste stulecie” (przeł. Antoni Muracki).

Nohavica puentuje: „Może i dobrze, że człowiek nie wie, co go czeka”...

Może i dobrze, bo zmienia się wiele. Po stronie czeskiej zostają przedmieścia Cieszyńska z wodociągami, gazownią, i stacją kolejową oraz nieodległym zagłębiem. Burmistrzem Czeskiego Cieszyńa aż do 1938 r. będzie znany nam już Józef Ko-

Po alianckim arbitrażu w 1920 r. Ignacy Paderewski powiedział, że między Polską i Czechosłowacją powstała przepaść.

doń. Zbuduje lewobrzeżny Cieszyń niemal od podstaw. Wcześniej zwany Sachsenberg (co spolszczono jako Saska Kępa), teraz ma być wizytówką Republiki Czechosłowackiej. Powstaje rynek, ratusz, nowe kamienice, świątynie.

Po stronie polskiej zostaje wprowadzić zabytkową część miasta wraz z elektrownią, teatrem oraz budynkami administracji i oświaty, ale miasto odcięte od kolei i przemysłu traci na znaczeniu. Profesor Nowak mówi, że polski Cieszyń zaczęto nazywać miastem emerytów.

Polskie małe Trianon

W międzywojniu Polska, która nie może pogodzić się z arbitrażem aliantów, doświadczy na Nadolziu swego „małego Trianon” [narzucony przez aliantów Węgrom w 1920 r. traktat z Trianon sprawił, że poza państwem węgierskim pozostały liczne węgierskie mniejszości; relacje między Węgrami i sąsiadami były odąd napięte – red.]. Wielu mówi o „zaborze czeskim”.

W Warszawie nie wykluczano wzniesienia powstania, by odbić Zaolzie. Wtedy nie byłoby to niezwykle – na taki krok zdecydowano się w 1921 r. po niekorzystnym rezultacie plebiscytu na Górnym Śląsku. Polacy za Olzą czekali, ale rozkaz z Warszawy nie nadszedł.

Szansa nadarza się po kilkunastu latach. Polska korzysta na agresywnej polityce Adolfa Hitlera wobec Pragi i przyłącza Zaolzie. Kilka dni po konferencji monachijskiej w 1938 r. marszałek Edward Rydz-Śmigły wygłasza przemówienie radiowe, zakończone zawołaniem: „Maszerować!”. Wojsko Polskie wkracza na ziemię, której nie obroniło w 1919 r.

– Po 1920 r. wielu Polaków ze Śląska Cieszyńskiego przekroczyło nową granicę i osiedliło się w Dziedzicach, Skoczowie, Bielsku czy Cieszyźnie. Pozostawieni sami sobie, czuli się zawiedzeni stanowiskiem polskich władz i brakiem ich dzia-

łań. Stąd potem taka radość w 1938 r. Nie interesowała ich polityka, układy monachijskie, stosunki polsko-czesko-niemieckie. Ich interesowało jedno: po latach wracali do swoich domów – mówi mi Jacek Cwetler, historyk ziemi cieszyńskiej.

Jesienią 1938 r. wielu Polaków widzi w przyłączeniu Zaolzia naprawienie błędu ententy. Czesi, rzecz jasna, widzą to inaczej.

Kilka lat później, w 1945 r., Polska i Czechosłowacja znów będą blisko kolejnej odsłony wojny zaolziańskiej. Ale Stalin, który bez wahań przesuwają granice (i wraz z nimi miliony ludzi), konserwuje międzywojenny podział. Zamraża ten konflikt, jak wiele innych w bloku wschodnim i w samym Związku Radzieckim.

Gdy jednak po 1989 r. zabraknie Moskwy, nadolziański spór nie wybuchnie na nowo – inaczej niż wiele innych zamrożonych konfliktów. Most na Olzie, przez komunistów nazwany na wyrost Mostem Przyjaźni, z czasem faktycznie takim się stanie: łącznikiem dwóch miast. Wejście Polski i Czech do Unii oraz do strefy Schengen przyspieszy ten proces.

Sto lat później

W piosence Nohavicy pojawia się tramwaj. Uruchomiony w 1911 r., kursował przez Olzę. Sto lat temu jeździł jeszcze przez rok po pojawieniu się granicznych szlabanów, ale uciążliwe kontrole na moście sprawiły, że połączenie zawieszono. Sądono, że tymczasowo (wagony zjechały do zajezdni po polskiej stronie), ale kursów już nie wznowiono. Kilka lat temu zastanawiano się nad odtworzeniem tramwaju (oba miasta korzystają z komunikacji autobusowej), jednak uznano, że to nieoptyczne.

Gdy wybuchła pandemia i granica wróciła, media w obu krajach obiegały zdjęcie transparentu, który ktoś powiesił nad brzegiem Olzy: „Stýská se mi po tobe, Čechu” (Tęsknię za tobą, Czechu). A potem tego, którym ktoś odpowiedział z drugiej strony: „I ja za tobą, Polaku”.

© ZBIGNIEW ROKITA

Korzystałem z: „Zaolzie. Polsko-czeski spór o Śląsk Cieszyński 1918–2008” (red. A. Knyt); „Dzieje Śląska Cieszyńskiego od zarania do czasów współczesnych”, tom VI (red. I. Panic); K. Kulczyńska „Miasta podzielone w Europie”, „Studia Miejskie”, 15/2014; M. Przeperski „Niezdolny ciężar braterstwa”.

ZDROWIE, CZYLI CO

Rozwój biologii i medycyny pozwolił nam przenieść choroby z domeny religii do nauki – i wiele z nich skutecznie leczyć. Ale nawet we współczesnej medycynie słychać echa starożytnych sporów.

BARTOSZ KABAŁA



Z POCZĄTKU CHOROBY ZSYŁANE BYŁY z niebios. W starożytności wierzono, że ludzkie cierpienie – czyli objawy chorobowe – to kara za naruszenie boskich praw. Ale mimo to starożytnym cywilizacjom udawało się tworzyć zasady higienicznego życia, które najwyraźniej podobały się bogom. Zdrowie mogło zależeć także od ruchu planet i gwiazd. Niektóre miały nawet przypisane narządy i układy (serce – Słońce, wątroba – Jowisz). I w tej tradycji choroby utożsamiano jednak z samym cierpieniem, a brak bólu oznaczał pełnię zdrowia.

Choroby zeszyły na ziemię i wstąpiły w ludzkie ciała po raz pierwszy wtedy, gdy powstały teoretyczne koncepcje dotyczące fizjologii i anatomii. Rozwijana w Grecji i Rzymie teoria humoralna zakładała istnienie czterech głównych płynów (humorów) ludzkiego ustroju: krwi, śluzu, żółci i czarnej żółci. Jeśli nie pozostawały w idealnej równowadze, zaczynały się kłopoty ze zdrowiem.

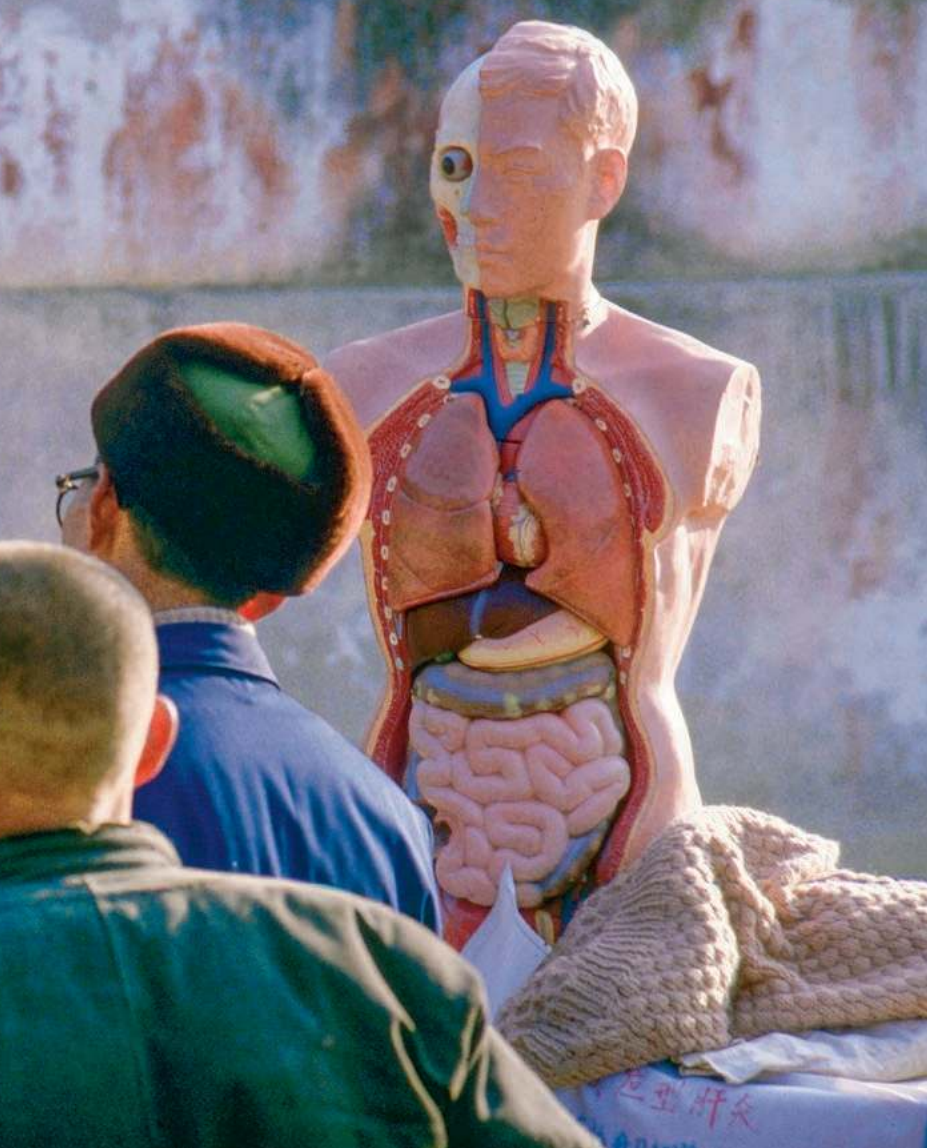
W oddzieleniu starożytnej medycyny od religii największą rolę odegrali Hipokrates z Kos (V/IV w. p.n.e.) i rzymski lekarz Galen (II w. n.e.). Pierwszy uważał wprawdzie, że istnieje tylko jeden mechanizm chorób – zaburzenia płynów – ale przyjmował, że mogą je wywoływać czynniki naturalne: środowisko, dieta czy sposób życia. Oraz że mogą mieć początek, zanim pojawią się objawy. Galen, który dokonał syntezy wielu medycznych teorii, przekonywał, że chorób i mechanizmów ich tworzenia się jest wiele. Ściśle łączył ciało z chorobą, a chorobę z naturą.

Maszyna fizyczna

Koncepcje nadprzyrodzone wróciły w średniowieczu. Rozgorzały wówczas spory o to, kto odpowiada za choroby: szatan czy Bóg? Choroby mogły być w końcu nie tylko karą za grzechy, ale też łaską – cierpienie pomnażało ziemskie zasługi. Jedną z kluczowych postaci medycyny

z początku epoki nowożytnej był szwajcarski lekarz i alchemik Paracelsus. Wierzył, że zarówno choroby, jak i moce lekarskie pochodzą od Boga, ale nie doszukiwał się w objawach boskich znaków. Każda z chorób mogła dopaść człowieka niezależnie od jego grzechów. Dostrzeżenie losowości niektórych zaburzeń było ważne dla postępu medycyny. Mechanizm choroby miał się opierać na trzech głównych elementach: siarce, soli i rtęci. Żółta siarka odpowiadała za żółtaczkę i gorączkę, rtęć za szaleństwo, a sól za wodobrzusze. Paracelsus poszukiwał też leków, wychodząc z założenia, że Bóg żadnej z chorób nie pozostawił bez specyficznej terapii. Stworzył tzw. jatrotechnikę (*iatros* – gr. lekarz), która obok młodszej od niej jatrofizyki pozwoliła skierować medycynę na bardziej naukowe tory.

Późniejsi uczeni postanowili badać i mierzyć, mieszać składniki i podgrzewać fiołki. Ludzki organizm z wieku na wiek stawał się coraz bardziej chemiczną



MANFRED HORVATH / ANZENBERGER / FORUM

Lekarz medycyny tradycyjnej opowiada o zachodnich sposobach leczenia chorób, Fuli, Chiny Południowe. Zdjęcie niedatowane.

Prawdopodobieństwo uzyskania nieprawidłowego wyniku rośnie wraz z liczbą wykonanych testów. Jeśli przebadamy daną populację pod kątem dwóch różnych parametrów, to ryzyko, że jeden z nich wykroczy poza normę, wynosi 9 proc. niezależnie od obecności lub braku choroby. Przy 20 różnych badaniach aż u 60 proc. testowanych choć jeden z parametrów będzie nieprawidłowy.

W praktyce oznacza to, że proces diagnostyczny najczęściej nie opiera się wyłącznie na wynikach laboratoryjnych oznaczeń. Badania uzupełniają ocenę lekarza, która jest efektem umiejętności, wiedzy i doświadczenia. Same nieprawidłowe wyniki to za mało, by zdefiniować chorobę.

Choć postrzeganie ludzkiego ciała jako mechanizmu, który ma określone funkcje i wartości, jest w obliczu postępu nauki nieuniknione, to nie daje nam pełnego zrozumienia istoty choroby. Narządy produkują, pompują, filtrują, wydzielają i wylapują. Zarządzają nimi geny i sprzężenia hormonów. Nauka tworzy leki, które nas usprawniają; terapie, które wymieniają nam wadliwe geny; metody, dzięki którym zastępujemy uszkodzony narząd. Kartezjańska koncepcja ciała jako maszyny opanowała umysły naukowców, w tym fizjologów i lekarzy, na długie lata. Ale spór o redukcjonizm w medycynie wydaje się dziś żywy jak nigdy przedtem.

Problem łamliwych kości

Czy zatem człowiek zdrowy to ten zbudowany z „normalnie” funkcjonujących narządów? Czy też chorujemy tylko wtedy, gdy naprawdę to odczuwamy, tak jak uważali starożytni? Te dwa skrajne podejścia do pojęcia choroby w praktycznym wymiarze medycyny trzeba jakoś połączyć. Z jednej strony wiele chorób początkowo nie boli i nie daje objawów, a gdy się one pojawiają, często na skuteczną terapię jest już za późno. A więc choroba istnieje na długo przed cierpieniem, niezależnie od dobrostanu pacjenta. Z drugiej zaś strony nie należy leczyć wyników, lecz człowieka jako całość (w tej kwestii być może wciąż wyrastamy ponad medycyną sztuczną inteligencję). Zmiany, które zachodzą w ludzkim ciele w wyniku zupełnie naturalnych zjawisk, →

i fizyczną machiną, a choroby – zaburzeniami jej funkcji. Istotą ich zrozumienia stały się pomiary. Każda choroba miała jakąś policzalną, widzialną i badalną zmianę. Wysoka temperatura, wykwity skórne, skaczące tętno, poty, barwa wydzielin, ich woń i smak (lekarz nie powinien był mieć obaw przed korzystaniem i z tego zmysłu!) stawały się podstawowymi cechami chorób. Próby usystematyzowania medycyny doprowadziły do powstania nowej nauki – nozologii, zajmującej się klasyfikacją chorób na wzór klasyfikacji roślin i zwierząt. Pierwsze systemy klasyfikacyjne chorób powstały dzięki botanikom – jeden z nich stworzył nawet sam Karol Linneusz.

A jeśli można chorobę zmierzyć i zbadać, to można ją również za pomocą liczb i konkretnych objawów zdefiniować. Dzięki zaś statystyce i matematyce można określić co jest patologią, a co normą. To jedna z najważniejszych zasad leżących u podłoża współczesnej medycyny.

Ale nawet w niej słychać echa starożytnych filozoficznych sporów.

Normy i choroby

Choć pojęcie normy można różnie definiować, w wielu dziedzinach współczesnej medycyny przyjmuje ona postać normy laboratoryjnej. Badany jest konkretny parametr – np. stężenie hormonów tarczycy w surowicy krwi. Wynik konkretnego badanego porównuje się do wartości referencyjnych – czyli uznanych za normę. Takie wartości uzyskuje się na podstawie badań zdrowych osobników danej populacji. Wyniki często można przedstawić w formie symetrycznej krzywej Gaussa: większość społeczeństwa osiąga wyniki przeciętne i plasuje się pośrodku rozkładu. Osoby o wynikach skrajnych – wykraczających poza normę, a więc w potocznym rozumieniu nieprawidłowych – stanowią zwykle 5 proc. populacji. Z założenia są to jednak osoby zdrowe – tyle że ze „złymi” wynikami.

→ takich jak ciąża czy starość, nie powinny być postrzegane jako choroby.

Tutaj jednak pojawia się kolejny problem – jak odróżnić starość od choroby?

Dobrym przykładem jest osteoporoza, która występuje najczęściej u osób starszych i kobiet po menopauzie. Współcześnie rozumiana jest jako choroba szkieletu, dla której typowe jest zwiększone ryzyko złamań kości na skutek utraty ich gęstości mineralnej. Do pewnego czasu była ona w podręcznikach traktowana raczej jako objaw czy element niektórych chorób, a nie jako choroba sama w sobie. Wzrost długości życia społeczeństwa spowodował jednak, że u wielu starszych osób demineralizacja kości, skutkująca złamaniem nawet przy zaledwie niewielkim urazie, pojawiała się wyjątkowo często. U kobiet osteoporozę powiązano w latach 60. z pomenopauzalnym spadkiem produkcji estrogenów, co jest przecież naturalnym procesem starzenia. Jednak w 1994 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wydała jasne zalecenie rozpoznawania osteoporozy od określonego, mierzonego poziomu gęstości kości.

Co zdecydowało o tym, że naturalny element starzenia się ciała uznano za chorobę? Można wskazać kilka przyczyn. Osteoporoza wiąże się z dużym ryzykiem złamań, które w podeszłym wieku dłużej się goją, a długotrwałe unieruchomienie może zwiększać ryzyko zgonu. Wcześniejsze rozpoznanie i leczenie, a tym samym prewencja złamań, są korzystne z ekonomicznego punktu widzenia. Na definicję choroby wpływa też postrzeganie starości przez społeczeństwo. Postęp nauki i techniki powoduje, że podeszły wiek nie jest wyłącznie powolnym zegnaniem się ze światem. Zmieniały się oczekiwania wobec życia i własnego ciała w każdym wieku. Dlaczego mielibyśmy się godzić na łamliwe kości? Kruchość ciała nie przystaje do potęg naszych planów.

Wędrująca macica

Starcza słabość przestaje być normalna, bo społeczeństwo nieustannie tę normalność redefiniuje. Czyni to tym chętniej, im mniej w jakimś zjawisku matematyki i statystyki. Najlepiej widać to na przykładzie zachowań dawniej określanych mianem chorób psychicznych. Ogólne zdefiniowanie „chorób duszy” zawsze było wielkim medycznym wyzwaniem, a dziś jest jeszcze trudniejsze. Na przestrzeni wieków zjawiska uznawane za

patologiczne w jednym kontekście społeczno-kulturowym stawały się wariantem normy w innym.

Widać to dobrze, gdy przyjrzyć się diagnozowaniu i wyjaśnianiu podłoża histerii – choroby, która najczęściej dotykała młode, samotne kobiety. Histeria, rozpoznawana już w starożytności, przeszła przez wszystkie opisane wyżej definicje chorób. Hipokrates uważał ją za chorobę kobiecego ciała związaną z wędrującą macicą. Jako typowe objawy wskazywał lęk, nerwowość, omdlenia, duszność, napady drgawek, zanik miesiączki i zaburzenia seksualne. W średniowieczu takie objawy sugerowały diabelskie opętanie, później przyczyną miała być trauma braku męża lub dzieci, a rozwiązaniem miłość cielesna. W XVIII i XIX w. źródło histerii kobiecej przeniosło się z macicy do mózgu i naukowcy tam zaczęli poszukiwać jej mechanizmu. Jednocześnie uznano, że objawy histerii, w owym czasie już choroby umysłu, mogą być znacznie subtelniejsze, co skazywało niektóre kobiety na takie rozpoznanie pomimo tego, że chore wcale nie były.

W Paryżu histeryczki osadzano w szpitalu Salpêtrière, gdzie neurologzy z całej Europy na czele ze słynnym Jeanem-Martinem Charcotem badali je, próbując rozwikłać zagadkę pochodzenia tego zjawiska. Jak pisze Aleksandra Skarbek z KUL-u: „Histeria została okrzyknięta przez surrealistów największym odkryciem poetyckim XIX w. Traktowali ją bowiem jako stan umysłu cechujący się rozdzieleniem więzów łączących podmiot ze światem moralnym i sytuowali poza wszelkimi systemami chorobowymi” (Rocznik Historii Sztuki, tom XXXIX, PAN WDN, 2014 r.). Od śmierci Charcota do pojawienia się surrealistów minęło zaledwie kilka dekad.

Ruchy antypsychiatryczne

Współczesna psychiatria całkowicie zrezygnowała z definiowania histerii. Część z objawów postulowanych jeszcze w XIX w. okazała się we współczesnym społeczeństwie wariantem normy, inne – takie jak zaburzenia dysocjacyjne czy napady drgawkowe – „przeniesiono” do innych rozpoznań. Histeria jako choroba przestała istnieć.

Charcot uważał histerię i epilepsję za dwie najpoważniejsze choroby neurologiczne, które nie powodują struktural-

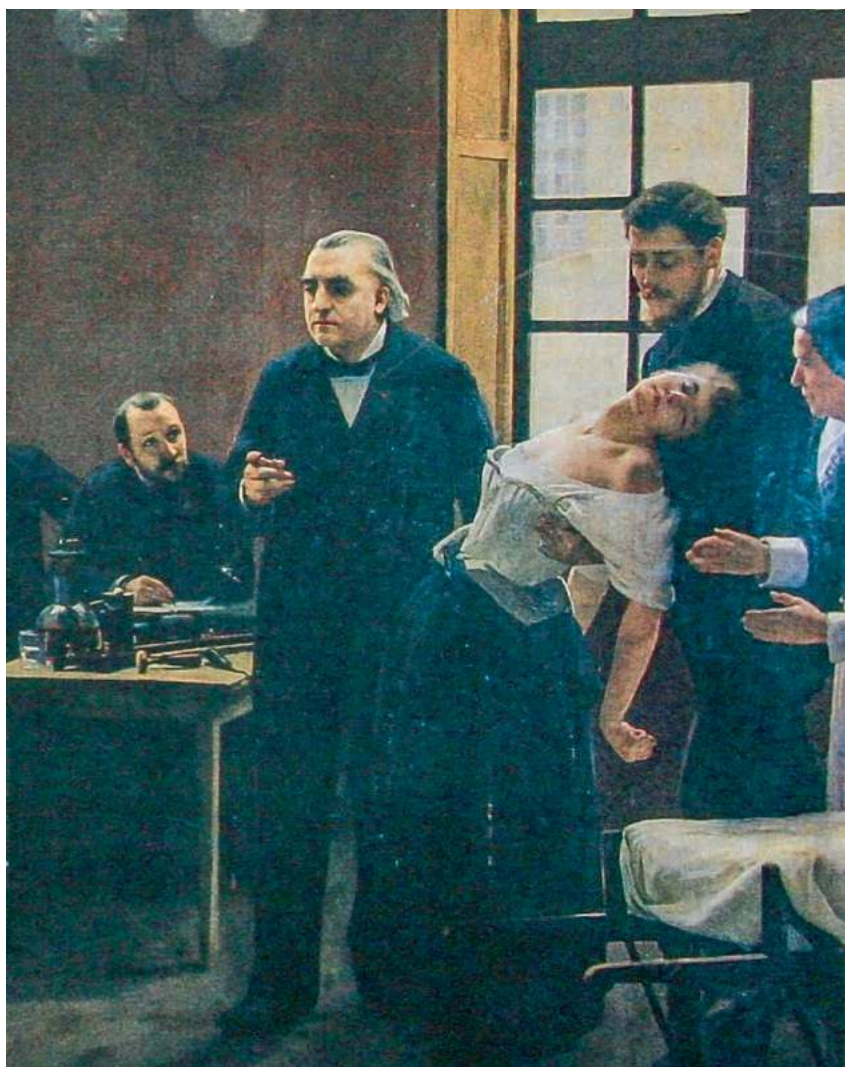
nego uszkodzenia mózgu. Silne przekonanie o materialnym charakterze wszystkich chorób, w tym również psychicznych, często prowadziło na manowce. Traktowanie zaburzeń umysłu jak chorób wątroby, jelit i płuc powodowało radykalny sprzeciw. Trudno przyrównywać chorobę umysłu do choroby organicznej (dzięki nowoczesnej diagnostyce wręcz namacalnej), a nawet do bardziej mglistej choroby neurologicznej. Te niejasne kryteria i niepewne definicje poskutkowały w latach 60. XX w. pojawieniem się ruchu antypsychiatrii.

Część psychologów i psychiatrów przestała wierzyć współczesnej im nauce i wypowiedziała psychiatrii wojnę. Twierdzili, że psychiatria opiera się na mylnym przekonaniu o fizycznej strukturze umysłu. Dusza czy też umysł według antypsychiatrów nie jest organem, który może ulec uszkodzeniu i chorobie, dlatego też wszyscy pacjenci zamknięci w zakładach leczniczych powinni być przywróceni na łono społeczeństwa. Ich obecny stan albo jest wynikiem samego leczenia, albo zachowaniem odstającym od narzuconych norm, ale w sensie strukturalnym ich mózgi są całkowicie w porządku.

Jednym z głównych przedstawicieli tego ruchu był amerykański psychiatra węgierskiego pochodzenia Thomas Szasz. W swojej książce „The Myth of Mental Illness”, którą rozpoczął ofensywę przeciwko konwencjonalnej medycynie, postulował całkowite odrzucenie cielesnych koncepcji chorób psychicznych. Twierdził, że takie choroby w ogóle nie istnieją.

Owocem tego sprzeciwu i wielu wątpliwości było stworzenie klasyfikacji chorób przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne oraz Światową Organizację Zdrowia. Uzbrojeni w nowoczesne metody obrazowania czynności mózgu i badania molekularne wiemy, że zaburzenia psychiczne istnieją, mają swoje mechanizmy, przyczyny i podłoże. Choć i to nie rozwiązuje problemu, nie daje prostych definicji ani łatwych odpowiedzi. Mechanizmów jest wiele, przyczyny są pośrednie i bezpośrednie, a podłoże wieloczynnikowe.

Historia medycyny pokazuje, że nie da się skonstruować uniwersalnej teorii powstawania chorób, przez co stworzenie ogólnej definicji choroby również jest problematyczne. Czy więc warto poszukiwać takiej definicji i czy jest ona w ogóle potrzebna?



Prof. Jean-Martin Charcot omawia przypadek hysterii u pacjentki Blanche Wittman (podtrzymywanej przez dr. Józefa Babińskiego) – fragment obrazu „Wykład w klinice Salpêtrière” André Brouillette z 1887 r.

Marketingowe chorobotwórstwo

Część filozofów medycyny, jak Germund Hesslow, uważa, że medycyna jako dziedzina nastawiona głównie na praktyczne wykorzystanie swoich osiągnięć nie potrzebuje ogólnego pojęcia choroby. O ile definicja np. nadciśnienia tętniczego ma swoje zastosowanie w medycynie klinicznej, o tyle żaden lekarz stwierdzając ciśnienie krwi tętniczej o wartości 180/110 mmHg nie będzie zastanawiał się nad tym, czym jest choroba w ujęciu filozoficznym, i czy pacjent z takim ciśnieniem jest chory, jeśli tego nie odczuwa. Zakres działania medycyny nie ogranicza się jednak do lekarskiego gabinetu. Problematyka zdrowia i choroby wykracza poza jednostkowe rozpoznania chorób, co Hesslow również stara się zauważyć. Ogólna definicja choroby jest konieczna w tworzeniu polityki zdrowotnej i społecznej, prawa, także karnego, i w wielu

innych dziedzinach. Ale według niego nawet to nie wymusza na lekarzach i medycynie zadumy nad tym zagadnieniem.

Jednak potoczne rozumienie zdrowia i choroby, fizjologii i patologii, wydaje się istotne. Korzystamy z nich codziennie, zarówno wtedy, gdy zgłaszamy się z niepokojącym objawem do lekarza, jak i wówczas, gdy podejmujemy decyzje konsumenckie. Mając na uwadze własne zdrowie jako wartość samą w sobie, przeciwdziałamy chorobom. Dlatego też społeczne pojmowanie choroby bywa tak podatne na wpływy.

Wspomniany Szasz i antypsychiatrzy, sprzeciwiając się „medycznemu imperializmowi”, poruszyli także problem przesadnej medykalizacji życia. Medycyna, a często przede wszystkim przemysł medyczny i farmaceutyczny wdzierają się w kolejne obszary codzienności. Medycznym problemem stają się sprawy

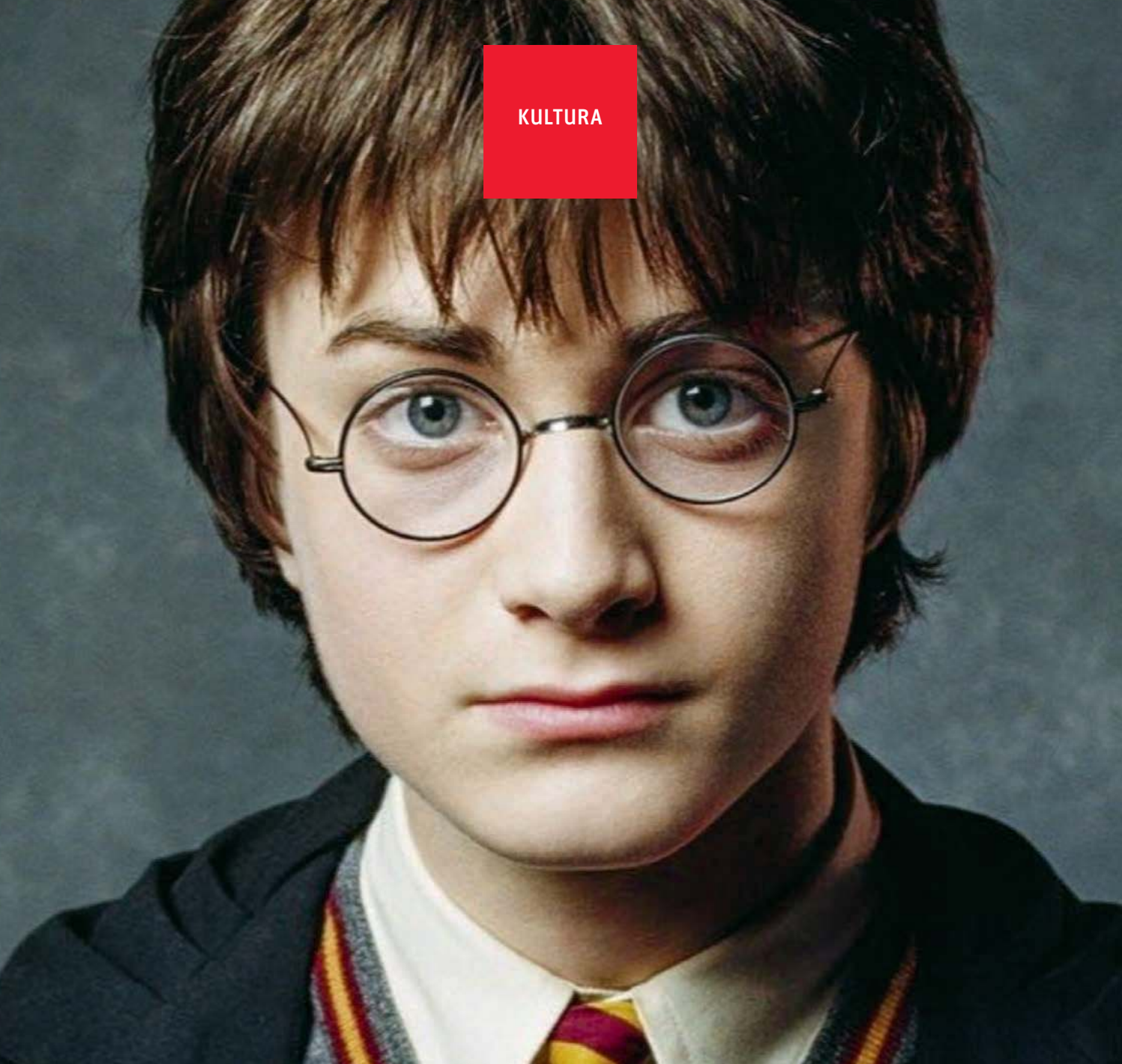
do tej pory niezauważane albo częściowo akceptowane, jak łysienie, przykry zapach z ust, nieokreślone osłabienie, zdenerwowanie, nieśmiałość. Każdy kosmetyczny defekt, każde odstępstwo od ideału, każdy przejaw starzenia się organizmu są postrzegane przez medyczny pryzmat i urastają do rangi choroby. Skoro życie i fizjologiczne starzenie naszej powierzchowności usłane jest chorobami, to współczesna medycyna i przemysł farmaceutyczny muszą im zaradzić. Takie też mamy wobec nich oczekiwania. W ogólnym pojęciu wszystko może być chorobą, jeśli tylko powoduje, że czujemy się nieco mniej szczęśliwi i akceptowani, co wykorzystują firmy produkujące „cudowny” lek czy suplement. W celach marketingowych i biznesowych choroby można wymyślać, wyolbrzymiać zjawiska mało znaczące i patologizować fizjologię. Zjawisko takie zyskało nawet nazwę „marketingowego chorobotwórstwa”.

Zgodnie z trendem wyznaczonym m.in. przez WHO celem naszych zdrowotnych dążeń jest dobrostan. Współczesna definicja zdrowia zaproponowana przez WHO w połowie ubiegłego wieku obejmuje zarówno dobrostan fizyczny, psychiczny, jak i społeczny. Ważnym elementem zdrowia jest aspekt subiektywny – własne przekonanie o szczęśliwości naszego życia, co jest jeszcze trudniejsze do zdefiniowania. Każdy inaczej to szczęście postrzega. Zdrowie nie jest wyłącznie przeciwieństwem choroby czy jej brakiem. Wszystkie wymienione składowe decydują o zdrowiu jednostki, ale brak np. dobrostanu społecznego nie zawsze musi być chorobą lub z niej wynikać. Choroba zatem nie jest również zaprzeczeniem lub brakiem tak rozumianego zdrowia.

Problem ten komplikuje dodatkowo naukowy postęp. Odkrywanie podłoża chorób, zwłaszcza komponenty genetycznej, powoduje, że pojęcie choroby staje się jeszcze mniej uchwytne. Czy osoba z niedającą objawów mutacją genetyczną jest chora, staje się chora po odkryciu tej mutacji czy dopiero po pojawieniu się objawów? Czy chorą można nazwać osobę z genetyczną predyspozycją? A jeśli tak, to czy w genetycznym świecie wszyscy jesteśmy chorzy od poczęcia?

Postęp pozostawia filozofii i medycynie coraz mniej czasu na powszechnie zrozumiałą definicję choroby oraz postawienie granicy między normą a patologią.

© BARTOSZ KABAŁA

A close-up portrait of Daniel Radcliffe as Harry Potter, wearing his signature round glasses and a dark school robe over a white shirt and a striped tie. The background is a soft, out-of-focus grey.

KULTURA

Daniel Radcliffe w filmie „Harry Potter i Kamień Filozoficzny” w reżyserii Chrisa Columbusa z 2001 r.

JAK NAPISAĆ HARRY’EGO POTTERA

Geniusz J.K. Rowling polegał na tym, że olbrzymie bogactwo stworzonego świata pozwoliła nam podejrzeć jedynie przez dziurkę od klucza. Przez Hogwart.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

DWADZIEŚCIA LAT MIJA WŁAŚNIE OD momentu, gdy po raz pierwszy rozbrzmiały po polsku słowa o państwie Dursleyach spod numeru czwartego przy Privet Drive, którzy „mogli z dumą twierdzić, że są całkowicie normalni, chwała Bogu”. Dursleyowie byli „ostatnimi ludźmi, których można by posądzać o udział w czymś dziwnym lub tajemniczym, bo po prostu nie wierzyli w takie bzdury”. Coś zupełnie innego powiedzieć można o polskich czytelnikach, którzy przez ostatnie dwie dekady milionami zaglądali do dziwnego i tajemniczego świata magii, za nic mając przytyki o bzdurach, dziecinadzie i eskapizmie.

Harry Potter mieszka nad Wisłą od dwudziestu lat! To znaczy, że ukształtował już całe pokolenie. Ci, którzy sięgając po pierwszy tom byli równolatkami małego czarodzieja, dziś sami są rodzicami, nauczycielami lub pisarkami.

Ważną częścią doświadczenia pokolenia Harry'ego Pottera była fantazja o tym, że każde z nas mogłoby samo napisać tę powieść, gdyby tylko dostało szansę. Kilko moich dobrych znajomych jako swoje największe marzenie wymienia „napisać »Harry'ego Pottera«”, niektórzy umieścili to nawet w oficjalnych notkach biograficznych. I mam wrażenie, że nie chodzi tu o skromne „napisać coś tak dobrego, jak powieści Rowling”, a nawet „napisać d r u g i e g o »Harry'ego Pottera«”, lecz o najszerszą fantazję o tym, by cofnąć czas i samemu napisać słowa o Dursleyach z Privet Drive.

Oto więc krótki, bardzo precyzyjny przepis na to, jakich składników i w jakich proporcjach użyć, by odtworzyć spektakularny sukces J.K. Rowling.

PRZEPIS NA „HARRY'EGO POTTERA”:

- *udko czekoladowej żaby*
- *sto tysięcy dolarów*
- *całe mnóstwo drobniaków*
- *miliony oddanych fanów*
- *coś nowego, coś starego, coś znanego, coś dziwnego*
- *doprawić do smaku, podawać wedle uznania w twardej lub miękkiej oprawie*

Udko czekoladowej żaby

Czekoladowe żaby i fasolki wszystkich smaków, horkruksy i eliksir wieloskokowy, przypominajki i wyjce. A przede

wszystkim Quidditch z jego kaflami, tłuczkami, zniczem, dziwacznymi regułami i rozbudowaną historią. Oto pierwszy, kluczowy składnik naszej mikstury i sekret spektakularnego sukcesu książek o dorastającym czarodzieju.

Może i nasz racjonalny mózg przypomina co stronę, że to wszystko niemożliwe; że matematyka, fizyka i ekonomia nigdy się tutaj nie zgadzają; że trudno się połapać w gąszczu obcych nazw. A jednak na dźwięk każdego nowego słowa serce podskakuje radośnie, wołając, że ten świat jest po prostu zbyt bogaty i szczegółowy, by mógł być zmyślony. Hogwart nie znika, kiedy zamkniesz książkę. Istnieje dalej nawet wówczas, gdy nikt nie patrzy.

Sukces Rowling to kolejny dowód na skuteczność złotej zasady, o której pisałem już na tych łamach przy okazji kina superbohaterskiego, „Gwiezdných wojen” czy twórczości Stephena Kinga. Jeżeli chcesz napisać nowego „Harry'ego Pottera”, nie możesz po prostu pisać książki – musisz tworzyć świat.

Odbiciem bogactwa postaci, potworów, zjawisk i substancji jest język stworzonego przez Rowling świata, w którym słowa poważne i złowrogie (dementory, Azkaban) sąsiadują z nazwami komicznymi, głupawymi czy obrzydliwymi (ropa z czyrakobulwy, q-py-blok – ang. *u-no-poo*). Rowling, absolwentka filologii francuskiej i klasycznej, w pełni wykorzystała swoją językoznawczą wiedzę i talent, łącząc je w idealnych proporcjach z wyobraźnią i poczuciem humoru.

Taki świat to fantastyczne wyzwanie dla tłumacza. Tekst z okazji 20. rocznicy publikacji polskiego przekładu byłby niekompletny bez oddania hołdu zmarłemu przed rokiem Andrzejowi Polkowskiemu. Alchemikowi języka, który wczarował dla nas myśłodsiewnię, łajnobomby, druzgotki i Zgredka. Zawsze rozważnie wybierał między oddaniem brzmienia (ang. *muggle* jako mugole), przekładem znaczenia (*Death Eaters* jako śmierciożercy) czy wymyśleniem czegoś nowego, lepiej dopasowanego do realiów polszczyzny (obraźliwe określenie *mudblood* przełożone jako szlama).

Być może najlepiej o kunszcie Polkowskiego świadczy jednak to, że przy całej swojej pomysłowości wiedział też doskonale, kiedy oryginał nie należy ruszać. Gdyby nie on, zamiast Hogwartu utknęlibyśmy z jakimś Kurzajkowem, jak biedni bracia Czesi i Słowenci (Bradavice, Bra-

davičarska Akademia), albo nasz Harry szukałby *kameňa mudrcov* w Rockforcie, jak – nie wiedzieć czemu – jego słowacki kolega.

Jednak samo bogactwo nie wystarczy, by stworzyć arcydzieło. Przeciwnie – wyobraźnia nadmiernie skłonna do rozwijania detali szybko staje się przekleństwem, o czym boleśnie przekonał się każdy, kto sięgnął kiedyś po naprawdę złą powieść fantastyczną. Nie ma nic nudniejszego niż strony wypełnione fikcyjną geografą, genealogią zmyślonych rodów i historią świata, którego losy w ogóle nas nie obchodzą.

Geniusz Rowling polegał na tym, że to olbrzymie bogactwo pozwoliła nam podejrzeć jedynie przez dziurkę od klucza. Luką do magicznego świata był Hogwart. Aż do ostatniego tomu serii przeważająca większość akcji zamknięta jest w murach tej niezwyklej szkoły. Czujemy, że ten świat jest olbrzymi właśnie dlatego, że poznaliśmy szczegółowo tylko małe kłutki jego wycinek. Wiemy, że dalej jest więcej, i tego więcej pragniemy.

Jednak to dopiero początek przepisu na sukces. Teraz do tych wszystkich zrodzonych z wyobraźni składników trzeba dodać nieco magii zupełnie innego rodzaju.

Sto tysięcy dolarów

A dokładnie 105 tys. dolarów. Tyle trzeba dorzucić do czekoladowych żab, by zestaw egzotycznych składników zamienił się w magiczny eliksir o nieodpartym uroku. Tak przynajmniej było w przypadku „Harry'ego Pottera”.

Nikt, kto w pierwszych miesiącach po publikacji trzymał w rękach debiutantką powieść Rowling, nie podejrzewał zapewne, że właśnie obcuje z jednym z największych fenomenów literackich wszech czasów. Pracownicy niewielkiego, dziesięcioletniego zaledwie wydawnictwa Bloomsbury mocno trzymali kciuki, gdy pięćset wydrukowanych kopii trafiło na księgarniane półki. Szczęśliwie pierwszy nakład sprzedał się stosunkowo szybko, a dziś te najstarsze egzemplarze osiągają na aukcjach ceny kilkudziesięciu tysięcy funtów. Reakcje czytelników były pozytywne, recenzje pochlebne, choć byli i tacy, którzy zwracali uwagę na nieporadność autorki w pracy nad bardziej epickimi wątkami. Na półki trafiały kolejne dodruki, książka zbierała wyrazy uznania na łamach coraz większych gazet.



→ Wtedy właśnie książką zainteresował się wydawca zza oceanu. Nie obyło się bez pewnych warunków. Na przykład „kamień filozoficzny” w tytule zmieniono na „kamień czarodziejów”, bo dzieci ponoć nie lubią czytać o filozofach. Ostatecznie jednak Scholastic, gigant w branży literatury dziecięcej, zdecydował się za prawa do publikacji zapłacić wspomnianą kwotę 105 tys. dolarów. To znacznie więcej niż ówczesny branżowy standard. Kwota wręcz zawrotna za powieść debiutującej autorki, w dodatku w niezbyt prestiżowym wówczas segmencie literatury.

Wbrew pozorom to właśnie najbardziej czarodziejski moment całej historii o Harrym Potterze! Nic na to nie poradzimy, ale to pieniądź jest magią naszego świata. To on oddziela zwykłych, szarych mugoli od potężnych rodów czarnoksiężników, gromadzących swe wpływy przez pokolenia. To pieniądź tworzy magiczne światy, motywuje do działania łotrów i staje na przeszkodzie dobrodusznym idealistom.

Wiadomość o transakcji zelektryzowała brytyjską prasę i telewizję, zapewniając Harry’emu i jego autorce gigantyczną ekspozycję medialną stanowiącą równowagę wielomilionowego budżetu reklamowego. Rowling, samotna matka żyjąca wcześniej z zasiłków, która spełniła swe literackie marzenie i zarobiła przy tym fortunę, stała się dla mediów bohaterką współczesnej baśni. Najlepszym dowodem na to, w co wszyscy chcielibyśmy wierzyć – że czary istnieją, a dobro zwycięża.

We fragmencie dziennika opublikowanym w „Sunday Times” w lipcu 1998 r. sama Rowling stwierdza, że to właśnie po ogłoszeniu tej decyzji „jej życie zmieniło się z dnia na dzień”. Dosłownie, bo decyzja zapadła w nocy czasu brytyjskiego, a już następnego ranka pisarkę obudził telefon. „I nie przestał dzwonić przez cały tydzień – wspomina Rowling. – Dla prasy to była historia kopciuszka. Spłukana, rozwiedziona matka pisze w kawiarni, gdy jej córeczka drzemie obok, i trafia na żyłą złota. Nigdy wcześniej nie spodziewałam się, że ktoś zainteresuje się mną osobie. W najśmielszych fantazjach nie sięgałam dalej niż samo wydanie książki,

J.K. Rowling, 2018 r.

a recenzja w porządnej gazecie to już był szczyt marzeń. Zobaczyć nagle własną twarz wyszczerzoną z pół tuzina gazet i podpisaną »Joanne Rowling, samotna matka bez grosza« to było doświadczenie, które zbiło mnie z tropu».

Oczywiście nie jest tak, że w dowolny gniot wystarczy zainwestować sto tysięcy dolarów, by przemienić go w międzynarodowy *bestseller*, o czym zresztą wkrótce boleśnie przekonali się imitatorzy, bez opamiętania kupujący prawa do kolejnych niedoszłych młodzieżowych przebojów. Książka Rowling była wyjątkowa, a stworzony przez nią świat – urzekający. A jednak wszystkim wskazuje na to, że bez magicznych stu tysięcy ani autorka, ani jej dzieło nigdy nie zmieniłyby się z kaczątka w łabędzia. Czasem po prostu potrzeba odrobiny szczęścia.

Pieniądz rodzi pieniądz. Kto ma, temu będzie dodane. W wyniku inwestycji wydawnictwa Scholastic książka Rowling sama stała się kamieniem filozoficznym zdolnym zamienić w złoto absolutnie wszystko, czego dotknie.

Całe mnóstwo drobiazgów

Od czasu owej fortunnej transakcji Harry Potter stał się Usainem Boltem literatury. Pędził przez świat ustanawiając kolejne nieprawdopodobne rekordy i wprowadzając konkurentów w osłupienie.

Nie minął jeszcze rok, a 105 tys. dolarów, jakie za prawo do amerykańskiego wydania zapłaciło Scholastic, wydawało się już nieistotne przy 1,3 mln dolarów (okrągły milion funtów), jakie Rowling dostała od wytwórni Warner Bros. za prawa do ekranizacji książki.

Jeszcze śmieszniej przedstawiają się początkowe „dobre” wyniki sprzedaży. W roku 1998, a więc zaledwie rok po pięćsetegzemplarzowym debiucie, Bloomsbury sprzedało 763 tys. kopii pierwszych dwóch tomów sagi o Harrym Potterze. W roku 1999 – kolejne 1,3 mln, a do tego 1,25 mln trzeciego tomu. W lipcu roku 2000 czwarty tom sagi, „Harry Potter i Czara Ognia”, sprzedał się w ponad 5 mln egzemplarzy... w dniu premiery, ustanawiając tym samym rekord wszech czasów.

Dalszą sprzedaż książek nakręcały premiery kolejnych filmów. Pierwszy z nich wszedł na ekrany w listopadzie 2001 r., wypełniając kina po brzegi i zarabiając w weekend otwarcia 93 mln dolarów. Łącznie osiem filmów (ostatni tom sagi

Harry Potter, choć urodzony pod koniec ubiegłego stulecia, jest niewątpliwie cudownym dzieckiem XXI wieku, bratem Apple’a czy Tesli.

rozbito na dwie części) przyniosło wytwórni ponad 9 mld dolarów.

Niemal drugie tyle (dane z lat 1998–2018) przyniósł *merchandising*, czyli sprzedaż gadżetów ozdobionych wizerunkami postaci, miejsc czy symboli związanych z serią. Mali czarodzieje trafili na kubeczki, zeszyty i koszulki. Można sobie kupić kolekcjonerską figurkę Harry’ego (albo dowolnego trzecioplanowego bohatera) lub zbudować Hogwart z klocków Lego. Chętni mogą zjeść czekoladową żabę i jak bohaterowie powieści zbierać karty kolekcjonerskie z czarodziejami, a nawet spróbować fasolek wszystkich smaków Bertiego Botta (producent zatroszczył się o realizm i w paczce obok nudnych wiśni czy cynamonu naprawdę można trafić na cukierki o smaku gluta, wymiocin czy mydła, nie polecam).

Myliliby się srogo ten, kto by myślał, że napisanie wspaniałej powieści to jedno, a rozmielenie się na drobne i sprzedaż temperówek to zupełnie co innego. Każdy sprzedany gadżet nie tylko zasilął budżet dawnej „samotnej matki bez grosza”, ale też powiększał mierzony różnymi współczynnikami sukces „Pottera”. Bogactwo powieściowego świata znalazło odzwierciedlenie w bogactwie dostępnych towarów. Każdy z nich niósł ze sobą mitologię Harry’ego Pottera, dając fanom kolejną sposobność, by choć na chwilę zagrościć w ukochanym świecie.

Miliony oddanych fanów

Wszystko to możliwe było dzięki kultowi, jaki wytworzył się wokół serii. Fani wypatrywali wszelkich informacji o kolejnych przygodach bohaterów, co stworzyło niszę dla paparazzi i czarny rynek przecieków, a nawet pirackich przekładów.

Pamiętam, jak moja młodsza siostra, darząca język angielski pewną niechęcią, Harry’ego Pottera zaś wielką miłością,

ściągnęła z internetu stworzony przez rodzimych fanów przekład jednego z tomów, bo nie mogła się doczekać oficjalnej polskiej premiery. Zakradłem się wtedy do jej komputera i dopisałem w pliku z książką rozdział o krwiozerczych mandarynkach pożerających Harry’ego i jego przyjaciół. Nie był to może dowcip najwyższych lotów, ale nie potrafię się nie uśmiechnąć, kiedy to wspominam. Fred i George, pomysłowi wynalazcy m.in. omdlejków gryłazowych, lipnej różdżki i wspomnianego q-py-bloku, z pewnością byłiby ze mnie dumni.

Ale to, co ja robiłem dla głupiego figla, tysiące osób na całym świecie robią z pasji. „Harry Potter” idealnie wstrzelił się w kluczowy moment rozwoju internetu i stworzył bezprecedensową kulturę fanowską, spełniającą się m.in. w tworzeniu własnych mniej lub bardziej udanych opowiadań osadzonych w ukochanym świecie.

Entuzjazm fanów jest szczerzy i spontaniczny, co nie znaczy, że sprytnie nim nie zarządzano. Dość wspomnieć rozpoczynające się o północy uroczyste premiery kolejnych tomów, tajemnicę, jaką otoczone były szczegóły fabuły, czy monstrialne kolejki ustawiające się przed księgarniami nawet na kilka dni przed premierą. Także pod tym względem Harry Potter, choć urodzony pod koniec ubiegłego stulecia, jest niewątpliwie cudownym dzieckiem XXI wieku, bratem Apple’a czy Tesli.

Sztuka tworzenia hitów polega dziś nie tylko na pisaniu, filmowaniu, produkowaniu samochodów albo telefonów, ale też na umiejętnym zarządzaniu ową przedziwną mieszanką szaleństwa, mody i niepewności, którą Amerykanie nazywają *hype*. Rowling nie wychodziła wprawdzie na scenę, by zachwalać swoją nową powieść w stylu Steve’a Jobsa czy Elona Muska, ale to właśnie rytm kolejnych premier, oczekiwania i domysłów był tym, co uczyniło „Harry’ego Pottera” kultowym, przemieniając go ze zwykłej książki w symbol tożsamości i doświadczenie pokoleniowe.

Coś nowego, coś starego, coś znanego, coś dziwnego

Próbowałem policzyć, czy więcej jest rozpraw poświęconych oryginalności i nowatorstwu powieści Rowling, czy raczej tych skupiających się na odtworczym charakterze wielu wątków i silnym

→ osadzeniu w doskonale znanych, ograniczonych wręcz motywach. Żeby było jasne: autorzy z obydwu grup mają pełną rację.

Wygłada na to, że kolejny sekret „Harry’ego Pottera” wiąże się z wyjątkowym, doskonałym wręcz połączeniem nowego i starego. To ucieleśnienie złotej zasady designu, którą najprecyzyjniej sformułował genialny projektant Raymond Loewy. MAYA – *most advanced yet acceptable* (najbardziej zaawansowane, co ludzie przyjmą). Największy sukces, co potwierdza wiele badań, odnoszą dzieła, które wykraczają poza to, co znajome, zachowując się dokładnie o krok przed granicą tego, co zbyt dziwne.

Ale sprawa z „Harrym Potterem” przedstawia się jeszcze ciekawiej. Bo to nie książka, lecz seria, która dorasta wraz z czytelnikami. Oznacza to stopniowe rozbudowywanie świata i jego mitologii o coraz nowe elementy, poruszanie coraz poważniejszych problemów, ale też przyrost epickości nieco podobny do tego, jaki dokonał się między „Hobbitem” a „Władcą pierścieni” Tolkiena.

Dynamiczne połączenie nowego i starego umożliwiło Rowling bardzo ciekawy zabieg, jakim jest synteza tego, co znane, z tym, co dziwne. Wykreowany przez nią czarodziejski świat to eskapistyczna fantazja w stylu „Opowieści z Narnii”, a zarazem (a może także: przez to) rzeczywistość na wskroś brytyjska. To kolejny ważny składnik sukcesu „Pottera”. Brytyjscy czytelnicy odnajdywali w tym egzotycznym świecie swoją codzienność i własną ekscentryczność (brytyjski przedmiot dumy), przetłumaczoną na język czarów i stworów. Z kolei czytelnicy zagraniczni (w szczególności amerykańscy) w serii przygód Pottera znajdowali idealne odzwierciedlenie swojej fantazji o tym, co stereotypowo brytyjskie.

Brytyjskość „Harry’ego Pottera” realizuje się w pobocznych szczegółach, takich jak opisy mieszczańskiego życia mugoli, krytyka elitarnej klasy urzędniczej czy stosunek do zwierząt (kraj ogarów i koni), ale przenika też do samego serca opowieści. Na poziomie fabularnym „Harry Potter” to klasyczna *boarding school novel* – powieść o dorastaniu, przyjaźni i psotach rozgrywająca się w elitarnej szkole z internatem. Przypisanie do domów, specyficzne formy rywalizacji, rówieśniczej przemocy i solidarności, elitarne kluby i dziwaczne sporty – to wszystko rzeczywistość doskonale

To nie przypadek, że Przemysław Staroń, nauczyciel roku 2018 przy każdej okazji **podkreśla przywiązanie do ideałów Hogwartu.**

znana z Eaton, Harrow czy dziesiątek angielskich szkół ukrywanych pod pseudonimami lub wymyślonych na potrzeby powieści.

Pierwotnie *boarding school novels* to nostalgiczne opowieści o szczęśliwych szkolnych dniach, małym wszechświecie, w którym ostatecznie wszystko kończy się dobrze. Dlatego właśnie, przynajmniej na początku serii, rywalizacja z Draco Malfoyem i jego bandą ze Slytherinu jest długo ważniejsza i bardziej pasjonująca niż walka ze złowrogim cieniem czarnoksiężnika Voldemorta. Wynik meczu quidditcha interesuje nas bardziej niż tytułowy kamień filozoficzny.

Ale „Harry Potter” to seria powieści o dojrzewaniu, która sama dojrzewa. Punkt przełomowy można wskazać bardzo dokładnie. To sam środek czwartego tomu (a zarazem środka serii). Moment, gdy jako czytelnicy uświadamiamy sobie, że nie ma znaczenia, kto wygra słynny Turniej Trójmagiczny między szkołami magii, bo gra toczy się o znacznie wyższą stawkę. Od tego momentu historia przybiera coraz mroczniejsze tony. Szkolna opowieść traci swą niewinność.

To samo w historii literatury brytyjskiej dzieje się z *boarding school novels* jako gatunkiem, który stopniowo zaczyna opowiadać o coraz poważniejszych problemach. Szkoła staje się tylko sceną, a mundurek – kostiumem. Właściwym tematem zaś okazują się krew, rodzinne sekrety, silna klasowość i dziedziczenie statusu.

Wiem, że to na pierwszy rzut oka pomysły dziwne, wręcz perwersyjne, ale „Harry’ego Pottera” warto zestawić z innym bardzo brytyjskim fenomenem literackim ostatnich lat – serią mikropowieści Edwarda St Aubyna, których bohaterem jest Patrick Melrose. Mamy tam niewątpliwie do czynienia z innym rodzajem opowieści. A jednak motyw traumy z dzieciństwa jako brzemienia, które na-

znacza nas bliźną na całe życie, a także dziwny eskapizm sprawiły, że w Patricku widziałem zawsze dziwną, złowrogą karykaturę Harry’ego w świecie, w którym jedyną dostępną magią jest heroina.

Związki „Harry’ego Pottera” z brytyjską (i nie tylko) szkołą sięgają jeszcze o poziom głębiej. Powieści Rowling w wyjątkowych proporcjach łączą pochwałę edukacji opartej na przyjaźni, odwadze i wyobraźni oraz krytykę bezdusznego modelu podporządkowanego standaryzacji. To nie przypadek, że Przemysław Staroń, nauczyciel roku 2018 i jeden z najbardziej entuzjastycznych oddolnych reformatorów polskiej edukacji, przy każdej okazji podkreśla swoje przywiązanie do ideałów Hogwartu. Podobnych mu nauczycieli są dziś pewnie w Polsce i na świecie tysiące.

Oto jest prawdziwy Zakon Feniksa, który w powieści Rowling odnalazł nieoczekiwany pokoleniowy manifest. Dumbledore, charyzmatyczny dyrektor Szkoły Magii i Czarodziejstwa, to dla nas symbol pomysłowości, nadziei, ale też oporu przeciw Ministerstwu Magii, które jest zinfiltrowane nie tylko przez bezdusznych śmierciożerców, ale również przez złowrogie siły testowania i punktozy.

Podsumowanie

Wicie już zatem, co robić, jeżeli, jak Hermiona, przyjaciółka Harry’ego, dysponujecie zmieniającym czasem. Albo jeżeli pewnego dnia, jak bohater filmu „Yesterday”, po prostu obudzicie się w równoległym świecie, w którym „Harry’ego Pottera” nigdy nie napisano.

Przedstawiona tu szczegółowa formuła nie przyda się natomiast z pewnością do odtworzenia powieści w sytuacji, gdyby zawieruszyły się gdzieś wszystkie istniejące egzemplarze.

Po pierwsze – jest ich dobrze ponad 500 mln, więc musiałby to być feralny zbieg okoliczności. Po drugie, nawet gdy zagubią się wszystkie książki, zostają nam jeszcze filmy, komiksy, gry komputerowe, zestawy Lego i breloczki, z których z pewnością uda się odtworzyć literacki pierwowzór. Po trzecie i najważniejsze, Harry Potter jest trwale wryty w sercach milionów czytelników i czytelników na całym świecie.

Nie ma zaklęcia dość potężnego, by go stamtąd wymazać!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



MATERIAŁY PRASOWE

James Marsden i Evan Rachel Wood w serialu „Westworld” z 2016 r.

Serial killer

DARIUSZ KOSIŃSKI

Oglądają je wszyscy. Pytanie tylko, czy pandemia nie przyniesie końca ich niezwyklej ery.

DOSKONAŁYM NARZĘDZIEM ROZNOSE-
nia serialowych nałogów stał się od
lat internet i działające w nim serwisy
udostępniające filmy i seriale. Ich poja-
wienie się zniweczyło telewizyjny mo-
nopol i rozbiło uświęcony przez lata ry-
tualny sposób oglądania. Cotygodniowy
ceremoniał zastąpiły narkotyczne sean-
se wielogodzinnego pochłaniania całych
sezonów.

Dzięki internetowi seriale wyszły poza
living roomy, trafiając nie tylko do poko-
jów nastolatków oglądających ulubione
tytuły na laptopach, ale także do komuni-
kacji publicznej, miejsc pracy czy na sale
wykładowe. Nic tak nie zapobiega jedno-
stajności podróży czy uśnięciu na nud-
nym wykładzie, jak odpalenie kolejnego
odcinka ulubionej serii...

Gra w elitę

Technologiczna łatwość to jedno, ale rów-
nie ważną, a może nawet ważniejszą rolę
w rozwoju serialozy odegrała nowa ja-
kość wprowadzona przez „seriale nowej
generacji”. Produkcje te demonstracyj-
nie zrywały ze stereotypem łatwo przy-
swajalnych oper mydlanych, deklarując
elitarność i umiejętnie ją potwierdzając
poprzez wyrafinowane koncepty wy-
ściowe, wymagające uwagi i kompetencji
gry z tradycjami kultury (tak „wysokiej”,
jak „masowej”), zaskakujące rozwiązania
narracyjne i wizualne czy odwołania do
problematyki społecznej, kulturowych
analiz i teorii naukowych.

W większości zachowywały jednak
wszystkie tradycyjne konwencje i po-
sługiwały się (ironicznie i przewrotnie,

ale jednak) świetnie od lat znanymi sche-
matami i wątkami (zwłaszcza kryminal-
nymi i sensacyjnymi). Swoją atrakcyjność
wizualną budowały dzięki inscenizacji-
nemu rozmachowi i dbałości o szczegóły,
znanymi wcześniej głównie z wielkich
produkcji kinowych (które swoją drogą
też się mocno userialowiły). W efekcie
różne grupy publiczności dostawały od
seriali nowej generacji nieco inne, ale
równie wielkie przyjemności.

Sam oczywiście też jestem ofiarą
tamtej serialowej pandemii. Zaraziłem
się u samych źródeł, bo już w pierw-
szych minutach pierwszego odcinka
matki wszystkich seriali nowej gene-
racji – „Miasteczka Twin Peaks” Marka
Frosta i Davida Lyncha; jego coraz bar-
dziej mroczna niesamowitość przesycła
w mojej pamięci czas polskiej trans-
formacji. Potem z różnych powodów
miałem długą przerwę i nie załapałem
się nawet na pierwsze bardzo wyso-
kie fale nowych produkcji takich jak
„Rodzina Soprano”. Ale już w „Zagu-
bionych” wsiąknęłam, a „Dr House” poja-
wiał się na moich wykładach z wprowa-
dzenia do performatyki i w końcu stał
się nawet bohaterem eseju usiłującego
wyjaśnić w miarę przystępnie, czym →

→ ten nowy akademicki stwór jest. Moja historia choroby jest więc dość typowa, choć nie przechodziłem jej szczególnie ciężko.

Przerobiłem ją w szybkim tempie na ośmiu sezonach „Dr House’a”. Zaczęliśmy go z żoną oglądać w sposób bardzo tradycyjny: w polskiej telewizji, co tydzień. Bardzo szybko stało się to naszym domowym rytuałem – specjalnie przygotowani rozkładaliśmy się przed telewizorem mając nadzieję, że nic nie zakłóci godzinnej przyjemności. Wkrótce jednak okazało się, że TVP jest spóźniona, a na innym kanale kablowki równolegle pokazywany jest sezon najnowszy. Rytuał uległ więc podwojeniu, a linearna narracja – zakłóceniu: zaczęliśmy podróżować między czasami, dzięki internetowi nadrabiając zaległości i uwalniając się spod władzy telewizji. To właśnie „House” był pierwszym serialem, który oglądaliśmy przez sieć, a choć dzięki tradycjonalizmowi żony nie wpadliśmy szczęśliwie w prawdziwą narkomanię i nie wyszliśmy bodaj nigdy poza oglądanie dwóch odcinków naraz, to czasowa rytualność została mocno zachwiana.

Wkrótce zachwiana też została nasza wiara w kreacyjne możliwości twórców seriali oraz w wyporność samego gatunku: jeśli coś tak precyzyjnie wymyślonego jak „Dr House” mogło po rewelacyjnym sezonie czwartym upaść tak nisko, jak w sezonie szóstym i (związczą) siódmym, zrodziło to w nas podejrzenie, że coś w serialowym mechanizmie jest fundamentalnie skażone. A choć finał całości w pełni nas usatysfakcjonował i w jakiejś mierze wynagrodził wcześniejsze słabości, już wtedy mieliśmy świadomość, że to w świecie seriali wyjątek.

Żałośnie poplątany finał „Zaginionych”, gniewne opowieści znanych rozczarowanych zakończeniem „Dextera”, kolejne seriale, których bohaterowie nagle ginęli masowo, a rozpoczynane właśnie wątki duszono w kołaskach, bo niespodziewanie produkcję zawieszano (bodaj najbardziej klasycznym przykładem „Rzym”, najbardziej rozczarowującym mnie osobiście – „Dom grozy”) – wszystko to były oznaki, że szumnie ogłaszany tryumf „nowego serialu”, w którym widziano wielką syntezę naszych czasów, stoi na glinianych nogach.

Moment odczuwany jako szczyt powodzenia bywa często początkiem upadku.

Tak było i w przypadku seriali nowej generacji: dwie produkcje wynoszące gatunek na rekordowe poziomy stały się znakiem jego kryzysu.

Domek z kart i smok w ciemnościach

Moment odczuwany jako szczyt powodzenia bywa często początkiem upadku. Tak było i w przypadku seriali nowej generacji: dwie produkcje o znaczeniu historycznym i popularności globalnej, wynoszące gatunek na rekordowe poziomy w wielu klasyfikacjach, stały się znakiem jego kryzysu. „House of Cards” pojawił się wprawdzie później niż „Gra o tron”, ale zaczę od niego, bo jego klęska nie była aż tak spektakularna i można było ją tłumaczyć zewnętrznymi okolicznościami. Niemniej jeszcze zanim oskarżenia pod adresem Kevina Spacey wymusiły zniknięcie jego postaci, historia prezydenta Franka Underwooda zaczęła dramatycznie tracić sens, a jej konstrukcja precyzję.

Był to pierwszy serial wyprodukowany przez Netfliksa, był też jednym z pierwszych, które tak dramatycznie ujawniły niemożności wpisane w samą logikę wielkich produkcji, rozciągających niemiłosiernie fabuły, mnożących wątki i marnujących najważniejsze źródła swojej mocy poprzez ich stopniowe rozwadnianie. Poziom niekonsekwencji, wewnętrzne sprzeczności fabuły i utrata najciekawszych elementów relacji między postaciami (rozbitcie szczególnej więzi między małżeństwem Underwoodów to więcej niż zbrodnia – to głupota) spowodowały, że przestaliśmy (tym razem z synem, żony to od początku nie wciągnęło) oglądać „House of Cards” już w trakcie przedostatniego sezonu.

Ale katastrofą spektakularną był ostatni sezon „Gry o tron”, który obok trzeciej trylogii „Gwiezdnych wojen” stał się bodaj najczęściej i najokrutniej obśmiewaną produkcją masową ostatnich

lat. Winę za to ponoszą przede wszystkim niekonsekwencje scenarzystów, którzy pogubili się w nadmiernie skomplikowanej materii. W efekcie obiecywane przez kilka lat rozwiązanie Wielkich Tajemnic okazały się bez znaczenia, a cała „epicka opowieść” zakończyła się w sposób godny drugorzędnej podróbki „Dynastii”. Zamiast przynieść obiecywane olśnienia i oczyszczenia, największa produkcja serialowa ostatnich lat zapadła się na naszych oczach obnażając fikcję wszechmocności gatunku.

Apokalipsa świata fantazji

Pozornie nic się nie stało. Powstają kolejne sezony tytułów już istniejących i produkcje nowe. Serwisy w czasie pandemii rosną w siłę (liczba subskrybentów Netfliksa wzrosła w pierwszym kwartale tego roku o 15,77 mln widzów). Magazyny telewizyjne piszą głównie o serialach, a badacze i krytycy odkrywają w kolejnych tytułach pokłady niezwykłych diagnoz społecznych, naukowych refleksji nad naturą świata i *conditio humana*.

Ale gdy John Oliver żartuje, że najpopularniejszym serialem na Netflixie jest 40 minut przeglądania oferty, by stwierdzić, że nie ma co oglądać, dowcip, choć śmieszny, jest boleśnie trafny. Jeszcze jedna opowieść o małym mieście, które pod pozorami senności kryje straszliwą tajemnicę odkrywaną przez wypalonego detektywa z metropolii konfrontującego się z traumami dzieciństwa. Jeszcze jedna dystopijna wizja przyszłości w sensacyjnej formie inscenizująca modne akademickie teorie (po bełkocie, w jaki od drugiego sezonu wpadł zbudowany według tej właśnie recepty „Westworld”, długo po ten typ serialu nie sięgnę). Jeszcze jedna opowiastka o superbohaterach z politycznym przesłaniem o subtelności cepa. Jeszcze jedno nostalgiczne wspomnienie z egzotycznych czasów młodości bez internetu. Jeszcze jedna historyczna fantazja o wielkim rodzie... Oliverowskie 40 minut mija, a ja coraz jaśniej uświadamiam sobie, że serialowa kultura nadmiaru weszła w fazę dekadencji.

Ale czy mogło być inaczej? Zasadą serialu jest – to oczywiste – seryjność. Jego istnienie polega na tym, że wytwarza ciąg, który z założenia ma trwać jak najdłużej. Odmienność seriali nowej generacji polegała na połączeniu ekscentryczności konceptów wyjściowych z rozmachem inscenizacyjnym pozwalającym na tworze-



Sherilyn Fenn, Lara Flynn Boyle i James Marshall w serialu „Miasteczko Twin Peaks” z 1990 r.

nie wciągających światów równoległych. W odróżnieniu od oper mydlanych i tele-nowel seriale te nie dążyły do przekonania widzów, że mówią o znanej im z doświadczenia rzeczywistości, ale wytwarzały jej mniej lub bardziej radykalne alternatywy rządzące się swoimi prawami.

Mógł o nich decydować geniusz jednostki (Dexter, House, Underwood), specjalna etyka organizacji (mafia, wampiry, piraci, więźniowie) czy anachroniczny kontekst historyczny (Rzym, Wikingowie, angielska arystokracja, Madison Avenue u progu lat 60.). Równie często były to stopniowo poznawane zasady

obowiązujące w światach fantastycznych. „Nowe” seriale były w większości jawnie inscenizowanymi fantazjami, które – jak wszelkie fantazje – ujawniały mniej lub bardziej ukryte pragnienia i lęki, zarazem chroniąc przed uleganiem im i pozwalając na ich przeżywanie. Związana z tym przyjemność jest jedną z najsilniejszych, nawet jeśli wyjście spod jej oddziaływania bywa bardzo bolesne.

W pierwszych dekadach nowego stulecia seriale dostarczały jej w sposób szczególnie efektywny. Jednak wraz z końcem drugiej dekady coś się w tym me-

chanizmie zacięło. Wiąże się to z nieusuwalnymi regułami produkcji, sprawiającymi, że repertuar serialowych rozwiązań wcale nie jest nieograniczony, a sama konieczność wytworzenia serii przyciągającej i utrzymującej uwagę w pewnym momencie zaczyna działać przeciwko serialowi, nie pozwalając na satysfakcjonujące domknięcie opowieści i rozciągając ją nie miłosiernie.

Fantazja zamienia się w koszmar, a wielość cząstkowych (nie)końców sprawia, że gdy nadchodzi ostateczne zakończenie, z jego perspektywy serial nagle okazuje się rozczarowująco pusty i nieważki, budząc irytację: tyle czasu poświęciliśmy na coś tak miałego?! Dziś irytacja ta odczuwalna jest silniej, bo możemy za jednym posiedzeniem (cóż z tego, że długim) obejrzeć całość, wyraźniej niż dawny widz cotygodniowy dostrzegając jej niekonsekwencje i zarazem mocniej odczuwając fizyczną stratę czasu.

Być może jest tak, że kryzys seriali nowej generacji ujawnia coś, czego nie zauważyli ich orędownicy nazywający ich erę „postsoap” – pomydłaną. Sprzeczności, które rozsadzają głośne produkcje ostatnich lat, nie wydają się szkodzić tele-nowelom i operom mydlanym. Przyjemność z nimi związana polega na tym, że tworzące je wątki dramatyczne nie mają końca, pączkując nieustannie jedno z drugich w monstrualnych łańcuchach. Ich zagorzali widzowie to oczywiście specyficzna grupa, mniej lub bardziej świadomie oddająca się takiej właśnie przyjemności – oglądania ciągu. Seriale nowej generacji zdołały przebić się poza tę bańkę, wytwarzając czasowo skuteczne przekonanie, że serial może być wyjątkowym narzędziem kulturowej diagnozy, specjalną opowieścią o nas samych.

Przez dwie dekady to się rzeczywiście udawało i warto zapytać, dlaczego nasz przełom tysiącleci z taką intensywnością seryjnie fantazjował o amoralnych geniuszach, ukrytych pod powierzchnią codzienności potwornościach, światach równoległych i apokalipsie rodzaju ludzkiego. Ale formułowanie wniosków o trwałej czy generalnej wyższości serialu jako formatu jest przesadą.

Czas seriali właśnie się kończy, a pandemiczne oglądanie może ten proces schyłku jedynie przyspieszyć. W serii podobnych do siebie dni można zniecierpliwić napis „ciąg dalszy nastąpi”.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

W swoim ciele

JOANNA SZCZĘSNA

Darek Milewski znalazł się w pułapce bytu, bo jego choroby ani się nie leczy, ani nie da się spowolnić. Wziął na siebie ambitne zadanie – przekazać nieprzekazywalne.

KIEDY CZYTAM, ŻE „WSZELKIE PODOBIEŃSTWA powieściowych bohaterów do osób występujących w realu są niezamierzone i przypadkowe”, od razu w głowie uruchamia mi się brzęczyk i zaczynam kombinować, o co chodzi. Tym razem jednak autor nie zabezpiecza się przed pozwami o zniesławienie, tylko ciach, odcina się od swego bohatera i zarazem narratora, Daniela Kota, informatyka/programisty, który kiedyś – podobnie jak on sam – był w międzynarodowych korporacjach z Doliny Krzemowej specjalistą ds. bezpieczeństwa i „zarządzania ryzykiem” (cokolwiek to znaczy). Teraz – cóż za zbieg okoliczności – podobnie jak autor mieszka z żoną na wyspie Vashon w zatoce Puget Sound na południe od Seattle i – podobnie jak on – choruje na stwardnienie zanikowe boczne (ALS).

Choroba zafundowała im obu – autorowi i narratorowi – dożywocie w odmawiający posłuszeństwa ciele, zostawiwszy na pocieszenie pamięć, inteligencję,

jasność umysłu, poczucie humoru i... możliwość poruszania jednym palcem, tym, którym pokazujemy fucka. Usztyniony specjalną deseczką palec środkowy też jest tu zresztą bohaterem, już to krzycząc czerwoną czcionką z okładki „Książka napisana jednym palcem!”, już to obsługując syntezator mowy, dzięki któremu Kot porozumiewa się z otoczeniem, już to naciskając w sytuacji zagrożenia życia przycisk „Alarm!”.

Fabula z życia

Reportaż z pola bitwy, gdzie wrogiem jest postępująca, nieuleczalna choroba, sprawozdanie z codziennej nudy i rutyny, relacja z osławiania bólu i cierpienia, raport z eschatologicznego natręctwa myśli – takie książki mają swoich wcale licznych czytelników, lubiących „prawdziwe historie”. Wystarczy sięgnąć do „New York Timesa”, niemal zawsze któraś z nich okupuje listę bestsellerów. Ale Darek Milewski nie chciał pisać literatury faktu, uparł się, że ma to być powieść, choć zdo-

był się na mały kompromis zaznaczając: „oparta na osobistych doświadczeniach autora”.

Jasne, że wiem, czym różni się autor od narratora, uczyli mnie tego na polonistyce. Dlaczego zatem wbrew woli autora nie potrafię oddzielić go od Daniela Kota? Czy ten rodzaj obywatelskiego, sorry, cytelniczego nieposłuszeństwa to coś, co Darek Milewski skłonny byłby mi wybaczyć? Przecież z jakiegoś powodu zdecydował się ukrywać za swoim *alter ego*.

No więc myślę, że zawsze ciągnęło go w stronę literatury. W młodości pisywał wiersze i recenzje teatralne. Ale przymierzał się też do prozy. Po raz pierwszy, gdy zaprzyjaźnionej powieściopisarce i scenarzystce Katarzynie Leżeńskiej opowiedział o zwycięskiej walce z rakiem, jaką stoczyła jego nastoletnia pasierbica, co zaowocowało powieścią „Kamień w sercu” (był tajnym współautorem). Po raz drugi, kiedy – zachęcony udaną współpracą – napisał wraz z Leżeńską, tym razem już z odkrytą przyłbicą, powieść „Hakus pokus”, do której wniósł swoją wiedzę o bezpieczeństwie w sieci i walce z hackerami. Cóż, nie powinno mnie dziwić, że zamarzyła mu się kolejna fabuła z własnego życia.

Ale myślę, że – po drugie – chciał nadać doświadczeniu swej choroby literacką formę z pewnego rodzaju dumy (by nie powiedzieć pychy), niechęci do użalania się nad sobą, sprzeciwu wobec postrzegania go jako ofiary, dystansowania się od siebie bezradnego, bezsilnego i zda-

Z głębokim smutkiem żegnamy

Ś.†P.

Profesora Franciszka Ziejkę

humanistę, wybitnego historyka literatury, propagatora języka i kultury polskiej w świecie, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1999–2005.

Kierując od 2005 roku Społecznym Komitetem Odnowy Zabytków Krakowa, prof. Franciszek Ziejka kontynuował misję na rzecz przywrócenia do pełnej świetności narodowego, a zarazem wielokulturowego dziedzictwa naszego miasta.

Komitet pod Jego przewodnictwem weryfikował potrzeby konserwatorskie Krakowa, rozwijał współpracę z kolejnymi prezydentami Rzeczypospolitej Polskiej, z wojewodami małopolskimi i władzami miasta Krakowa, z władzami konserwatorskimi, z właścicielami i użytkownikami zabytków, z organizacjami pozarządowymi skupiającymi miłośników zabytków.

Był dla nas wzorem obywatelskiej postawy: bezinteresownej, ofiarnej pracy na rzecz dobra wspólnego i wspólnych ideałów.

Dołożymy wszelkich sił, aby kontynuować Jego dzieło.

SPÓŁECZNY KOMITET ODNOWY ZABYTEKÓW KRAKOWA

nego na łaskę innych, a także ze strachu (może zawstydzenia?) przed obnażeniem się i wystawianiem na widok publiczny mizerności własnej egzystencji. Paradoksalnie kierowała nim też potrzeba udowodnienia, że choroba go nie zmieniła, że nadal jest tym samym, kreatywnym, dowcipnym, pełnym nowych pomysłów panem swego losu. I to właśnie utrudnia mi myślenie o nim i Danielu Kocie jako o dwóch odrębnych bytach.

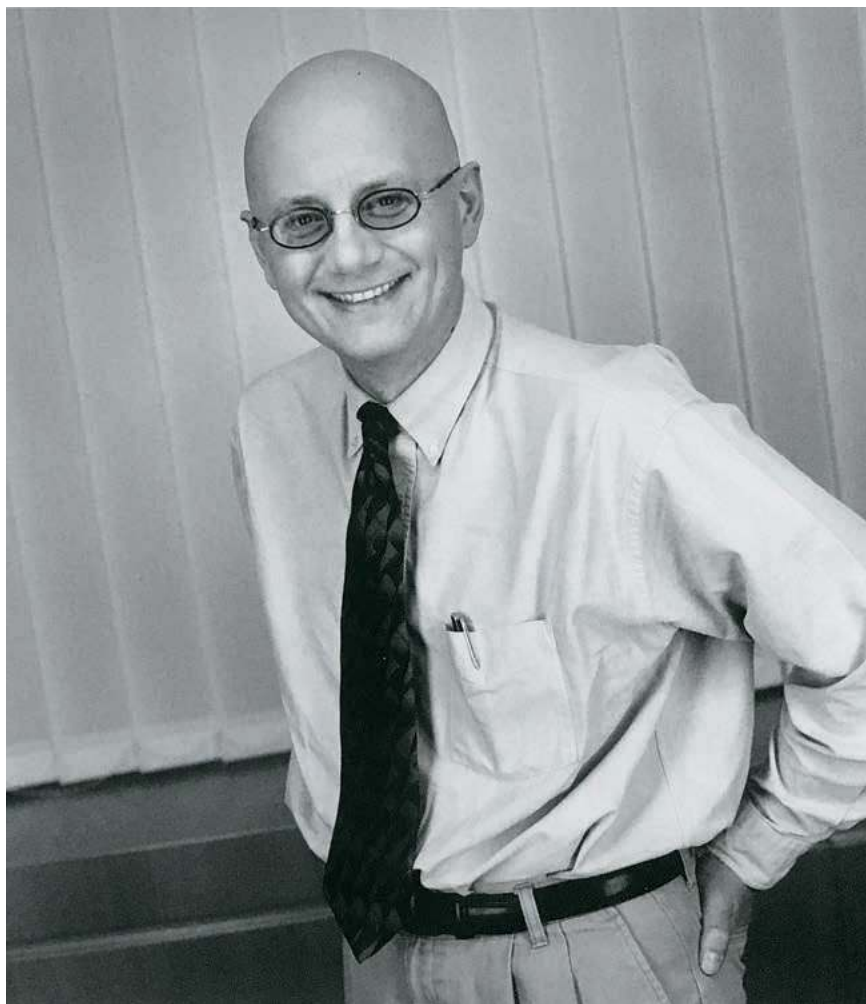
Nie drap się

ALS to choroba wybrańców, zaledwie 350 tys. przypadków na świecie. Etiologia – nieznana. Przebieg – indywidualny, a nawet kapryśny. Średnia przeżycia od diagnozy – dwa i pół roku. Ale pamiętajmy o Stephenie Hawkingu, rekordzście w sztuce przetrwania z ALS – 55 lat. No cóż, jak chory uprze się żyć, medycyna jest bezradna.

Pierwsze uderzenie choroby (niewinne przeciąganie głosek, lekkie niedowłady) przyszło przed siedmioma laty, dwa lata później uderzyło na odlew i mocniej (nagłe upadki na wznak, torsje nie do opanowania). I tak Milewski znalazł się w pułapce bytu, bo jego choroby ani się nie leczy, ani nie da się spowolnić. Wziął na siebie ambitne zadanie – przekazać nieprzekazywalne.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy choroba czaiła się już w ciele autora „Małego wielkiego tygodnia” (swoją drogą, mocny i znaczący tytuł), ja czytałam esej „Noc” Tony’ego Judta. Wybitny historyk, którego dopadło ALS, ułożony z wieczora do snu przez pielęgniarkę musiał bez ruchu wytrwać do rana, a że sen nie nadchodził, zaczął podróżować po własnym umyśle i eksplorować wspomnienia, z czego zrodziła się cała książka – „Pensjonat pamięci”.

Uczucia, jakie wyzwoliła we mnie ta lektura, nazwałabym gwałtownym atakiem empatii. Wzmianka rzucona mimochodem, że autor godzinami znosi śwedzenie, bo nie ma jak się podrapać, a im bardziej nie może się podrapać, tym bardziej go śwędzi, stała się dla mnie symbolem katuszy, jakie przeżywają więźniowie własnego ciała. Potem przez kilka kolejnych nocy próbowałam w masochistycznym akcie solidarności nie drapać się nawet wtedy, kiedy ugryzł mnie komar (mieszkałam na warszawskim Powiślu, gdzie komarów dostatek), ale okazało się to ponad moje siły.



LIDIA POPIEL / ARCHIWUM PRYWATNE

Darek Milewski, 2002 r.

Koktajl Sokratesa

Za lekturę książki Milewskiego wzięłam się z początkiem pandemii i czytałam ją przy akompaniamencie dobiegających zewsząd skarg na uwięzienie w domu, izolację, samotność. Nie umiałam się tym przejąć, bo akurat przejmowałam się czymś innym: rozpaczliwym przesłaniem autora/bohatera „Małego wielkiego tygodnia”, który jeszcze niedawno był dynamicznym pięćdziesięciolatkiem u szczytu zawodowej kariery, a którego choroba trafiła w locie, by stopniowo, ale systematycznie i z żelazną konsekwencją obezwładniać mu kolejne mięśnie, odbierać kolejne przyjemności, kasować kolejne umiejętności.

No więc leży teraz bezwładny niczym kłoda, zatrzaśnięty w swoim ciele, nie może mówić, przełyka z trudem, dławi się i krztusi. Na noc zakłada mu się maskę wspomagającą oddychanie i wentylującą płuca, bo inaczej by się udusił. Na

dzień potrzebuje pomocy przy dosłownie każdej czynności: wstawaniu, ubieraniu, karmieniu, pojeniu, higienicznych zabiegach, rozbieraniu, układaniu do snu.

Na fizyczne dolegliwości nakłada się dyskomfort duszy – obawa, czy nie wywołuje u bliskich fizycznego obrzydzenia, coś jakby wstyd, że jest aż tak bezradny, aż tak uzależniony od pomocy innych. Również finansowej, bo np. na vana przystosowanego dla niepełnosprawnych złożyli się koledzy, choć prawdę mówiąc nie wiem, czy to koledzy Darka, czy koledzy Daniela, w końcu powieść to nie autobiografia. I to wszystko przydarza się człowiekowi, który „zarządzał ryzykiem” w korporacyjnych gigantach.

Narrator w swojej opowieści dzień po dniu z jednego tygodnia z życia swego bohatera nie ucieka od fizjologii, opisy momentami bywają drastyczne, powiedzmy: naturalistyczne, ale łągodzi je sarkastyczne poczucie humoru. To właściwie

→ jedyna broń, jaka mu została, by bokować się z Losem (aż się prosi, żeby pokazać mu fucka). W realu zaś autor w odruchu buntu przeciw niesprawiedliwości Losu z agnostyka przekształcił się w ateistę.

Nie ukrywam, to przygnębiająca lektura, choć nikt tu specjalnie nie epatuje cierpieniem czy rozpaczą. Ale śmierć jest ciągle obok, na wyciągnięcie ręki. W stanie Waszyngton prawo zezwala na coś w rodzaju wspomaganego samobójstwa. Darek (podobnie jak Daniel Kot) został zakwalifikowany do programu „Śmierć z Godnością” i wszystkie procedury odejścia oraz koktajl Sokratesa, który najpierw go uśpi, a potem przeprowadzi na drugą stronę – czekają na jego znak.

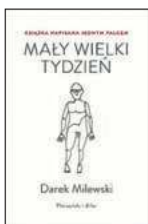
Syntezytor

Nie znajduję żadnych słów, by spuentować tę historię. Wszystko, co mogłabym powiedzieć, wydaje mi się blade wobec świadomości, że to nie mnie/nam stuka licznik. Ale spróbuję.

W moim prywatnym rankingu krajobrazy w stanie Waszyngton zajmują wysoko punktowane miejsce. Mam nadzieję, że Daniel Kot (podobnie jak Darek Milewski) siedząc na tarasie w swoim domu z widokiem na zatokę i wulkan Mount Rainer pasie oczy ich pięknem. Obok niego – kochająca i oddana żona, z wizytą właśnie przyszła córka (udało mu się doczekać, aż zdała maturę i wyfrunęła z domu!).

I na koniec coś, co zrobiło na mnie największe wrażenie: Darek Milewski, przepraszam, Daniel Kot, każdego ranka budzi się w olbrzymim małżeńskim łóżu, włącza swój syntetyzator mowy, zwany przez niego czule gadaczem, który ma za zadanie obudzić żonę i wykopać ją z pościeli, a wokół niego kotłują się śpiące z nimi dwa duże psy.

Czy mogę uważać, że to luksusy, które nie każdemu się trafiają, kiedy nadejdzie jego czas? © JOANNA SZCZĘSNA



Darek Milewski
MAŁY WIELKI TYDZIEŃ
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2020



MATERIAŁY PRASOWE

August Diehl w filmie „Ukryte życie”

Cienka linia

ANITA PIOTROWSKA

„Ukryte życie” ma pasyjną kompozycję, punktowaną niczym droga krzyżowa. Oglądając kolejne stacje, chciałoby się zapytać: czy człowiek zboczy?

GÓRSKĄ ŁĄKĄ, POŚRÓD ŚPIEWU I KOścielnych dzwonów, kroczy procesja Bożego Ciała. Do dziewczynek w białych sukienkach i kwiatnych wiankach próbują dołączyć trzy inne, nieodświętnie ubrane. Zostają przegonione i choć ksiądz próbuje załagodzić sytuację, będzie to jedna z wielu prawdziwie męczeńskich scen, jakimi przepełniony jest najnowszy film Terrence’a Malicka.

Historia cierpienia austriackiego rolnika Franza Jägerstättera, który niedługo po anslusie sprzeciwił się ideologii nazistowskiej, za co został stracony, a jego rodzina wyklęta przez lokalną społeczność, światową premierę miała ponad rok temu, lecz nie trafiła na ekrany naszych kin. A szkoda, bo w kraju, którego większość mieszkańców deklaruje się jako katolicka, opowieść o człowieku beatyfikowanym przez poprzedniego papieża to rzadki przykład czystego kina religijnego. Również w swym wymiarze oskarżycielskim mogłaby dawać sporo do myślenia. „Co się stało z naszym krajem?” – dopytuje bohater w słynnych Malickowych monologach zza kadru, tym razem wziętych wprost z zapisków i listów męczennika.

Autentyczne zdarzenia z wioski St. Radegund wpisują się w manichejską obesję upadku i skażenia, tak charakterystyczną dla kina amerykańskiego reżysera. Nad idylliczną dolinę nadciągają ciemne chmury, kiedy powołany do wojska młody gospodarz (w tej roli August Diehl), przekonawszy się już, czym jest wojna, odmawia złożenia przysięgi Hitlerowi.

Czarno-białe archiwalia z frontu czy materiały propagandowe Leni Riefenstahl zderza Malick z obrazami prostego życia na roli. Poetyckie wizje wspólnych sianokosów i wypasów będą niczym raj utracony w obliczu znoju, jaki czeka rodzinę Franza, kiedy ten trafia do więzienia. Wiele zresztą miejsca zajmuje na ekranie ów pozostawiony samemu sobie kobiecy świat, wypełniony cichym heroizmem dnia codziennego. Twórca w ciekawy sposób zestawia także dwa języki: angielski i niemiecki, co nie jest wyłącznie ukłonem w stronę międzynarodowej koprodukcji.

Światem Malicka rządzi zasada powtarzalności. Zmieniające się pory roku przekładają się na kolejne cykle martyrologii bohatera i na gęstą wymianę korespondencji z ukochaną żoną

Fani (Valerie Pachner). Prześwietlony zostaje w ten sposób moralny kościół Jägerstättera, którego głównym budulcem jest wiara – to w niej Franz znajduje sens dla swych życiowych wyborów. Tym trudniejszych, że ofiarami stają się też jego najbliżsi. Czy owa wiara może zatem kogokolwiek ocalić?

„Ukryte życie” aż pęcznieje od tego rodzaju teologicznych spekulacji. Rozważania o naturze ludzkiej, o istocie religijności, prawdy, dobra i zła wręcz wylewają się z ekranu. Kaskadom słów towarzyszy gorączka obrazów: torturowania, poniżania, samotności wśród ludzi i zwyczajnego konformizmu, który nadspodziewanie łatwo wyradza się w ostracyzm. Przycupnięta w górach malownicza miejscowość, z obowiązkowym kościółkiem i gospodą, staje się małym laboratorium zachowań stadnych skierowanych przeciwko tym, którzy mieli odwagę zachować się inaczej.

Michael Haneke w „Białej wstążce” na przykładzie niemieckiej wsi z początków XX wieku opowiadał, jak tępe posłuszeństwo i złe instynkty mogą stać się podglebiem dla zbrodniczej ideologii. Malicki, dla odmiany, pokazuje ideologię, która potrafi wyzwalać najgorsze instynkty. I religię w służbie nowej władzy – bo gdy trzeba będzie, to kościelne dzwony przetopi się na hitlerowskie pociski.

Zaczerpnięty z powieści George Eliot tytuł filmu oddaje hołd nie tylko samemu Jägerstätterowi, bo o niego przecież w końcu upomniała się i historia, i Kościół. W swym samotnym bohaterstwie wielu pozostało całkowicie ukrytych. Równocześnie hagiografia pisana przez twórcę „Niebiańskich dni” (1978) stanowi pewnego rodzaju wyzwanie: trwa prawie trzy godziny i jeśli ktoś ma alergię na taki język filmowy – pełen fałujących zbożem, rozszepianych kadrów, rozmodlonej przyrody i wymownego milczenia Boga, będzie reagować cokolwiek nerwowo.

W „Ukrytym życiu” nic bowiem nie pozostaje ukryte. Ponieważ tylko natura, surowa i obojętna w swoim pięknie, potrafi mówić prawdę, trzeba ją celebrować do upadłego. Także apoteoza bohaterstwa, wyrosłego z głęboko pojmowanej wiary, odbywa się na najwyższym z możliwych diapazonów. Służy temu roztańczona kamera Jörga Widmera, z szerokokątnym obiektywem i światłem jak u Vermeera, ale również muzyka – raz sakralna (Bach i Górecki), to znów twórczo

wykorzystująca odgłosy natury (James Newton Howard).

Otrzymujemy zatem sążnisty poemat metafizyczno-panteistyczny, tyleż imponujący bogactwem formy i bezkompromisowym przesłaniem, co irytujący wybujałą estetyką. Cienka czerwona linia pomiędzy konsekwencją w używaniu własnego stylu a manierą bywa ostatnimi laty często przekraczana przez tego wybitnego skądinąd filmowca. A medytacja przestaje spełniać swoją rolę, kiedy ktoś tak uporczywie stara się medytować za nas.

Będąc z wykształcenia filozofem, zafascynowanym szczególnie myślą Martina Heideggera i Hannah Arendt, twórca niezapomnianej „Podróży do Nowej Ziemi” (2005) czy „Drzewa życia” (2011), zbyt pochopnie obwołanego arcydziełem, mierzy najwyżej. I nie zawsze trafia. Prócz wspomnianego namaszczenia zarzuca mu się, że jego postacie są niczym ikony – również w „materiałowym” tego słowa znaczeniu, co nie pozwala nam odczuwać wraz nimi, a jedynie kontemplować z odłali ich zachowania czy myśli. „Ukryte życie” posiada zresztą pasywną kompozycję, punktowaną niczym droga krzyżowa. Oglądając kolejne stacje, chciałoby się zapytać: czy człowiek zboczy?

Nie trzeba jednak znać biografii Jägerstättera, by domyślić się, jaki będzie finał. Albowiem film przeniknięty jest głęboką wiarą Malicka w świetlistość głównego bohatera, mimo wszystkich targających nim pokus, wątpliwości i lęków, cały zaś konflikt budowany został na prostej opozycji światła i ciemności. Pomiędzy nimi przebija na szczęście ekstatyczny, acz rzeźbiony pewną ręką żywioł kina. To on sprawia, że ostatecznie mamy do czynienia z dziełem rzeczywiście uduchowionym, a nie produktem filmowym służącym ewangelizacji. ©

UKRYTE ŻYCIE (*A Hidden Life*)

– reż. Terrence Malick.

Prod. Niemcy/USA 2019.

Dostępny na platformie CHILI.



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ

1. Miłość bezwarunkowa

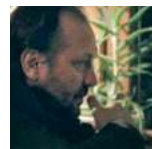


Dokumentalny, reż. Rafal Lysak, Polska 2018, Canal+ Seriale, 22 VII, 0.30, 23 VII, 8.50, Canal+ Film, 24 VII, 14.05, Canal+

Dokument, 25 VII, 20.00, Canal+ Family, 27 VII, 0.40

W jaki sposób osiemdziesięcioletnia, bardzo religijna kobieta reaguje na wiadomość, że jej ukochany wnuk jest gejem? Młody reżyser odwiedza z kamerą bliską mu osobę, ale nie stawia na obyczajową konfrontację. Pokazuje, co się wydarza pomiędzy nim a babcią, kiedy uczucia muszą zmierzyć się z przekonaniami.

2. Photon



Dramat/SF, reż. Norman Leto, Polska 2017, Netflix Z jednej strony popularnonaukowy esej o powstaniu, ewolucji i przy-

szłości życia na Ziemi, z drugiej – ciekawe spotkanie filmu ze sztuką wideo, którą uprawia od lat twórca tego eksperymentu. Obserwacje z życia codziennego służą za przykłady ilustrujące skomplikowane teorie. W roli narratora, a zarazem biologa molekularnego wystąpił Andrzej Chyra.

3. Banksy: Sztuka wyjęta spod prawa



Dokumentalny, reż. Elio Espana, Wielka Brytania 2020, HBO GO

Bohaterem filmu jest twórca graffiti, który stał się najśłynniejszym (i ciągle jeszcze anonimowym) przedstawicielem artystycznej partyzantki ulicznej. Już od dwóch dekad happeningi i murale Banksy'ego, pojawiające się w różnych miejscach świata, próbują uczyć współczesnego człowieka na to, co niewygodne do pomyślenia.

4. Niewidzialny człowiek



Horror, reż. Leigh Whannell, USA 2020, Player+, CHILI

Dręczona przez męża kobieta nawet po jego śmierci czuje obecność agresora. A może mężczyzna – bajecznie bogaty naukowiec – sfingował swoje samobójstwo? Elisabeth Moss wciela się w postać osaczonej kobiety, która balansuje między obłędem a próbą rozszyfrowania zagadki. Oparty na powieści H.G. Wellsa dreszczowiec staje się metaforą przemocy domowej.

JAN

Klata:

Śmieszno i straszno



PANI MARSZAŁEK WITEK NADAŁA BIEG przesłanej petycji w sprawie wspierania tradycji narodowych RP. Pochylił się nad treścią: „Kto 31 października przebiera się za straszną postać, podlega karze aresztu na okres nie krótszy od 15 dni”.

No, to jest konkret!

„Kto w dniu 31 października chodzi i puka po mieszkaniach, prosząc o cukierki lub ostrzegając przed popełnieniem złośliwego żartu – podlega karze grzywny w wysokości co najmniej 500 złotych”. 500 złotych staje się złotym standardem relacji międzyludzkich w naszym prawym i sprawiedliwym państwie, 500 plus/500 minus, mniejsza o większość, zawsze 500. Kto puka, ten błądzi. Tu się nie ma co śmiać, tyle

razy suweren nie dowierzał, a później się ciężko dziwił, że naprawdę, że jednak na poważnie. Te przepisy mogą przejść, choćby jako część tarczy. Nie takie rzeczy już przechodziły.

Skąd ów projekt ustawy? Z miłości do tradycji narodowych RP, zagrożonych przez wraży Halloween. Oczywiście, niektóre elementy celtyckie naszym „patriotom” wydają się OK (np. celtycki krzyż), ale Halloween akurat nie, więc trzeba ostro penalizować. Przebieranie się za „straszną postać” obserwowaliśmy w wyborczą niedzielę przy urnie, widok naklejonej na przyłbicę twarzy Jarosława K. wciąż mnie prześladowa. Cieszę się, że przynajmniej 31 października niczego takiego nie zobaczę. „Pukanie po mieszkaniach” też nie powinno ująć płazem, podobnie jak ostrzeganie przed popełnieniem złośliwego żartu. O proszeniu o cukierki nawet nie wspominam, bo to oczywisty kryminał, w perspektywie trzeba będzie na komendy wstawić elektryczne krzesła, ale jeszcze jest czas, nie od razu mierzyć przekopano.

Władza musi mieć kontrolę nad zarządzaniem strachem, tylko tak może się utrzymać, a nawet kwitnąć. Kościotrup, czarownica, wampir lub „inne kojarzące się z piekłem istoty” nie mają racji bytu 31 października, więc muszą pójść do aresztu na dwa tygodnie. Dlaczego? Aby 11 listopada na Marszu Niepodległości nie było ani jednej strasznej postaci. ©

Lektor:

Ciebie rzecz dotyczy



■ Stanisław Łubieński
KSIĄŻKA O ŚMIECIACH
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2020, ss. 288

NAJPIERW DWA OBRAZY. Pierwszy to zdjęcie, które ukazało się w sierpniowym numerze amerykańskiego „Life Magazine” w 1955 r. Szczęśliwa amerykańska rodzina, zatrzymana „w radośnie bez troskim geście rozrzucania plastikowych talerzyków, kubków, kubeczków, kubeków, tacek, misek, noży, widelców, łyżek i czegoś tam jeszcze”. Pochwała nowego wspańskiego świata obfitości, w którym „żadna gospodyni domowa nie musi

martwić się zmywaniem”. Obraz drugi przedstawia Wielką Pacyficzną Plamę Śmieci, dryfującą od ponad 20 lat po oceanie – jej wielkość oceniono w 2018 r. na co najmniej 1,6 miliona kilometrów kwadratowych. Między tymi biegunami rozwija się wielowątkowa historia, „Książka o śmieciach” traktuje bowiem o wielu sprawach. O relacji między człowiekiem a naturą, o grzechu nieumiarkowania

i chciwości, który przeradza się w pęd ku samozagładzie. O metodach instytucjonalnego opanowywania potopu śmieci i o indywidualnych działaniach pasjonatów. O kolejnych falach elektrośmieci i ciemnych źródłach pozyskiwania metali ziem rzadkich niezbędnych w elektronice. O śmieciach jako pułapce („gdyby zaprzestać sprzątaną w Tatrzańskim Parku Narodowym, co roku w wyrzuconych butelkach czy puszkach ginęłoby trzydzieści sześć milionów bezkręgowców i nawet dziesięć tysięcy drobnych kręgowców”) i jako materiale do budowy ptasich gniazd (zdumiewająca fotografia – bo książka jest ilustrowana – pokazuje gniazdo łyski na drewnianej tratwie pod daszkiem z flizeliny). O śmieciach jako temacie i tworzywie sztuki – w tym o działaniach polskiej

artystki Diany Lelonek. Ta wielowątkowość odbija się w formie – raz to jest esej, innym razem reportaż (np. z codziennego kursu pewnej śmieciarki) albo rozmowa z ekspertem. Jest też kronika dnia osobnika cierpiącego na nerwicę ekologiczną i zapisy dziennikowe. Ostatni pochodzi z 3 maja 2020 r., czasu pandemii, której dalekosieżnych skutków także i w śmieciowej dziedzinie nie znamy. Można próbować czytać „Książkę...” z dystansem jako interesujące i – jak to u Łubieńskiego – świetnie napisane studium antropologiczne. Ja tak nie potrafię. Wspomniane na początku euforyczne zdjęcie z „Life’u” zrobiono w roku mojego urodzenia, śmieciowa apokalipsa jest częścią mojej biografii. *Tua res agitur* – ciebie rzecz dotyczy, innego świata nie będzie. Niestety. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Selfie z Wenus



DWADZIEŚCIA MILIONÓW. TYLU LUDZI PODĄŻA NA Instagramie za włoską influencerką Chiara Ferragni. Nie ma polskiego odpowiednika stosowanego na tej platformie angielskiego terminu *follower*, czyli ten-który-podąża-w-ślad – choć w naszym przypadku podążanie odbywa się w sferze marzeń i westchnień, więc najpewniej należałoby mówić o wielbicielach. W każdym razie oficjalnie używane słowo „obserwujący” jest zbyt zimne, techniczne.

Ojciec mój, który bada węzły starożytnej mowy związanej, zawsze mnie uczył słuchać nieustannego szmeru strumienia słów. Więcej niesie on ze sobą wiedzy o danym miejscu i czasie, niż gdybyśmy badali z osobna kształty kapiteli, transakcje handlowe, ustroje, spiski, stosunki rodzinne i pokątne. Toteż z radością w 90. wiosnie życia poznał słowo „influencerka” – nagłośnione w prasie, kiedy rzeczona pani nawiedziła florenckie Uffizi eskortowana osobiście przez dyrektora, po czym uwieczniła to selfikiem zrobionym przed „Narodziny Wenus” Botticellego. Muzeum również wrzuciło to zdjęcie na swój oficjalny profil, pisząc o Ferragni, że jest „kimś w rodzaju współczesnego bóstwa”.

No i się zaczęła nowenna do świętego Oburza. Jak można tak spospolitować sztukę, podlizywać się masom w imię tandetnej reklamy? A to dziewczę? Jak ono śmiało równać się z Wenus! Wszelkie seksistowskie klisze stosowane wobec urodziwych kobiet, które nie chcą siedzieć pod miotłą, poszły w ruch z pogardliwą pasją, jaką potrafią okazać tzw. kulturalni ludzie. Tak jakby nie rozumieli, co widać na obrazie. Owszem, jest zawila gra neo-platońskich ukrytych znaczeń, a kontemplacja ziemskiego piękna Wenus ma nakierować umysł widza na piękno duchowe – ale przecież Botticelli sportretował influencerkę swoich czasów – Simonettę Vespucci, która ścinała z nóg florentczyków swoją urodą i wdziękiem.

Musiła zapaść mu głęboko w serce, zagnieździć się jako wspomnienie, skoro jeszcze osiem lat po jej śmierci zechciał odwołać się do jej twarzy i ciała, malując Wenus. Chociaż na pewno nie łączył ich żaden głębszy związek – Simonetta zmarła na gruźlicę dwa lata po tym, jak się zjawiła we Florencji. I to jest kolejne, ukryte, niezależne od intencji malarza znaczenie „Narodzin Wenus”. Pewne zdarzenia albo spotkania, wcale nie gęste treściowo, przeżywamy nie żeby „cieszyć się chwilą”, tylko po to, by w minutę później zamienić je we wspomnienie i żyć w ich cieniu. Tyle wyniosę dla siebie z tej głupiutkiej awantury, zwłaszcza że apogeum lata już nastroja do tego, by gromadzić wspomnienia.



A poza tym mija równo rok, odkąd odszedł Andrea Camilleri, i ukazuje się jego ostatnia powieść z komisarzem Montalbano – ta, którą napisał dawno temu i kazał trzymać w sejfie, aż umrze, dzięki czemu zyskał pewność, że stworzony przezeń cykl zostanie zamknięty zgodnie z jego wolą. Dopóki nie poznam tej książki, to tak, jakby Camilleri dalej jeszcze żył – nie łączyła mnie z nim żadna osobista znajomość, zjawiał się na horyzoncie co parę miesięcy z kolejnym tytułem, które wypuszczał z tytaniczną wytrwałością, nawet kiedy całkiem oślepl.

Dwadzieścia lat mojego życia, mniej więcej pełnia dorosłości i różne ważne jej zakręty, były posiekane w odcinki między kolejnymi tomami, które brałem do rąk. Owszem, niekiedy wracałem do już czytanego, ale zawsze wolałem zaczekać – kilka miesięcy, góra rok – na następny. To był emblemat przyszłości, strzałka mojego wewnętrznego czasu: następna książka Camilleriego. Za kilka dni zasiądę po raz ostatni do „nowego” Montalbana i coś szalenie ważnego zamieni się dla mnie we wspomnienie. Wy, którzy czytacie polskie przekłady, jesteście jeszcze o jedenaście tomów ode mnie młodszy. Wypiję za was dzisiaj toast dobrym sycylijskim winem i zagryzę lawaszem. Cóż, że to chlebek kaukaski, sprzedawany u nas w gruzińskich piekarniach – pasuje mi do diety komisarza. I będę oliwki. Po jednej na każde wspomnienie, które każdy z kolei tytuł w tym apelu pamięci przywoła.

© P

*O sycylijskich potrawach czytaliście już w tej rubryce nie raz. Odpowiada mi monastyczna prostota tego jedzenia, gdzie li-
czy się wyrazistość dobrych składników, a nie wielogodzinne
obrzędy odprawiane przy piecu. Niczego nowego nie
wymyślę, ale za to opowiem wam, jak będę wspo-
minać miniony tydzień, kiedy karmiłem wiele
osób z rodziny w warunkach partyzanc-
kich, mając do dyspozycji przypadkowe
– acz dobrej jakości – warzywa. Obiad
miał być pożywny, bo wszyscy pra-
cowaliśmy w te dni fizycznie, przy re-
moncie kuchni. Dlatego zrobiłem risotto
będące daleką wariacją tokańskiej ribol-
lity. Siekamy drobno jedną **cebule**, dwie **mar-
chewki** i łodygę **selera naciowego**, dusimy parę
minut w dużym garnku na **oliwie**. Dodajemy dwie
średnie albo cztery małe **cukinie**, również drobno kro-
jone, dusimy dalej, na nieco większym ogniu, po czym doda-
jemy poszarpane drobno liście **jarmużu** (bez grubych nerwów,
trzeba cierpliwie je oskubać palcami, mały pęczek wystarczy)
oraz kilka poszarpanych **liści mangolda** i dwie-trzy łyżki
tymianku – to idealny towarzysz jarmużu. Solimy, podlewamy
paroma łyżkami wody, dusimy na wolnym ogniu. Zagotowu-
jemy wcześniej wyszukaną **wywar**, najlepiej z kury, jeśli
nie mamy wegetarian przy stole. Na suchej patelni prażymy
na dużym ogniu 300 g **włoskiego ryżu**, aż prawie zacznie się
rumienić, zalewamy odrobiną **wina**, żeby ostudzić, przerzu-
camy do garnka z warzywną „bazą”, zalewamy wrzącym
wywarem i dalej procedujemy jak z każdym risotto. Pod koniec
dodajemy nieco **masła** i **parmezanu**, ale tylko trochę, żeby jego
umami nie zabiło smaków liści. Można lekko zakwaszyć paroma
kroplami **soku z cytryny** i zetrzeć trochę **cytrynowej skórki**.*

PRZEJŚCIA W POWIETRZU DLA ANIOŁÓW

„Wzruszanie” powietrza hałasem obok „czyszczenia” go ogniem jest dla nas tym ciekawsze, że wykorzystywano do niego także dzwony.

JACEK PODSIADŁO

DZWONY W CZASACH EPIDEMII WYRAŻAŁY ZBIOROWE UCZUCIA i odzwierciedlały stan ducha w narodzie na kilka sposobów. Mogły wzywać do modlitwy o ustanie zarazy lub towarzyszyć jej i to jest funkcja, którą zachowały do dziś. Sporadycznie wzywały do powstania – podczas „czumnego buntu” powstańcy moskiewscy tak sprytnie korzystali z ich możliwości sygnalizacyjnych, że po stłumieniu zamieszek nakazano duchowieństwu wzmocnienie drzwi i zamków wszystkich dzwonnicy, aby w przyszłości dostęp do dzwonów nie był tak łatwy.

Mogły też bić na trwogę, milczeć jakby ze zgrozy, wreszcie starać się przepędzić zarazę samym swym dźwiękiem. Szczególnie frapująca jest ta ostatnia funkcja – żeby uniknąć epitetu „magiczna”, kampanologia nazywa ją apotropaiczną. Ale po kolei.

Jak trwoga, to daj nogę

Przez całe wieki pierwszym środkiem zapobiegawczym stosowanym na wieść o zbliżającej się zarazie były próby wymo-

dlenia oddalenia jej. Zbierano się na długich nabożeństwach, chodzono w procesjach, adorowano obrazy świętych od zarazy, składano śluby, stawiano krzyże i kolumny morowe, biczowano się, gromadnie spowiadano się i poszczono, okadzano mieszkania i urzędy, a wszystkiemu temu często towarzyszyło walenie w dzwony, aby łatwiej było Bogu usłyszeć, co się tutaj dzieje.

Polską pamiętką przebiegających procesji są do dziś praktykowane na Warmii, choć już nie w celu zapobieżenia zarazie, pochody znane jako „łosiery” (nazwa prawdopodobnie oznacza „ofiary”). Wszystkie te zabiegi rzadko przynosiły skutek: gromadzenie się raczej sprzyjało, niż przeciwdziałało wybuchowi epidemii, bywało, że flagelanci w rozpędzie samoudręczenia ślubowali przez 33 dni nie myć się i nie zmieniać odzieży, a akty pokuty czynione pod publiczność nie musiały podobać się Bogu.

Przypadek postu opisany przez Andrzeja Marianiego w artykule „Jezuici prowincji litewskiej wobec epidemii dżumy z lat 1708–1711” dość dobrze oddaje podwójną na-

Struny dzwonowe w dzwonnicy w Katedrze Metropolitalnej w Meksyku.



CAROLINA JARAMILLO CASTRO / ALAMY / BEW

turę przynajmniej części tych ekspiacji: „Ku czci św. Rocha pościli np. jezuici kolegium łomżyńskiego w 1708 r. Scholastyki akademii wileńskiej postąpili tak samo w Łukiszkach 2 VII 1710 r., jednak ze względu na brak ryb spożyli nabiał”.

Faktem jest, że początkowej fazie zarazy powszechnej towarzyszył gwałtowny wzrost pobożności wyrażany nierozsądnym, tłumnym udziałem w modlitwach – Jean Delumeau w „Strachu w kulturze Zachodu” przytacza pod dostatkiem takich przykładów. Przyszły historyk opisujący akty bezprzykładnej odwagi w kulturze Wschodu czasów obecnych zacytuje, mam nadzieję, gromy rzucone ze Strefy Wolnego Słowa przez wielkiego internautę, Roberta Tekielego, na wieść o zamknięciu dla rzesz wiernych kościołów we Włoszech, jeszcze przed ich przymknięciem w Polsce: „Czy w Polsce byłoby coś takiego możliwe? Nie mam już pewności, że nie (...). Moi kochani Ojcowie, włoscy Biskupi. Jesteście następcami Szymona Gorliwego i Braci Gromu! Nie potrafię Was zrozumieć. Tak jak Wy może postąpić jedynie człowiek niewierzący”.

Kiedy już modły nie zostały wysłuchane i nawet palenie Żydów nie pomagało, próbowano walczyć z zarazą środkami medycznymi. Najpowszechniej stosowano upuszczanie krwi i środki wymiotne lub przeczyszczające. Czasem zakopywano się w ziemi na 12 godzin. Z kilku receptur na środki przeciw dżumie ogłoszonych w popularnych w całej Europie od XVI do XVIII w. „Sekretach Aleksego z Piemontu” wybieram – i cytuję za Aleksandrem Karolem Smakoszem – tę najsmakowitszą: „Weź kału chłopca w wieku między 10 a 12 lat, i nie inaczej, wysusz i rozbij na proch. (...) Dwie pełne łyżki tego prochu wsyp do szklanki białego wina i daj choremu pić, ale nie później niż 6 godzin po tym, jak poczuł chorobę, i w ogóle im szybciej, tym lepiej. Tym lekarstwem zostało wyleczonych wiele osób, tylko trzeba dodać do niego trochę piżma, żeby tak nie śmierdziało”.

Już sama wymyślność środków „od powietrza” poświadcza, w jakiej musieli być desperacji ich wynalazcy. Przez długi czas jedynym skutecznym sposobem walki z zarazą było stosowane intuicyjnie, ale na szczęście powszechnie, rozproszenie, dystans społeczny. Zdawano sobie sprawę z pożytków izolacji i ograniczania kontaktów, choć nie rozpoznawano źródeł tego dobroczynnego wpływu.

W Marsylii roku 1720, kiedy wyginęła połowa stutysięcznego miasta, księżom roznoszącym wiatyk nakazano go podawać na szczytach liczących nie mniej niż dwa i pół metra długości. W osiemnastowiecznej Polsce komunie świętą w czasach zarazy często podawano na szufelce przymocowanej do długiej żerdzi. Ucieczkę na odludzie zalecał już Hipokrates, a średniowiecze ustaliło trzy fundamentalne dla jej skuteczności zasady: *mox cede, long recede, tarde redi*: „wyjędz natychmiast, pojedź daleko, nie śpiesz się z powrotem”.

Święte fale w ultradźwiękowym diapazonie

O zakażeniu kropelkowym nikt w dawnych czasach nie wiedział. Co prawda pojedynczy uczeni wpadli na właściwy trop dość wcześnie, ale był to tylko jeden z wielu tropów rozpatrywanych przez dawną naukę jako potencjalnie słuszny. Girolamo Fracastoro z Werony, lekarz i poeta (syfilis wzięł swą nazwę od bohatera jego wiersza) w połowie XVI w. sformułował teorię kontagionizmu o przenoszeniu z człowieka na człowieka, przy ewentualnym pośrednictwie żywności i przedmiotów, *seminaria morbi*, czyli „nasion choroby” będących rodzajem struktur alchemicznych.

Sto lat później myśl tę rozwinął wielki Athanasius Kircher, który owe nasiona nazywał „robaczkami”, w pewnym sensie odkrywając istnienie mikroorganizmów. Jednak do czasów Pasteura, który udowodnił trafność tych domysłów, poglądy najświatlejszych umysłów zdominowane były przez jatroatrologię i wywodzące się jeszcze ze starożytności przeświadczenie o związkach zarazy z miazmą, jadami zakłócającymi równowagę czterech humorów cielesnych itp. Główną wadą tych wyobrażeń było uznawanie powietrza za źródło choroby i niewiara w jej zakaźność.

Jan Ignacy Petrycy, całkiem nowoczesny w swej epoce profesor Uniwersytetu Krakowskiego, napisał w 1622 r. „Instrucję abo naukę iak się sprawować czasu moru”, a w niej

→ zalecał m.in. „śpiewać, czytać głośno, wołać, zwłaszcza gdzie strzelby nie masz, aby się powietrze czyściło. Drudzy każą bydło, krowy przez miasto gnać, aby swym rykiem powietrze wzruszały”.

„Wzruszanie” powietrza hałasem obok „czyszczenia” go ogniem jest dla nas tym ciekawsze, że wykorzystywano do niego także dzwony. Zasady wykorzystywania ich przeciwko morowemu powietrzu wraz z opisem współczesnych sobie wyobrażeń istoty samego powietrza wyłożył m.in. siedemnastowieczny doktor teologii Jean-Baptiste Thiers w opublikowanym dopiero pośmiertnie „*Traité des cloches*”. Otóż było ówczesnemu człowiekowi wiadome, że powietrze gęste jest od demonów. Nie widząc samych demonów, bardzo wyraźnie widział efekty ich powietrznej działalności: burze z piorunami, gradobicia, wielkie mrozy, naloży szańców, huragany i fale pomoru.

Środkiem odstraszającym te demony był rytualny hałas, toteż „wypędzano” je strzelając z broni palnej albo biczem, krzycząc, dmąc w trąby, bijąc w bębny i kołatki, a najlepiej w dzwony. Tylko bicie dzwonów było zdolne np. strącić w locie czarownicę udającą się na sabat. Thiers postulował nawet bicie w dzwony w określony sposób, aby emitować szczególnie skuteczne dźwięki. W wierze w odstraszającą zło potęgę dźwięku utwierdzało Europejczyków skutecznie stosowane co najmniej od średniowiecza używanie dzwonów i dzwonek dla odpędzania szczerów i wilków.

Thiers dowodził, że podczas aktu konsekracji dzwony zyskują nie tylko nadzwyczajną siłę przeciw demonom, ale jednocześnie zdolność przywoływania na pomoc aniołów. Ich dźwięk był zdolny rozpraszać złoczynne chmury, które utrudniały aniołom ich loty i zakłócały łączność ziemi z niebem. „Dzwony mają cudowną właściwość, mianowicie tę, że diabły latające nad głową umykają, słysząc ich dźwięk” – przekonywał. Jeszcze w XIX w. anonimowy autor rozprawy o symbolicie dzwonów (być może o. Sauveterre) powtórzy pogląd o ich udziale w powietrznych zmaganiach aniołów z diabłami, poetycko mówiąc o „świętych falach konsekrowanego brązu”, czyniących w powietrzu „przejścia dla dobrych aniołów”.

W umieszczanych na dzwonach inskrypcjach od dawien dawna powtarza się w różnych konfiguracjach tzw. siedem cnót im przypisywanych. Są wśród nich dwie odwołujące się do przydatności dzwonów w walce z epidemiami: *pestem fugo*, czyli „oddalam zarazę” oraz *est mea cunctorum terror vox daemonium* – „głos mój wszelakie przeraża demony”.

Kiedy napisałem, że modlitewne zabiegi przed nadejściem zarazy rzadko przynosiły skutek, miałem na myśli przypadki głównie legendarne, ale czasem znajdujące też historyczne potwierdzenie, kiedy morowe powietrze „omijało” obszar pozostający w zasięgu dzwonów jednego kościoła lub klasztoru.

W dziele „Dzwony. Ich funkcje kulturowe w literaturze i obyczajach XIX–XX wieku” Gerard Guźlak przywołuje dzieła rosyjskich badaczy podążających współcześnie tropem Thiersa i próbujących znaleźć naukowe wyjaśnienie zdolności „oddalania zarazy” przez dzwony. Oto zdaniem specjalisty mechaniki kwantowej Fatieja Szipunowa krzyż i dzwon współpracują w gospodarce „kosmiczną energią”: figura krzyża skupia ją, a dzwon rozprowadza po okolicy, two-

ząc tym samym „uzdrawiającą aurę”. Jelena Zabudowska zaś w „Leczeniu dźwiękiem dzwonów” wyklada opinie, które najbezpieczniej będzie powtórzyć za Guźlakiem: „Dzwony określone zostały we współczesnych badaniach jako generatory energii w ultradźwiękowym diapazonie, które niszczą chorobotwórcze środowisko, m.in. wirusów grypy i żółtaczkę, likwidując molekularną strukturę mikrobów”. W rozmowie z Katarzyną Bogucką autor opowiada jeszcze o spotkaniu z Aleksandrem Bieljakowem, dzwonnikiem cerkiewnym, który miał zapewniać, „że nie mają się go ani choroby bakteryjne, ani wirusy, bo dźwięk dzwonu jest tak potężny, że unieszkodliwia szczepy szkodliwych bakterii”.

„Święty Boże” po pomorze

Po ustąpieniu zarazy powtarzano wiele z czynności podejmowanych zapobiegawczo, tyle że teraz czyniono to w intencjach dziękczynnych. Bywało, że odlewano dzwony, które miały zarazę i upamiętnić, i zapobiec jej powrotowi. Na świętych cmentarzach ofiar epidemii stawiano jeśli nie dzwonnice lub kaplice, to krzyże, często krzyże lotaryńskie lub karawaki z podwojonym poziomym ramieniem, którym przypisywano cudowną moc ochronną. W Kotlinie Kłodzkiej powstała cała sieć dzwoniczek z krzyżami lotaryńskimi mających i strzec od moru, i informować o zbliżaniu się procesji chorych pielgrzymujących do uzdrawiającego źródła Marii w okolicy Kudowy-Zdroju. Kilka z nich po dziś dzień można podziwiać w okolicznych wsiach.

W przypadku bicia w dzwony głoścącego zarazę trudno czasem rozróżnić funkcje alarmowe od zapobiegawczych. Dobrze to oddaje literacki opis podany przez Gustawa Morcinka w „Ondraszku”:

„A w nocy jeszcze, kęs przed północą, jęły dzwonić dzwony z wież cieszyńskich kościołów. I od dominikanów, i z farnego, i z protestanckiego na Wysznej Bronie za miastem, i od »Miłosiernych« – zewsząd. Otwierały się okna, wychylali głowy mieszczanie w szpiczastych szlafmycach, słuchali zawożenia dzwonów, patrzyli, gdzie się pali, a zamiast wołania: »Gore! Gore!...« – usłyszeli przerażające wołanie: – Czarny mór! Boże! Wybaw nas! Czarny mór w mieście! Czarny mór!... (...)

Dzwony wciąż biły, a ulicami już przebiegali ceklarze i halabardnicy, trąbili i nawoływali, żeby zamykać okna, gdyż jadowite powietrze czarny mór z sobą niesie (...).

Dzwonnikom nie pomdlały jeszcze ramiona, bo wierzyli, że im dłużej i wytrwalej będą szarpać za powrozy, im dłużej i rozpaczliwiej będą dzwonić, tym ściszej nadzieja, że czarny mór odpłynie z oną mgłą jadowitą... Szarpali więc za powrozy i szarpali, aż w końcu, wyczerpani lub rażeni czarnym morem, kładli się na ziemię, a rozkołysany dzwon jęły szarpać inne ramiona”.

Thomas Dekker, specjalista od takich opisów epidemii londyńskich z początku XVII w., aby mogły pełnić funkcję antykatolickich pamfletów, napisał w „*Newes from Graves-End*”: „Z muzyki słyszać tylko dzwony. / Dla chorych te żalobne tony; / I każde jedno z tych uderzeń / Do nieba jedną duszę bierze”. W innym miejscu tego samego utworu ładnie nazwał dzwony „consortem umarłych”.

Nie tylko w jego czasach i nie tylko w Londynie z biciem wielkich dzwonów mieszało się podczas zarazy równie zło-

wrogię dzwonienie małych dzwonek. W całej Europie powszechny był obowiązek ogłaszania za pomocą dzwonek swego zbliżania się przez trędowatych i zarażonych innymi chorobami. Podczas londyńskich nawrotów plagi ogłaszali dzwonekami swe przybycie woźnice tzw. wozów umarłych, zbierający zwłoki, których grzebać osobno już nie nastarczano. John M.D. Meiklejohn pisał w „Historii Anglii i Wielkiej Brytanii” z 1897 r.: „Dniem i nocą ten wóz umarłych krążył wokół, z upiornym hałasem posępnego dzwonka i ochrypłymi głosami grabarzy: »Wydajcie swoich umarłych!«”. Samuel Pepys pod datą 31 sierpnia 1665 r. zapisał: „W Londynie umarło przez ten tydzień 7496 osób, w tym 6102 na zarazę. Ale obawiam się, że prawdziwa liczba śmiertelności tego tygodnia jest około 10 000, jako że nie rejestruje się nędzarzy, a kwakrowie znowu nie dają po sobie dzwonić. A smutny to dźwięk słyszeć te nasze dzwony bijące ustawicznie na czyjąś śmierć albo na pogrzeb”.

Za tym smutnym dźwiękiem Londyn miał już niedługo zatęsknić. W dotyczącym tego samego 1665 r. „Dzienniku roku zarazy” Daniel Defoe przy okazji innego wydarzenia odnotował zamilknięcie dzwonek, prawdopodobnie datując je nieco przedwcześnie: „Działo się to, zanim zaraza dosięgła szczytu; jakoś chyba w czerwcu, pod sam koniec miesiąca; musiało się to stać, zanim zaczęły jeździć wozy żałobne, póki jeszcze przestrzegano ceremonii bicia w dzwony za umarłych, czego potem z pewnością poniechano, a w każdym razie w tej parafii, zanim nastał lipiec, gdyż około 25 lipca umierało już po pięćset pięćdziesiąt osób i więcej tygodniowo i wtedy już nie mogli przestrzegać ceremoniału pogrzebowego, czy to dla bogatych, czy dla ubogich”.

Tymczasowe władze „powietrzne” bardzo często zakazywały bicia w dzwony podczas epidemii, np. w trakcie pogrzebów ofiar, aby nie powiększać paniki. Trudno jednak ocenić, co oddziałuje gorzej na psychikę przerażonych ludzi: śmiertelny hałas czy śmiertelna cisza? W XVII w. ponad rok snuła się cholera wokół Wysokiej pod Szydłowcem. Hiacynt Przetocki, ksiądz-poeta z tamtejszej parafii, stawiał jej czoło m.in. za pomocą słowa pisanego. W jego „Pieśni y modlitwie do Mikołaja świętego podczas morowego Powietrza in Anno 1653 et 1654” szczególnie ciekawa jest dla nas ta strofa:

„Żle o nas wszystkich! Dusz naszych wodzowie
Zapowietrzeni już mrą Kapłanowie:
Nie słyhać dzwonek, zawarte kościoły,
Pustkami szkoły”.

W dbałości o morale społeczeństwa nierzadko podczas epidemii ograniczano do minimum lub całkowicie znoszono zwyczajowe ceremonie związane z pogrzebem. Podwójnie smutny, bo cichy i „niegodny”, pochówek opisał Sebastian Fabian Klonowic w „Victoria deorum”: „Ciało umarłego jest pozbawione należnego szacunku, wynosi się je pospiesznie w cichym pogrzebie, bez zwlekania, zasypuje wrzucone do jamy. Brak łez młodych synowych, skarg matek, nie widać w mieście płaczących wdów, nie towarzyszy nigdzie cia-

Legenda zna przypadki,
kiedy nieużywane dzwony,
nie mogąc znieść
własnego milczenia,
**w cudowny sposób
biły samoczynnie.**

łom zawodzenie niewieście, nie rozbrzmiewa smutna pieśń żałobna, nie udają łez spadkobiercy. Przyjaciół pełen nieufności ucieka przed przyjacielem. Mistrz ceremonii nie przewodzi zbędnym obrzędem pogrzebowym i nikt nie niesie zapalonych świec”.

Z czasem poniechanie zwykłych obyczajów przybrało formę nowego obyczaju. Proboszcz podkrakowskiego Tenczynka, Krzysztof Świętecki, zapisał w 1710 r. w księdze zgonów po po-

grzebie zmarłej wskutek zarazy mieszkanki: „Mawiają, że zapowietrzonym nie potrzeba dzwonić, i parafianie poczęli o to szemrać, ale za gusła ja to sądziłem i dzwonić kazałem”.

Legenda zna przypadki, kiedy nieużywane dzwony, nie mogąc znieść własnego milczenia, w cudowny sposób biły samoczynnie. Dzwony św. Marka w Wenecji zapowiadały w ten sposób nadejście wielkiej zarazy 1348 r., choć nie wykłucza się, iż wpawiło je w ruch małe trzęsionko ziemi. Johannes Nohl w „Czarnej śmierci” opisuje epizod całkiem już mirakularny mający miejsce w czasie zarazy w Mediolanie w 1577 r., kiedy klasztorne dzwony w środku nocy „zaczęły bić na swoją nutę. Wszyscy, którzy zostali obudzeni przez nie, z drżeniem i zdziwieniem pospieszyli do klasztoru. Okazało się, że nikt nie dotykał dzwonek, lecz wprawione zostały w ruch przez cudowną moc”.

Analogiczną legendę z bliższych nam czasów i okolic podają m.in. Oskar Kolberg i Józef Lompa. Ale poprzedźmy legendę faktami: oto z powodu epidemii dżumy w 1708 r. Olesno stało się miastem zamkniętym. Nie tylko pozamykano wszystkie drzwi do lasu, nie tylko uszkodzono mosty i ustawiono przy nich strażę, ale miasto otoczył kordon żołnierzy strzelających do każdego, kto próbował ucieczki. Szczęśliwie, zanim dokonano tej blokady, część mieszkańców zdążyła się rozprzecznać po okolicznych lasach. Największa ich grupa ukrywała się pod Olesnem w rejonie dzisiejszej wsi Grodzisk.

Teraz legenda: z wielkim zdziwieniem, ale i z nadzieją wygnańcy ci przyjęli w dzień Bożego Ciała znajomy dźwięk dzwonek z wieży kościoła św. Michała. Uznali, że pozostali przy życiu mieszkańcy obwieszczają w ten sposób koniec moru i możliwość powrotu do miasta. Powrócili więc, ale miasto znaleźli całkowicie wymarłym, tylko dzwony św. Michała kołysały się o własnych siłach. Z historią zgadza się w tej legendzie na pewno fakt wymarcia niemal całego zamkniętego miasta: z tysiąca mieszkańców ocalało zaledwie nieco ponad stu, czyli głównie ci właśnie, którzy zdążyli uciec do lasu. Uciekinierzy ci zbudowali zaraz potem na wzgórzu, gdzie się ukrywali, kościół św. św. Rocha, Rozalii i Sebastiana, wotywny. Zgodnie z poczynionymi ślubami wszystkie materiały potrzebne do budowy znieśli na miejsce na własnych plecach, a powołane do życia bractwo biczowników dodatkowo się po tych plecach rokrocznie biczowało.

Podczas remontu kościoła w 1960 r. w jego wieży znaleziono sporządzony *pro futura memoria* w 1710 r. dokument potwierdzający, że to ocaleni po epidemii mieszkańcy „uczynili pospolną na ubłaganie majestatu Boskiego, nabożną Składkę, y legata”, i że zabrało im to dwa lata.

© JACEK PODSIADŁO

STANISŁAW

Mancewicz:

Halo?



WYGLĄDA, ŻE DODZWONIENIE SIĘ SKĄDKOLWIEK W DOWOLNEJ SPRAWIE DO PREZYDENTA POLSKI I POGADANIE Z NIM W JAKIMKOLWIEK JĘZYKU NIE JEST BARDZO TRUDNE. TAK CHCIELIŚMY ZACZĄĆ I DOPRAWDY NA NIE OBAWY, ŻE MAMY TU ZAMIAR WPAŚĆ W BA-

nał obecnych wszędzie żartów i totalnego polewania. To się po prostu zdarza, że ktoś dzwoni i udaje kogoś innego, trudno. Jest zresztą w Krakowie pan, który udaje dowolny głos, a jego sukcesy na tym polu są od lat w mieście znane i wspomniane zawsze ciepło, nawet przez tych srodze nabranych. Tyle wypada z samego dna krakówka zawołać na pocieszenie wyborcom Andrzeja Dudy. Chcieliście kogoś godnego urzędu? Oto go macie. Mówi po angielsku? Mówi. Kropka.

Zanim przejdziemy do rzeczy, chcieliśmy jeszcze dla pełnego obrazu ilustrującego poziom najwyższych funkcjonariuszy państwa polskiego przytoczyć niejako tonizującą opinię Jacka Czaputowicza w tej sprawie. Jest on – jakby ktoś nie wiedział – ministrem spraw zagranicznych RP. A zatem wyrzekł pan Czaputowicz te niezwykle słowa: „Odpowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy podczas rozmowy z rosyjskimi komikami nie naraziły Polski na nieporozumienia z żadnym państwem”. Cytat pochodzi z fanatycznie przyjaznego medium, więc uznajemy, że jest prawdziwy, że nikt tego na chłama nie zmyślił. Oto ręce same składają się do oklasków, bo skoro tak, to chcielibyśmy więcej przygód i więcej wypowiedzi prezydenta Dudy w tym guście, tak znakomicie „nie-narządzających Polski na nieporozumienia” z innymi krajami. W każdym kraju jest bodaj jeden komik, który mógłby przedzwonić do naszego pana prezydenta, mógłby pogadać i tym

samym podnieść nasz solidnie przyciężki i egzotyczny wizerunek za granicą na inny poziom. To jest jakaś myśl. Doceniamy, że zwierając się szefowi ONZ, prezydent Polski nie popuścił wodzów fantazji na temat planów inwazji na Ukrainę. To miłe, rzeczywiście godne podziwu i wdzięczności, że obraz Polski w tej rozmowie nie został zamalowany czarną farbą agresji zbrojnej. No więc ten Czaputowicz ma jednak głowę na karku, wbrew różnym opiniom, w tym Jarosława Kaczyńskiego, który nazwał go ongiś „eksperymentem”. Trudno nie wyrazić ministrowi wdzięczności za logikę i ocenę tego wesołego wydarzenia oraz klarowną instrukcję, w co obywatel ma wierzyć władzy. Tenkju Mister Eksperyment.

Stop. Nie błądźmy, nie płaczmy się już w jałowych opisach przyrody, to bowiem jasne, że niezbędne dla postawienia oceny owemu żartowi Rosjan jest co innego niż treść tej pogwarki czy reakcja nieustająco niezwykłego intelektualnie otoczenia prezydenta RP. To, co Andrzej Duda mówił po angielsku z polskim akcentem do rzekomego Portugalczyka z ONZ mówiącego po angielsku z rosyjskim akcentem, nie ma dla nas tu i teraz już żadnego znaczenia. Najważniejsze w tej historii jest co innego – że mianowicie żartownisie nie byli Polakami z Polski.

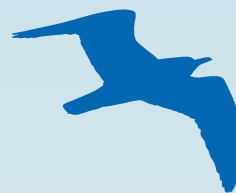
Oto popatrzmy z zachwytem, że samo to spostrzeżenie otwiera natychmiast każdemu profesjonalnemu analitykowi bezkresne możliwości kapitalnego mniemania. Słowem, gdyby to Polak wykreślił ten numer, wybuchłoby tu prawdziwe piekło, a nie malowane. Opowieści i komentarzy byłoby nieporównanie więcej i byłyby bliżej sensu, bliżej tradycji i rozumienia rzeczywistości polskiej. Po ujawnieniu tożsamości dowcipnisia zbadano by oczywiście jego pochodzenie. Sprawdzono by, po której stronie dwu nagich mieczy pod Grunwaldem przodkowie jego stali, czy w rodzinie był karczmarz, zbadano by słowiańską jakość nazwiska, obejrzano by przez lupę nos jego i wiadomo co jego, sprawdzono by, co robiła w młodości mamusia i co robił tatuś. Zdemaskowano by go jako wielbiciela Tołstoja, umiającego się podpisać cyrylicą, oraz ustalono by, że głosował na Trzaskowskiego. I to byłaby bomba. Fakt, że żartownisie byli po prostu Rosjanami, zepsuł wszystkie polskie zabawki. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



REPOLONIZACJA MEDIÓW

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Spróbuj na lato, zostań na lata

Kup prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w ofercie **#lato**

- otrzymasz 13 numerów pisma
– pod wskazany adres bez
dodatkowych kosztów wysyłki

oraz

- GRATIS natychmiastowy
3-miesięczny dostęp online
o wartości 50 zł

~~170 zł~~ → **120 zł!**

Nie przejmuj się zasięgiem – czytaj,
jak chcesz, gdzie chcesz i kiedy
chcesz dzięki połączeniu wydania
papierowego i cyfrowego na **#lato**

Sprawdź szczegóły oferty i kup na
powszech.net/lato

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

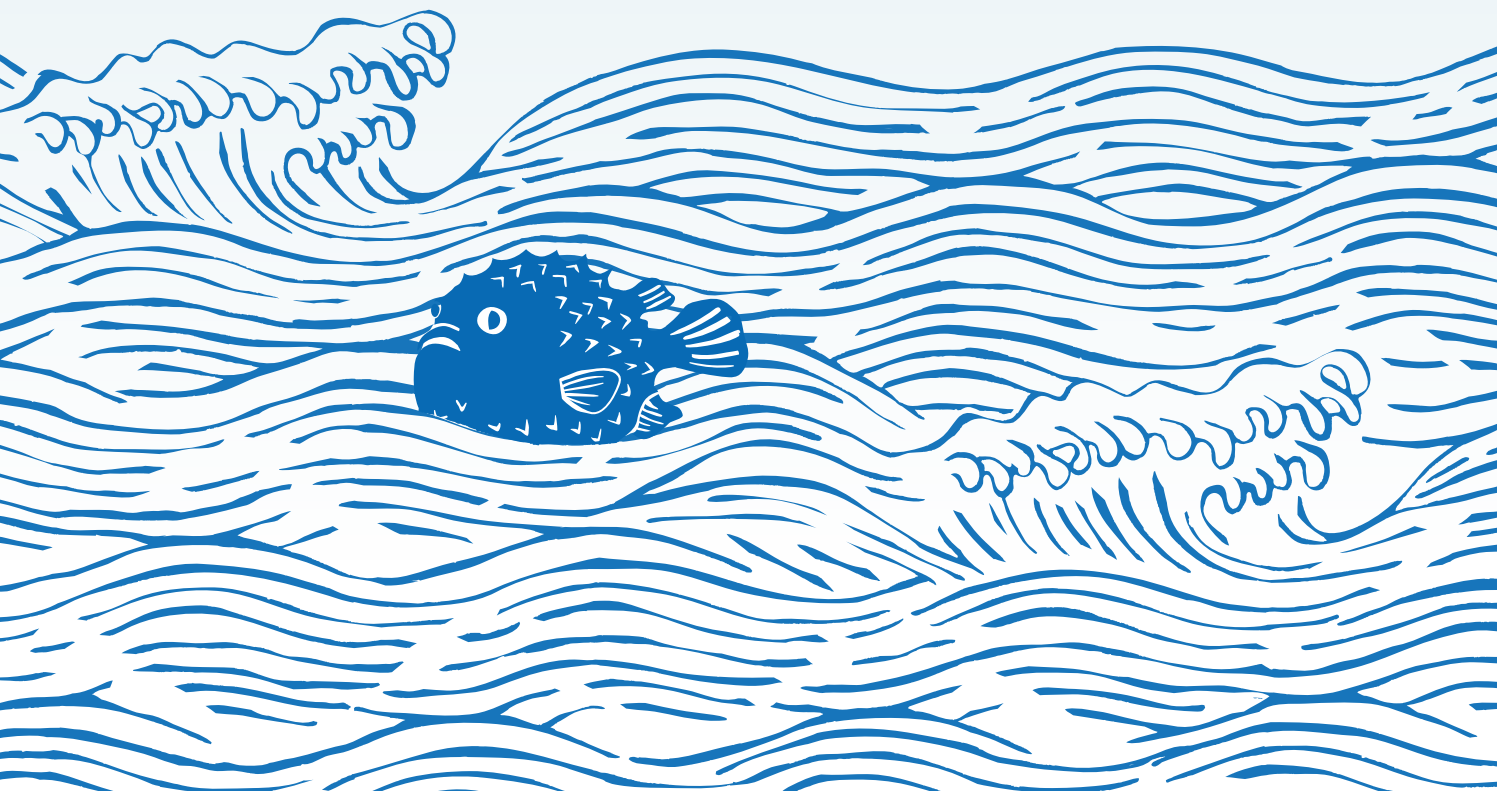
Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES  **manago**
marketing automation



xABO KSIĄDZ BONIECKI

xABO

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
 PRODUCENT ALEKSANDER KARDYS PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
 ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF KIEROWNICTWO PRODUKCYJNE LIDIA BARANKIEWICZ
 MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DŹWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA:



WSPARCIE:



SPONSOR GŁÓWNY:



SPONSORZY:



PARTNER:



DYSTRYBUCJA:



PATRONI MEDIALNI:

